Polityka na traktorach ▪ Kościelne gry pozorów ▪ Co pokazuje Kanał Zero
Luksus psychoterapii ▪ To je świat ▪ Różowa dekada Taylor Swift

Kraków 21 – 27 lutego 2024 nr 8 (3894) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

JAK POWSTRZYMAĆ PUTINA

- Polska: potrzebny nowy pomysł na bezpieczeństwo
- Ukraina i my: twardy reset
- Nawalny: nie bądźcie bezczynni

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Wierzymy, że świat da się naprawić. Zróbmy to wspólnie

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *List wielkopostny*

Znaków można nie zauważać, można je umyślnie lub mimo woli pomijać, nie brać pod uwagę. Ich właściwością jest jednak to, że kto zwraca na nie uwagę, ten zaczyna je coraz lepiej dostrzegać. Oczywiście, można się pomylić, za znak wziąć coś, co nim nie jest. A nawet coś, co nie jest w ogóle niczym, tylko złudzeniem.

Kiedyś w zimowy dzień wypłynęliśmy ze Zbyszkiem na jezioro. Mój przyjaciel znakomicie pływał, ja ledwo co. Byliśmy ciepło ubrani, mieliśmy solidne buty na nogach. I kajak się przewrócił. Nie było to daleko od brzegu, ale też nie za blisko. Usiłowałem płynąć, może nie usiłowałem? – nie pamiętam. Pamiętam za to, że zacząłem tonąć. Ubranie przesiąknięte wodą, zimno, woda. Ocknąłem się na brzegu. Wyciągnął mnie Zbyszek. Wrócił po mnie do wody, dopłynął do mnie i uratował. Brzeg bezludny, wicher. Z drugiego, zamieszkałego brzegu ktoś nas widział, ktoś wsiadł do łodzi, przypłynął, zabrał nas, odstawił do domu. To było dawno, jeszcze przed maturą, ale pamiętam jak dziś. Wiem, że wróciłem jakby z innego świata. A przecież żadnych głębszych myśli nie miałem, nawet ta, że życie nagle tak marnie się kończy, nie była jakoś szczególnie głęboka.

Kiedy indziej. Miałem przed sobą śluby zakonne. Kończyłem nowicjat. Magister nowicjatu klarował mi, że decyzja jest poważna, że być może lepiej się wycofać, nie składać ślubów, nie wiązać swojego życia. Słuchałem uważnie, jednak wiedziałem swoje. Przywiązanie do własnego pomysłu? Zarozumiałość, pycha, głupota? Ale przecież przeżyłem jednak w tym zakonie całe dorosłe życie. Od matury do dziewięćdziesiątki. Dla zakonu bywałem problemem i zakon bywał nim dla mnie, ale nigdy nie nawiedzały mnie myśli, że inna droga byłaby lepsza. Droga nie była typowa. Nie jest typowa nawet teraz, ale zakon wciąż nie jest ani małostkowy, ani sztywno pryncypialny. Życie dobiega końca. Wzorem z pewnością nie byłem, ale marianinem byłem i jestem ku mojej radości.

Wysłano mnie na studia. Prawdę mówiąc, ani te studia, ani uczelnia, na której miałem je odbywać, nie były dla mnie porywające. Pojechałem jednak – co nie było wówczas proste – do Rzymu, żeby studiować. Jakimś cudem od planów przełożeni odstąpili, choć nie pamiętam, bym się o to starał. Dziwnym splotem okoliczności, zawsze za zgodą władz zakonnych, znalazłem się we Francji, dwa lata pobytu tam dały mi mnóstwo. Pewnie rzymskie studia nie dałyby mi więcej. Ten pobyt we Francji uważam za dar niebios.

Do „Tygodnika" trafiłem zaraz po studiach na KUL-u. To też historia właściwie nieprawdopodobna. Nie było nigdzie, przez nikogo powiedziane, na jak długo i w jakim charakterze idę do tej redakcji. To była oczywiście praktyczna szkoła dziennikarstwa. Lecz nie tylko to. Biskup Jan Pietraszko zatrudnił mnie równocześnie u siebie (na prośbę abp. Wojtyły?). Zostałem duszpasterzem akademickim i dziennikarzem zarazem. O tym można by wiele, ale tu poprzestanę.

Byłem czas jakiś generałem zakonu. Nie najlepszym może, lecz w momencie niełatwym, zresztą bycie generałem zakonu nigdy łatwe nie jest. Zachowuję w pamięci piękne momenty tamtego czasu, spotkania z Ojcem Świętym, jego odwiedziny i w naszym zakonnym domu w Licheniu. Momenty przykre i bolesne też pamiętam, choć pamięć nie jest już najlepsza. Wielu towarzyszy młodości odeszło do Krainy Wiecznych Łowów. Pamięć przechowała fragmenty wydarzeń, resztę zabrał *ictus cerebralis*.

Rozpoczął się Wielki Post i trzeba zakładać, że może to być mój ostatni. Miara ważności spraw i błędów z czasem się zmienia. Zawsze uważałem, że nie należy nikomu ciążyć, że więzy są ważne, lecz trzeba umieć się pogodzić z tym, że słabną, że potrzeba spotkania ma swoje własne fazy. Od intensywnej może przejść w fazę takiej potrzeby pozbawioną i nie należy tego naruszać. Ale teraz, gdy życie się kończy, chciałbym przygarnąć wszystkich kiedykolwiek mi bliskich. Wiem, mogę chcieć, ale się nie da. Więc piszę ten list wielkopostny. Do zobaczenia tu lub na tamtym świecie. Amen. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Zdemobilizowani
MAREK RABIJ
Czy odpowiedzią na rosyjskie groźby powinno być przywrócenie w Polsce powszechnej służby wojskowej? Wcześniej warto zapytać, czy nasze społeczeństwo jest na taką decyzję gotowe. Na razie wielu ludzi uznaje służbę w armii za życiową katastrofę.

30 Więcej niż zero
JAKUB DYMEK
Nowy projekt Krzysztofa Stanowskiego wjeżdża na rynek polskich mediów jak ryczący sportowy samochód podczas nielegalnych wyścigów. Ale Kanał Zero to opowieść nie tylko o mediach. Także o aspiracjach mężczyzn i o głodzie autentyczności.

56 Rekonstrukcje histeryczne
AGNIESZKA HASKA
„Targowica!", „13 grudnia!", „kolaboracja!" – politycy pełnymi garściami czerpią z repertuaru historycznych skojarzeń. Jakim kosztem?

34 Gra pozorów
TOMASZ P. TERLIKOWSKI
Nie ma w Kościele w Polsce systemowej solidarności z osobami skrzywdzonymi seksualnie. Są desperackie starania grupki partyzantów, która działa cuda.

72 Różowa dekada Swifties
MONIKA OCHĘDOWSKA
Do niedawna atakowana głównie z lewej strony, że zbyt biała i zbyt heteronormatywna, dziś przez wyborców Trumpa uważana jest za satanistkę lub agentkę CIA. Taylor Swift nie pasuje do schematów.

60 Nikt lepiej nie śpiewa o miłości
ROZMOWA Z JUSTINEM D'AGOSTINO, PRYMATOLOGIEM:
Pieśni siamangów są bardzo głośne. Samiec i samica występują w duecie, jakby komunikowały: „Zobaczcie, jak świetnie umiemy razem śpiewać! Jak dobrze zgraliśmy się w rytmie, jak dobrze opanowaliśmy tę melodię. To nasz teren!".

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS // PIOTR MOLECKI / EAST NEWS X2 // ANDREW WALMSLEY / B&EW // MICHAEL OWENS / GETTY IMAGES // DOMENA PUBLICZNA / NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Nie bądźcie bezczynni
ANNA ŁABUSZEWSKA

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Zdemobilizowani
MAREK RABIJ

24 Polityka na traktorach
KRZYSZTOF STORY: *Rolnicy protestują przeciwko zbożu z Ukrainy, którego... nie importujemy*

26 Gdy terapia jest luksusem
SZYMON ŻYŚKO: *Leczenie zaburzeń psychicznych tylko dla majętnych*

■ ■ OPINIE

30 Więcej niż zero
JAKUB DYMEK

■ ■ WIARA

34 Gra pozorów
TOMASZ P. TERLIKOWSKI

38 Święci patrzą na meczet
MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Zagrożone bizantyjskie arcydzieła z kościoła na Chorze w Stambule*

40 Modlitwa trzech słów
ARTUR SPORNIAK: *Co zrobić, gdy mamy problem z modleniem się?*

42 Papieski think tank
EDWARD AUGUSTYN: *Obrona życia „od poczęcia do naturalnej śmierci" nie może się ograniczać do tych dwóch momentów*

■ ■ ŚWIAT

44 Wniosków nie przyjmujemy
MARTA ZDZIEBORSKA: *Polityka migracyjna zakładnikiem kampanii prezydenckiej w USA*

TEMAT TYGODNIKA

12 Twardy reset
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ
Dwa lata od rozpoczęcia inwazji Rosji na Ukrainę i dekadę po aneksji Krymu stosunki polsko-ukraińskie są wyśmienite, ale w wymiarze retorycznym. W praktyce są one w głębokim kryzysie.

SVEN SIMON / BIURO PREZYDENTA UKRAINY / EAST NEWS

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK
55 ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: WŁADIMIR PUTIN KREML, 8 LUTEGO 2024 R. FOT. CONTRIBUTOR / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

47 Adios pomidory
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Hiszpańscy rolnicy też wychodzą na ulice*

50 Druga młodość rajskich wysp
GRZEGORZ KORDYLAS: *Ryby, turyści, sztuczna inteligencja i domeny internetowe*

52 Wędrowcy we mgle
MAGDALENA BARTCZAK: *Z Wenezueli do Chile*

■ ■ HISTORIA

56 Rekonstrukcje histeryczne
AGNIESZKA HASKA

■ ■ NAUKA

60 Nikt lepiej nie śpiewa o miłości
ROZMOWA Z JUSTINEM D'AGOSTINO, PRYMATOLOGIEM

■ ■ KULTURA

64 Ja, heretyk
ROZMOWA Z MICHAŁEM PAWŁEM MARKOWSKIM, PISARZEM: *Ewangelie to nadzwyczajna literatura. Czytam je, choć jestem niewierzący*

69 Niespodziewany gość
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Krystian Lupa przestał być niekwestionowanym mistrzem polskiego teatru*

72 Różowa dekada Swifties
MONIKA OCHĘDOWSKA

74 Upadek domu Voyterów
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Anatomia upadku" Justine Triet*

75 Z bliska
LEKTOR *o książce Antoniego Pawlaka „Pusty gabinet"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Co świat je
ANNA PAJĘCKA: *Zielony Tydzień to największe targi rolnicze w Europie. Jest bardzo, bardzo lokalnie*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Pakistan: mistrz krykieta kontra generałowie
Iman Chan, bożyszcze pakistańskiej ulicy, nie wróci do władzy, choć wygrał wybory. Dlaczego? Odpowiada **WOJCIECH JAGIELSKI** w cyklu Strona Świata | **TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata**

Gdy odchodzi zwierzę [Podkast Tygodnika]
„O przyjacielu nie mówi się, że zdechł" – przypomina **ANNA GOC**, autorka reportażu „Człowiek w pustym mieszkaniu". Na podkast zaprasza **MICHAŁ KUŹMIŃSKI** | **TygodnikPowszechny.pl/podkast**

TYGODNIK POWSZECHNY

Nowości na VOD poleca co tydzień **Anita Piotrowska**
TygodnikPowszechny.pl/weekend

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NIE BĄDŹCIE BEZCZYNNI

Aleksiej Nawalny, więziony w łagrze o zaostrzonym rygorze najważniejszy rosyjski opozycjonista, zmarł nagle 16 lutego. Bezpośrednia przyczyna jego śmierci nie jest znana, pośrednia – ewidentna.

ANNA ŁABUSZEWSKA

POWYŻEJ:
Nawalny na marszu upamiętniającym śmierć Borysa Niemcowa. Moskwa, 24 lutego 2019 r.

Komunikat o śmierci „więźnia numer jeden" podała Federalna Służba Więzienna: Aleksiej Nawalny zasłabł po spacerze, wezwano karetkę pogotowia, mimo akcji reanimacyjnej pacjent zmarł. Kreml z dystansem odniósł się do wieści z łagru w miejscowości Charp za kołem podbiegunowym: jego rzecznik prasowy stwierdził, że Służba Więzienna ma swoje procedury. Dodał, że Putin został poinformowany o zgonie opozycyjnego polityka.

W grudniu 2023 r. Nawalny został przeniesiony z łagru w centralnej części Rosji do jednej z najcięższych kolonii karnych, nazywanej Wilk Polarny, z dala od ludzkich siedzib i życia politycznego. Widocznie reżim uznał, że w okresie poprzedzającym „wybory" opozycjonista musi zniknąć. W łagrze na dalekiej północy Nawalny nadal poddawany był szykanom i represjom – za najmniejsze wykroczenie osadzano go w karcerze. Niezmiernie trudne warunki na pewno wpłynęły na pogorszenie się stanu jego zdrowia. Trzeba pamiętać, że polityk mógł cały czas odczuwać skutki otrucia nowiczokiem. Wcześniej w łagrze pod Włodzimierzem w 2021 r. prowadził głodówkę, domagając się niezbędnej pomocy medycznej, której mu odmawiano. Być może więc jego śmierć nastąpiła faktycznie wskutek zatoru – jak podaje Służba Więzienna. Być może przyczyniły się do niej fatalne wa-

runki odbywania kary, a może nastąpiły jakieś nieznane, nagłe „okoliczności”. A może nigdy nie dowiemy się, jak zmarł.

Tak czy inaczej to był mord polityczny. Odpowiedzialność za jego śmierć ponosi Władimir Putin, dążący do zapewnienia sobie dozgonnej, nieograniczonej władzy. Nawalny był przeszkodą, odsłaniał kulisy władzy, pokazywał skorumpowanie elit skupionych wokół Putina, wyciągał na światło dzienne ich skrywane majątki, wykpiwał kiepski gust prezydenta, pławiącego się w ukradzionych luksusach. Nawalny miał charyzmę, potrafił przemawiać do ludzi, zyskiwać ich zaufanie, budować polityczne projekty. Ponury, zbrodniczy reżim, opierający się na sile, nie mógł znieść takiej konkurencji.

JUŻ W 2020 ROKU zapadła decyzja o otruciu Nawalnego bojowym środkiem chemicznym, nowiczokiem. Opozycjonista przeżył, a potem, podczas rehabilitacji w Niemczech, rozwikłał zagadkę zamachu i zdołał nawet skompromitować wykonawców rozkazu otrucia. Kreml do sprawstwa zbrodni oczywiście się nie przyznał. Publikowane przez Nawalnego i jego ekipę materiały o bogactwach Putina i jego otoczenia były jednak nieustannym bólem głowy dla gospodarza Kremla. Putin uznawał demaskatorską działalność Nawalnego za osobistą obrazę majestatu władzy. A samego Nawalnego za swojego wroga – zwłaszcza tuż przed marcowymi pseudowyborami, na które prezydent sprząta właśnie polityczne podwórko.

CZY ŚMIERĆ NAWALNEGO zaostrzy sytuację, czy ją uspokoi? Jak pisze politolog Abbas Gallamow, „po nieudanym eksperymencie z kandydaturą Nadieżdina Putin zrozumiał, że trzeba sobie odpuścić łagodne gierki i dał zielone światło »jastrzębiom« (Patruszew, Sieczin, Gromow). A to ludzie hołdujący zasadzie »nie ma człowieka – nie ma problemu«”.

Same „wybory” również odbędą się w trybie operacji specjalnej – zastraszanie tych, którzy zechcieliby po śmierci Nawalnego protestować, i generalnie jeszcze większe przykręcenie śruby. Reżim nie eksperymentuje już z kandydatami, którzy mogą liczyć na więcej niż 10 proc. poparcia, bo ryzyko, że sytuacja może się wymknąć spod kontroli, jest zbyt duże.

A REAKCJA MIĘDZYNARODOWA? Jak przewiduje Marek Menkiszak z Ośrodka Studiów Wschodnich: „Kreml nie oczekuje poważniejszych konsekwencji międzynarodowych poza rytualnymi oświadczeniami polityków zachodnich z wyrazami ubolewania i potępienia. Zabójstwo jednego z liderów rosyjskiej opozycji stwarza atmosferę dla ostrzejszych działań Zachodu przeciwko Rosji, wychodzących poza standardowe poszerzenie indywidualnych list sankcyjnych. Jednym z nich powinno być nieuznanie (niekonstytucyjnych i fałszowanych) pseudowyborów w Rosji i Putina jako prezydenta FR. Warto wzmóc presję na państwa będące sygnatariuszami Statutu Rzymskiego, aby włączyły się w realizację listu gończego Międzynarodowego Trybunału Karnego za Władimirem Putinem, oskarżonym o sprawstwo kierownicze zbrodni wojennych na Ukrainie. Należy również powołać w tym celu odrębny sąd międzynarodowy i rozpocząć zaoczny proces Putina”.

Przyczyniając się do śmierci Nawalnego, Putin ostentacyjnie i cynicznie zademonstrował, że nie liczy się ani z głosami sprzeciwu wewnątrz kraju, ani za granicą. Wierzy w skuteczność siły jako narzędzia uprawiania polityki i sprawowania władzy.

Mimo stwarzanej przez reżim atmosfery strachu w wielu rosyjskich miastach odbyły się akcje poświęcone pamięci Nawalnego. Nie miały one charakteru masowego. Reżim dołoży starań, aby pamięć o nim jak najszybciej zniknęła, zmyta falami entuzjazmu dla kandydata na wiecznego prezydenta. Putin ma za nic przesłanie Nawalnego: „Jeśli mnie zabiją, to znaczy, że jesteśmy silni. Nie poddawajcie się! Zło może zwyciężyć wtedy, gdy dobrzy ludzie pozostają bezczynni. Więc nie bądźcie bezczynni”. ©

W NATO na gapę

JUSTYNA GOTKOWSKA

Słowa Donalda Trumpa o tym, że nie będzie bronił sojuszników, którzy nie spełniają wymogów NATO dotyczących finansowania obronności, i że będzie zachęcał Putina do ataku na nich, zszokowały Europę. Zasadne jest pytanie, czy Trump w trakcie drugiej kadencji będzie honorował zobowiązania w NATO, czy też jego wypowiedzi są presją na opornych sojuszników. Nie mniej ważne jest jednak i to, czy Europa na serio podchodzi do wzmacniania własnej obronności.

W 2024 r. tylko 18 spośród 31 państw Paktu wyda na obronność 2 proc. PKB – 10 lat po szczycie w Walii, na którym sojusznicy przyjęli ten cel.

Zobowiązań dotrzymały państwa wschodniej flanki, które wydają dobrze ponad 2 proc. PKB i przygotowują się do odstraszania i obrony przed potencjalną rosyjską agresją w perspektywie kilku lat. Polska jest w awangardzie z budżetem obronnym wynoszącym 3,9 proc. PKB w tym i zeszłym roku.

Sojusznicy z Europy Zachodniej – mimo rosnącej niestabilności w Europie i brutalnej wojny na Ukrainie, kryzysów na Bliskim Wschodzie i napięć na Indo-Pacyfiku – wydają się nie do końca przyjmować do wiadomości, że rozpoczęła się zasadnicza zmiana w relacjach międzynarodowych; wydawanie 2 proc. PKB na obronność jest dla nich niemałym wyzwaniem. Tymczasem Rosja, Iran i Chiny chcą podważyć obecny porządek międzynarodowy i siłą ustanawiać własne strefy wpływów – USA zaś nie są w stanie w takim samym stopniu angażować się na trzech frontach działań.

Słowa Trumpa są ostatnim epizodem w dyskusji o sojuszniczym *burden sharing*, współdzieleniu ciężaru finansowania Sojuszu. Ponad 50 proc. zdolności do obrony Europy zapewniają nadal Amerykanie; zaś w Europie to wschodnia flanka w największym stopniu inwestuje w obronność. Zachodnia Europa nie może już jechać na gapę. Na nadchodzącym szczycie NATO w Waszyngtonie musimy pokazać, że zwiększamy europejski wkład we wspólne bezpieczeństwo. Powrót NATO do obrony zbiorowej już nastąpił, obecnie trzeba wypełnić natowskie plany realnymi działaniami. Warto zacząć od zobowiązania do wydawania 3 proc. PKB na obronność i pokazania, że europejscy sojusznicy wypełniają plany obronne przyjęte na szczycie w Wilnie, rozbudowując w szybkim tempie potrzebne zdolności wojskowe. ©

Autorka jest wicedyrektorką Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

SEFA KARACAN / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

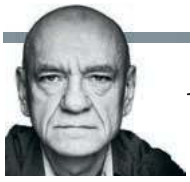

Impas w Gazie

DARIUSZ ROSIAK

Już prawie 29 tysięcy ludzi zginęło w ofensywie rozpoczętej przez wojsko izraelskie po ataku Hamasu 7 października. Hamas twierdzi, że prawie połowa ofiar to dzieci, Izraelczycy przekonują, że zabijają głównie terrorystów – nawet gdy ostrzeliwują szpitale, jak ostatnio w Chan Junis, gdzie miała znajdować się baza Hamasu.

W rękach Hamasu i innych grup przebywa ciągle 134 zakładników, premier Netanjahu odwołał udział w planowanych w tym tygodniu w Egipcie negocjacjach w sprawie ich zwolnienia. Netanjahu odmawia również dyskusji o rozejmie i zapowiada lądową ofensywę na Rafah na południu Gazy, gdzie schroniło się półtora miliona Palestyńczyków. Według ministra obrony Gantza atak nastąpi, jeśli do 10 marca, czyli początku Ramadanu, wszyscy zakładnicy nie zostaną zwolnieni.

Waszyngton ostrzega, że atak na Rafah to niemal pewna masakra cywilów, a równocześnie szykuje kolejne dostawy broni do Izraela i zapowiada zawetowanie planowanej na ten tydzień rezolucji Rady Bezpieczeństwa w sprawie rozejmu w Gazie. Dla Izraela Amerykanie nie są problemem, bo ich zachowanie jest przewidywalne: krytycznej wobec rządu retoryce towarzyszy realne wsparcie militarne i polityczne.

Popularność Netanjahu w Izraelu jest na rekordowo niskim poziomie – nic dziwnego, że premier wyklucza przedterminowe wybory.

Wzmagają się manifestacje antyrządowe, rośnie także liczba wewnętrznych uchodźców – spod granicy z Libanem ewakuowano już ponad 100 tysięcy ludzi. Otwarta wojna Izraela z Hezbollahem, który od miesięcy ostrzeliwuje Izrael z Libanu, byłaby prawdopodobnie jeszcze bardziej tragiczna w skutkach niż starcie w Gazie.

26 lutego Hamas i władze Autonomii mają spotkać się na rozmowach zjednoczeniowych. Zaprasza Rosja, rozmowy odbędą się w Moskwie, gdzie wielokrotnie bywali liderzy Hamasu.

W Hadze Międzynarodowy Trybunał Karny zaczyna posiedzenie w sprawie legalności okupacji Zachodniego Brzegu przez Izrael. W rozpoczętej wcześniej sprawie sąd ma orzec w sprawie „ludobójstwa" dokonywanego przez Izrael w Gazie, teraz Palestyńczycy chcą, by zajął się „apartheidem" na Zachodnim Brzegu. Bez względu na ich zasadność te dwa słowa milionom ludzi na świecie kojarzą się dziś z Izraelem. ©

Groteska zamiast sielanki

MONIKA OCHĘDOWSKA

Rząd Donalda Tuska rozpoczął reformę edukacji od likwidacji prac domowych, a następnie przedstawił propozycję odchudzenia podstaw programowych. Największe emocje wzbudziło wykreślanie lektur szkolnych – lubimy tę rytualną wojnę na kanony, w której można wygumkowywać nielubianych poetów, by następnie w ich miejsce wpisać „swoich". Po publikacji stosownych dokumentów Ministerstwo Edukacji dało tydzień nauczycielom, rodzicom i uczniom na zgłaszanie ewentualnych uwag „w ankietach", co – swoją drogą – wydaje się znaczące, bo zmiany w szkole mają u nas zwykle charakter doraźnych interwencji.

Zmniejszenie wymagań wobec przeciążonych uczniów i oferowanie większej swobody wyboru nauczycielom to naturalnie postulat słuszny. W przeciwieństwie do drobiazgowych dyskusji nad tym, czy abiturient powinien znać raczej definicję groteski niż sielanki (to jedna ze zmian w programie nauczania szkół ponadpodstawowych). Kluczowe ostatecznie nie jest to, co będzie czytane, ale jak w ogóle przebiega lektura. A przebiega ona od lat wedle okrutnie stereotypowych interpretacji, jednocześnie lekceważąc to, co dzieci czytają z własnego wyboru. Tymczasem jesteśmy w bardzo interesującym momencie, kiedy bardzo wielu młodych ludzi znów sięga po książki. Księgarnie mają wyjątkowo bogaty wybór literatury dla młodzieży, a do tego literatura ta silnie czerpie z tradycji, szczególnie dużo zawdzięczając nielubianemu zwykle przez uczniów, albo po prostu nierozumianemu, okresowi romantyzmu.

Jakakolwiek będzie nowa lista lektur i bez względu na to, jakie szkoła będzie stawiała wymagania, bez dobrych nauczycieli trudno będzie przeczytać i zrozumieć jakikolwiek tekst – nie tylko na języku polskim. Tymczasem w samym województwie mazowieckim jest dzisiaj wolnych ponad 1300 wakatów, a w Małopolsce – 600 (łącznie w całym kraju prawie 5 tys.), przy czym – ze względu na to, że jesteśmy w połowie roku szkolnego – są to liczby niedoszacowane.

Po latach nieudanych reform powinniśmy zacząć od zadania sobie pytania, czym ma być szkoła, a następnie zrobić wszystko, by o składzie pokojów nauczycielskich nie decydowała negatywna selekcja do zawodu (co wymaga także gruntownego przemyślenia kształcenia przyszłych kadr). Warto też, by nowa ekipa MEN pracowała tak, by kolejna mogła zachować ciągłość zmian, zamiast – dla zasady – demonstracyjnie zaczynać od skreślania. ©℗

ŁUKASZ SOLSKI / EASTNEWS

NA PUNKTY

DYNAMICZNY
Nowym szefem delegacji PiS w Parlamencie Europejskim ma zostać – w miejsce Ryszarda Legutki – Dominik Tarczyński. Media przychylne partii Jarosława Kaczyńskiego piszą o „zdynamizowaniu działań", pozostałe twierdzą, że Kaczyński „wdeptał prof. Legutkę w ziemię". Inny przejaw „zdynamizowania" to trzecie już przesunięcie terminu „kongresu sił patriotycznych" w Katowicach: zamiast w styczniu i lutym – odbędzie się w marcu.

ZMIENNA
W kongresie raczej nie weźmie udziału była posłanka Lewicy, Porozumienia i PiS Monika Pawłowska, uprawniona do objęcia mandatu po skazanym Mariuszu Kamińskim: jak ujawnił Andrzej Stankiewicz, polityczka negocjuje z liderami Trzeciej Drogi, by po powrocie do Sejmu dołączyć do tego ugrupowania.

NAIWNY
Tymczasem w Sejmie „wystarczył e-mail nieistniejącej osoby, fanpejdż z kupionymi lajkami oraz absurdalny pomysł", by – na skutek prowokacji „Dziennika Gazety Prawnej" – 16 posłów napisało interpelację w sprawie wpisania na listę leków weterynaryjnych nieistniejącego preparatu dla psów rasy *shiba inu*. W gronie posłów, którzy podpisali dokument, znalazł się m.in. wiceszef MON Paweł Zalewski. ©℗

Egzamin dla Trzaskowskiego

MAREK KĘSKRAWIEC

Donald Tusk nie jest pewny, czy Rafał Trzaskowski (na zdj.) poradzi sobie w wyborach prezydenckich w 2025 r. Nie martwi się jednak kandydatem PiS, tylko Szymonem Hołownią. Prezydent Warszawy zniknął z polityki krajowej, nie budzi emocji w narodzie, a widać też wyraźnie, że jemu samemu ten stan odpowiada. Polityczna wojna toczy się w trójkącie: parlament, rząd, prezydent – a Trzaskowski zajął wygodną pozycję beneficjenta podjętej dawno temu decyzji PO o uczynieniu go kandydatem na głowę państwa.

To komfortowe życie zepsuł mu Tusk, decydując się na zerwanie rozmów z lewicą w sprawie koalicji na wybory samorządowe. Można premiera zrozumieć – lata skręcania w lewo sprawiły, że PO ma program podobny do Nowej Lewicy, więc walczy dziś w części o ten sam elektorat. I nie jest to przesadnie trudne, bo główny nurt lewicy skupiony wokół Czarzastego i Biedronia zachowuje się jak przystawka. Tylko Partia Razem pozostała autonomicznym głosem tego środowiska.

Decyzja Tuska uderza rykoszetem w Trzaskowskiego, który parł do koalicji z lewicą i myślał, że dzięki temu wyścig o warszawski ratusz wygra bez walki, bo kandydatem PiS został anonimowy w stolicy Tobiasz Bocheński. Teraz jednak okazuje się, że będzie miał konkurentkę w postaci wicemarszałkini Senatu Magdaleny Biejat. Lewicowa kandydatka jest właśnie z Razem, więc nie ma mowy, by „odpuściła" Trzaskowskiemu. Wyborów nie wygra, ale sprawi, że w sejmowej koalicji będzie iskrzyć. Pojawiły się podejrzenia, że Tusk chce unieruchomić „Trzaska" w stolicy, by samemu za rok zaryzykować walkę o Pałac Prezydencki. Kłopot w tym, że premier ma duży elektorat negatywny i mógłby przegrać wyścig z Hołownią. W ostatnim sondażu United Survey dla WP marszałek Sejmu zdobył 24,8 proc., Trzaskowski 22,2, a przedzielił ich Mateusz Morawiecki jako (domniemany) kandydat PiS z wynikiem 24,3 proc. Gdyby w sondażu umieszczono nazwisko Tuska, wynik kandydata KO byłby pewnie jeszcze gorszy.

Podczas sobotniej konwencji KO Tusk nazwał Trzaskowskiego przyjacielem. Jednak decyzją o zerwaniu sojuszu z lewicą w wyborach lokalnych premier równocześnie sprawdza, czy ten „miły człowiek" nadaje się do najważniejszej, zapewne brutalnej walki – o prezydenturę kraju. ©℗

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Watykan hamuje aktywność świeckich

ARTUR SPORNIAK

Tuż przed wiosennym zgromadzeniem niemieckich biskupów w Augsburgu Watykan przysłał im list z prośbą, by Episkopat nie głosował nad statutem Komitetu Synodalnego – nowej struktury, w której uczestniczą świeccy. Prośbę spełniono.

Reagując na głęboki kryzys wywołany w niemieckim Kościele raportem ukazującym skalę wykorzystania seksualnego nieletnich przez duchownych, biskupi rozpoczęli w 2019 r. rozmowy z Centralnym Komitetem Katolików Niemieckich (ZdK) w ramach tzw. Drogi Synodalnej. Zakończyła się ona w marcu 2023 r. postulatem m.in. diakonatu kobiet, wezwaniem do przemyślenia obowiązkowego celibatu księży oraz rewizji katechizmu w nauczaniu o homoseksualizmie. Zdecydowano także o powołaniu do 2026 r. niezgodnej z prawem kanonicznym Rady Synodalnej złożonej z biskupów i świeckich, posiadającej władzę w stosunku do Kościoła w Niemczech. Przygotowaniem tej rady miał się zająć Komitet Synodalny, którego statut został już przegłosowany przez ZdK.

Watykan próbuje zahamować reformy w Kościele niemieckim przynajmniej do czasu zakończenia w październiku tego roku w Rzymie ogólnokościelnego synodu o synodalności. Tego procesu jednak nie da się już zablokować. Ostatnio biskup Essen Franz-Josef Overbeck jako pierwszy powołał w swojej diecezji Radę Wspólną złożoną z przedstawicieli diecezjan. Formalnie ma ona charakter doradczy, ale biskup może traktować jej decyzje jako wiążące. W Niemczech Episkopat nie może już ignorować świeckich. ©℗

MATERIAŁY PRASOWE CPK

CPK: propaganda i liczby

LOTNICTWO ▪ Budowa nowego portu lotniczego dla Polski nie budziłaby dziś takich kontrowersji, gdyby poprzedni rząd nie uczynił z tej inwestycji propagandowego teatrzyku. Następcy mogliby wtedy po prostu przyznać, że widzą sens kontynuacji.

Jako że w debacie o CPK liczby zwykle nie padają, skoncentrujmy się właśnie na nich. Lotnisko na warszawskim Okęciu dziś balansuje na progu przepustowości. W ubiegłym roku przyjęło 21,1 mln pasażerów. Żeby obsłużyć więcej podróżnych, port musiałby przejść kolejną dużą rozbudowę – ale brak na to miejsca, bo sąsiaduje z obwodnicą Warszawy. Z pomocą drobnych inwestycji można by wyśrubować częstotliwość lotów w godzinach szczytu powyżej obecnych 48 na godzinę, ale – jak wynika z analiz spółki Polskie Porty Lotnicze – to zwiększy przepustowość Okęcia tylko do około 27-28 mln pasażerów rocznie.

Tymczasem Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych IATA przewiduje, że już w tym roku ruch lotniczy w Polsce wróci do stanu sprzed pandemii i na naszych lotniskach pojawi ok. 50 mln pasażerów. Do 2040 r. ich liczba ulegnie podwojeniu – to prosta konsekwencja rozwoju gospodarczego Polski. Jeśli infrastruktura nie będzie na to przygotowana, lotniska staną się hamulcowymi naszej gospodarki.

Port w Baranowie w pierwszym etapie inwestycji już w 2030 r. mógłby tymczasem przyjąć 40 mln pasażerów. Pięć lat później – 50 mln. „Na zero" inwestycja wyjdzie tymczasem już przy ruchu na poziomie ok. 29 mln rocznie. Gwarancją finansowej stabilności CPK jest więc zamknięcie lotniska na Okęciu i przeniesienie stamtąd całego ruchu do Baranowa.

Prawie 60 proc. Polaków chce, by rząd Donalda Tuska kontynuował budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego – wynika z sondażu IBRIS dla dziennika „Rzeczpospolita".

©℗ MAREK RABIJ

Nieludzka cena polityki migracyjnej

GRANICE ▪ Nowy raport organizacji Lekarze bez Granic przynosi wstrząsający obraz europejskiej polityki migracyjnej opartej na przemocy. Dokument jest efektem badań prowadzonych podczas projektów humanitarnych w dwunastu krajach Europy i Afryki. Dotyczy okresu od sierpnia 2021 r. do września 2023 r. Autorzy podkreślają, że na każdym etapie migracji do Unii Europejskiej stosowane są praktyki godzące w godność migrantów.

W raporcie opisano mechanizm „outsourcingu przemocy" stosowany przez Unię Europejską. Polega on na zatrzymywaniu migrantów w krajach poza Unią (Libia, Serbia). Na mocy umów UE oferuje sąsiadom wsparcie finansowe jako wyraz solidarności. Migranci pozostają tam bez dostępu do opieki zdrowotnej i prawnej.

Najczęstsze narzędzia przemocy to powstrzymywanie przed przekroczeniem granicy – medycy pomogli na granicach UE ponad 28 tys. osób, które zostały ranne na skutek pushbacków czy braku działań poszukiwawczo-ratowniczych. Dotyczy to głównie granic Grecji, Bułgarii, Węgier i Polski. W tej liczbie ponad 8 tys. stanowią uratowani na morzu.

Migrantów pozbawiano też wolności. Osoby, którym udało się dostać do Unii, przetrzymywane są w przypominających więzienia ośrodkach finansowanych ze środków unijnych (m.in. Grecja, Polska). Narażeni są tam na stres pourazowy oraz choroby zakaźne. Wykazano też przewlekłość procedur odbierającą poczucie bezpieczeństwa.

Inną formą stosowania przemocy była odmowa bezpieczeństwa socjalnego. Po przejściu podstawowych procedur przybysze spotykają się z polityką pozbawiającą ich możliwości godnego życia. W Belgii i Holandii zespoły medyczne udzielały pomocy osobom wykluczonym z opieki medycznej. Szczególnych ograniczeń w dostępie do usług medycznych doświadczają dzieci.

Z raportu wynika, że zapora wybudowana w 2022 r. na granicy polsko-białoruskiej znacząco zwiększyła ryzyko utraty zdrowia lub życia przez usiłujące ją przekroczyć osoby. Od stycznia do września 2023 r. prawie 40 proc. pacjentów doznało obrażeń podczas próby jej pokonania. Wymagali oni pilnej opieki szpitalnej. Ponadto medycy byli świadkami uwięzienia ludzi na obszarze między dwiema granicami, zwanym przez pacjentów „strefą śmierci". Byli tam narażeni na trudne warunki i przemoc ze strony służb białoruskich. Obszar ten pozostawał niedostępny dla organizacji społecznych i medycznych.

Obecne reformy przedstawione w pakcie UE w sprawie migracji i azylu jeszcze bardziej wzmacniają sieć przemocy, która ma na celu zniechęcenie i wykluczenie ludzi próbujących dostać się do Europy.

©℗ JACEK TARAN

MAHKA ESLAMI / MATERIAŁY PRASOWE MSF

Zdjęcie Bintou (po lewej) z podpisem „muszę być odważna dla moich dzieci". Bintou pochodzi z Wybrzeża Kości Słoniowej, została uratowana na Morzu Śródziemnym przez Geo Barents, łódź poszukiwawczo-ratowniczą Lekarzy bez Granic. Grudzień 2022 r.

W naszych domach zaświecą rośliny

GENETYKA ▪ W amerykańskich domach wkrótce stanie 50 tys. świecących petunii. Firma biotechnologiczna Light Bio rozpoczęła już przedsprzedaż pierwszej partii – w cenie 29 dolarów za sztukę – modyfikowanej genetycznie rośliny, której kwiaty emitują nocą bladozielone światło, widoczne w ciemnym pomieszczeniu. Roślina znana pod nazwą gatunkową *Petunia hybrida* i marketingową petunia świetlik (ang. *petunia firefly*) świeci dzięki genom pozyskanym z bioluminescencyjnych grzybów.

Jak podaje Katherine Bourzac w „Nature", dyrektor i współzałożyciel Light Bio – biochemik Keith Wood – pracował nad świecącymi roślinami od czterech dekad. W latach 80. był członkiem zespołu, który przeszczepił geny pozwalające na wytwarzanie lucyferazy, związku odpowiedzialnego za świecenie u świetlików, do tytoniu szlachetnego. Celem badaczy nie było wówczas wyhodowanie rośliny, która będzie cieszyła oko amatorów kwiatów doniczkowych i robiła wrażenie na znajomych – ale stworzenie narzędzia badawczego, pozwalającego stwierdzać, w jakich warunkach aktywują się konkretne geny w organizmie (można je zsynchronizować z genami lucyferazy – i obserwować, kiedy roślina świeci).

Tego narzędzia – do dzisiaj stosowanego w nauce – nie było jednak łatwo przerobić w komercyjny produkt. Produkujące lucyferazę rośliny wymagają specjalnych warunków i nawozu. Mechanizm świecenia przeszczepiony od grzybów nie nastręcza podobnych trudności – świecące petunie potrzebują tylko wody, umiarkowanej temperatury i dostępu do światła dziennego.

Petunia hybrida objęta jest patentem, który w teorii zabrania rozmnażania jej przez hodowców – ale przedstawiciele firmy nie kryją, że nie będą w stanie tego zakazu egzekwować. Nie ma jednak wielkiego ryzyka, że „spiracona" roślina wymknie się do środowiska i je zmieni – nie jest to gatunek inwazyjny ani nawet rodzimy dla Ameryki. Szefowie Light Bio zapowiadają, że roślinę będą sukcesywnie ulepszać, tak by klienci stale sięgali po oryginalne sadzonki.

Pierwsza bioluminescencyjna roślina może nie tylko odmienić nasze mieszkania. W przyszłości łatwo sobie wyobrazić inne świecące gatunki, które zostaną wkomponowane do przestrzeni publicznej przez architektów krajobrazu. Już wkrótce może przyjść na świat pokolenie ludzi, dla których wyprawa nocą do lasu nie będzie kojarzyła się z wszechogarniającą ciemnością.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

MATERIAŁY PRASOWE LIGHT BIO

Petunia hybrida **według twórców będzie świecić tym jaśniej, im lepiej właściciele będą o nią dbać. Producent rośliny zapowiada dalsze jej ulepszenia.**

Sora: sztuczna inteligencja ma wizję świata

TECHNOLOGIE ▪ Modnie ubrana kobieta idzie przez oświetlone neonami, deszczowe Tokio. Kolejne nagranie: pejzaż widziany z okna jadącego pociągu pasażerskiego. Na jeszcze innym klipie astronauta w hełmie z czerwonej włóczki bada dziwny świat przypominający wysuszone jezioro. Wideo generowane przez Sorę, najnowszy model sztucznej inteligencji zaprezentowany przez OpenAI, to sensacja ostatnich dni.

Od kilkunastu miesięcy inne firmy pokazywały, jak ich modele przetwarzają komunikaty tekstowe na wideo, ale pod względem jakości daleko im było do ujęć tworzonych przez Sorę. A te wyglądają, jakby nakręcił je zdolny filmowiec, i to z całkiem pokaźnym budżetem. OpenAI twierdzi jednak, że to nie zapierająca dech jakość wideo jest prawdziwym przełomem. To ma być jedynie kolejny krok do osiągnięcia znacznie ważniejszego celu: „Sora służy jako podstawa dla modeli, które mogą zrozumieć i symulować rzeczywisty świat, zdolność, którą uważamy za ważny kamień milowy dla osiągnięcia AGI".

AGI, czyli ogólna sztuczna inteligencja, jest Świętym Graalem badań w tej branży. Ma być programem działającym jak ludzki umysł, który rozwiązuje dowolne zadanie. OpenAI powołano do życia właśnie po to, by stworzyć AGI „przyjazne człowiekowi". I wygląda na to, że firma konsekwentnie dąży do tego celu, zbierając kolejne elementy jak puzzle: najpierw powstał model językowy GPT, a później tworzący obrazy DALL-E i generująca wideo Sora. W tej układance model językowy można porównać do ludzkiego mózgu, a model wideo do świata fizycznego. Gdy Sora zostanie udostępniona użytkownikom, zaczną ją trenować, wykorzystując ją do pracy i zabawy, tak by coraz dokładniej odzwierciedlała prawdziwy świat, a model językowy mógł się go uczyć.

Na razie jednak do Sory dostęp mają jednak tylko wybrani. OpenAI udostępniła program niewielkiej grupie twórców, którzy mają testować, do czego najlepiej się nadaje i jak go usprawnić. A na razie zdarzają mu się całkiem poważne błędy. W raporcie technicznym wymieniono m.in. problemy z pokazywaniem rozbijania szkła czy ujęciami jedzenia („na przykład osoba może ugryźć ciasteczko, które później może nie mieć śladu ugryzienia"). Do Sory dostęp uzyskali też eksperci, którzy poddają ją agresywnym testom polegającym na wyszukiwaniu nowych sposobów obejścia zabezpieczeń. Ma to uniemożliwić wykorzystywanie programu do tworzenia treści zawierających przemoc, deepfake'ów, pornografii czy innych szkodliwych przekazów.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEMAT TYGODNIKA

TWARDY RESET

Dwa lata od rozpoczęcia inwazji Rosji na Ukrainę i dekadę po aneksji Krymu stosunki polsko-ukraińskie są wyśmienite, ale w wymiarze retorycznym. W praktyce są one w głębokim kryzysie.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

O konieczności odnowienia umownego „projektu przyjaźń" z Wołodymyrem Zełenskim premier Donald Tusk zapewniał tuż po objęciu władzy. Ów projekt został zapoczątkowany tuż przed wojną, w styczniu 2022 r. przez prezydenta Andrzeja Dudę, goszczącego przez dwa dni Zełenskiego w rezydencji w Wiśle. Sojusz nie przetrwał jednak próby czasu. Skończył się definitywnie wraz z kryzysem zbożowym na naszej granicy.

Jeszcze wcześniej Duda przestał inwestować w osobiste relacje z Zełeńskim, gdy uznał, że jest przez niego wykorzystywany. Nie chciał grać roli asystenta; w zasadzie znudził się też samą wojną.

Konflikt ważnych interesów

Elity polityczne Kijowa przyjęły ostatnie deklaracje Tuska z entuzjazmem. Szybko się jednak okazało, że polski rząd rozumie ten projekt nieco inaczej niż strona ukraińska.

„Nic tak nie buduje wzajemnego szacunku i przyjaźni, jak bezinteresowna pomoc w chwilach próby. Chcę was zapewnić, że nie zostaniecie sami w żadnej, nawet najbardziej dramatycznej chwili" – mówił Tusk w Kijowie pod koniec stycznia. „Dziś rozmawiamy o resecie relacji rządów Ukrainy i Polski. Ten reset odbywa się na zasadach równości i wzajemnej pomocy. Na warunkach partnerstwa i wspólnego celu, niezależności i dobrobytu naszych krajów. Jesteśmy partnerami strategicznymi, przyjaciółmi i sojusznikami. Ukraina jest bardzo wdzięczna za wsparcie w tych cięż-

kich czasach" – zrewanżował się premier Denys Szmyhal.

Jeśli postrzegać politykę przez pryzmat słów, wszystko wygląda pięknie. Po kilku miesiącach niemal całkowitego zamrożenia kontaktów Warszawa-Kijów rozmowy odbywają się na najwyższym szczeblu. Jest zapowiedź wspólnego posiedzenia rządów, na wzór współpracy elizejskiej między Niemcami i Francją.

W kwestii polityki bezpieczeństwa Kijów rzeczywiście pozostaje dla Warszawy priorytetem. Jeśli jednak przyjrzeć się kwestiom handlu i usług, a nawet całej gospodarki, przez te dwa lata wojny doszło do tektonicznych i nieodwracalnych zmian, które najpewniej ukształtują stosunki polsko-ukraińskie na zupełnie nowych zasadach. Niezależnych od tego, kto będzie w Polsce i w Ukrainie rządził. I dalekich od miłych słów, które padają z ust polityków.

Wojna przyspieszyła otwarcie rynku unijnego na produkty rolne i usługi ukraińskie. W tym czasie Polska miała okazję uważnie się przyjrzeć, jak ten proces wpłynie na naszą ekonomię. Okazało się, że wpłynął, delikatnie mówiąc, niezbyt korzystnie, bo obydwa państwa – jako kraje przede wszystkim rolnicze i oferujące tzw. tanią siłę roboczą – na wielu polach są dla siebie rywalami, a nie partnerami. Dopóki głównym partnerem handlowym Ukrainy była Rosja, a rynkami zbytu na zboże i produkty rolne Bliski Wschód i Afryka, nie było problemu. Gdy z powodu wojny wajchę przestawiono na Europę, sytuacja zaczęła się zmieniać.

Po dwóch latach zmieniają się również nastroje społeczne po obydwu stronach. I w Polsce, i w Ukrainie wzajemna sympatia powoli wyparowuje. Relacje wchodzą w okres w najlepszym razie pragmatyczny, a na pewno w etap okazywania sobie wzajemnej asertywności. Bez romantycznych wizji budowania wspólnego państwa czy bezkrytycznego popierania każdej inicjatywy ukraińskiej w Unii i każdego polskiego pomysłu w Kijowie.

Politycy co prawda rzucają okrągłe deklaracje, ale nadal pozostają w głębokim deficycie zaufania. Ukraińcy wątpią w polskie intencje w sprawach gospodarczych, ale i historycznych. W rolnictwie i handlu chcą wstawić nogę w drzwi jednolitego rynku unijnego, a w kwestii stosunku do przeszłości – nie zamierzają wychodzić z roli ofiary i przyznać, że na Wołyniu w latach 40. XX wieku doszło do ludobójstwa Polaków.

Po naszej stronie również panuje nieufność. Rząd Tuska – jak wynika z nieoficjalnych rozmów z przedstawicielami nowej ekipy – jest przekonany, że Zełenski, formułując pod adresem Polski krytykę w ONZ jesienią ubiegłego roku i wrzucając nas do jednego worka z Rosjanami, poszedł za daleko. Niezależnie od tego, że u władzy była wówczas ekipa Zjednoczonej Prawicy, uznano to za grubą przesadę. Elity Platformy Obywatelskiej mają zresztą swoje traumy na tym polu. 9 kwietnia 2015 r., w dniu, w którym w ukraińskim parlamencie – rok po rewolucji godności – przemawiał prezydent Bronisław Komorowski, deputowani przyjęli ustawy historyczne. Projekt „o statusie prawnym i uczczeniu pamięci uczestników walk o niezależność Ukrainy w XX wieku" prezentował Jurij Szuchewycz, syn Romana Szuchewycza, dowódcy operacyjnego UPA, osobiście odpowiedzialnego za ludobójstwo wołyńskie. To ten sam Jurij Szuchewycz, który w 2011 r. na wiecu we Lwowie nawoływał do przyłączenia do Ukrainy polskiego Nadsania, Chełmszczyzny i Podlasia. W ustawie, którą przedstawiał i którą przyjęto – znalazły się m.in. ogólnikowe i nie do końca jasne zapisy penalizujące ↦

SVEN SIMON / BIURO PREZYDENTA UKRAINY / EAST NEWS

Spotkanie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i premiera Donalda Tuska w Kijowie. 22 stycznia 2024 r.

OLEG MARUSIC / REPORTER

Protest przewoźników na granicy polsko-ukraińskiej. Medyka, 23 listopada 2023 r.

↦ „zaprzeczanie faktu legalności walki o niezależność Ukrainy w XX wieku", co – jak przyznawał wówczas w rozmowie ze mną badacz ludobójstwa wołyńskiego prof. Grzegorz Motyka – mogło zostać odebrane jako próba uderzenia w historyków zajmujących się ciemnymi kartami ukraińskiej historii. Te doświadczenia zostały w pamięci przedstawicieli ekipy, która przejęła właśnie władzę w Polsce. Efektem było między innymi przypomnienie przez Tuska w Kijowie kwestii zablokowanych ekshumacji w Ukrainie.

Skandal wart 459 złotych

11 lutego, niedziela. Niecałe dwa tygodnie przed drugą rocznicą inwazji. W Dorohusku, za przejściem granicznym, na poboczu stoją trzy ukraińskie ciężarówki. Zatrzymali je protestujący polscy rolnicy. Według słów jednego z kierowców, które można usłyszeć na nagraniu podbijającym ukraiński internet – zaplombowane maszyny jadą tranzytem na Litwę. Polacy są innego zdania, ale uczciwie trzeba przyznać – nie mają na to żadnych dowodów. Polscy rolnicy twierdzą, że – owszem – pojadą one na Litwę, ale tylko po to, by zdjąć tam z nich plomby, podbić papiery i wrócić z towarem na polski rynek.

Na drogę sypie się zboże. Według ukraińskich kierowców mniej więcej po trzy tony z każdej ciężarówki. Według Polaków: w sumie trzy tony. W tym czasie w Morągu trwa spotkanie Donalda Tuska z mieszkańcami. Jest na nim również wiceminister rolnictwa i dawny trybun ludowy Michał Kołodziejczak. Przekonuje, że tona ukraińskiej pszenicy nielegalnie sprzedawanej w Polsce potrafi kosztować 51 złotych, czyli 20 razy mniej niż w oficjalnym obiegu. Jeśli przyjąć tę stawkę za prawdziwą, incydent w Dorohusku kosztował Ukraińców maksymalnie 459 złotych. Tyle wynosi cena skandalu, który już na wstępie uderzył w próbę polepszenia relacji z Kijowem.

W międzyczasie do gry wchodzi absolwent Krajowej Szkoły Administracji Publicznej w Warszawie i zarazem wiceminister gospodarki i handlu Ukrainy Taras Kaczka. To on gra główne skrzypce w krytyce Polski od początku kryzysu zbożowego, czyli od wiosny 2023 r. Tym razem idzie nawet dalej niż w czasach rządów PiS.

„Brak reakcji polskich władz na zniszczenie ukraińskiego zboża na granicy doprowadzi do wzrostu ksenofobii i przemocy politycznej (...) albo będziemy się bać przemocy, która niszczy już nie tylko handel polsko-ukraiński, ale i Trójkąt Lubelski – bo zniszczono zboże, które miało trafić na Litwę – albo w końcu zreflektujemy się i zaczniemy rozmawiać jak dorośli. (...) W przeciwnym razie jutro Mekler [Rafał Mekler uznawany jest w Ukrainie za lidera protestujących rolników – red.] i jego banda zaczną zabijać Ukraińców za to, że są Ukraińcami. Niestety, nie jest to spekulacja. Miesiąc temu Polska wspominała zabójstwo prezydenta Gdańska z powodu nienawiści na tle politycznym" – przekonywał ukraiński wiceminister.

Można odnieść wrażenie, że politycy tacy jak Kaczka z trudem powstrzymują się od wprowadzenia do obiegu kolejnego po urbicydzie (równanie z ziemią przez Rosjan miast takich jak Bachmut czy Awdijiwka) i ekocydzie (zniszczenie tamy w Nowej Kachowce) pojęcia – agrocydu (czyli celowego wysypywania zboża i blokady granicy). Zdaniem ministra Kaczki, jeśli protesty po stronie polskiej będą się utrzymywać, w odpowiedzi możliwe są ataki na ciężarówki, które dostarczają polskie sery i inne towary żywnościowe do ukraińskich sklepów. Rzeczywiście, Polska eksportuje przetworzoną żywność do Ukrainy. Transporty są jednak opłacone z góry, a w sklepach ukraińskich stanowią już ich własność. Gdyby zatem doszło do zapowiadanych przez Kaczkę ataków, Ukraińcy zaszkodziliby sami sobie.

Jak przekonują rozmówcy w polskim rządzie, oświadczenie przedstawiciela tak wysokiego szczebla odebrano jako zawoalowaną groźbę. W rezultacie Kaczka usłyszał słowa, których nie powstydziłby się polityk PiS czy Konfederacji. „Trzeba bezwzględnie uszczelnić granicę, trzeba szukać takich rozwiązań, które pozwolą naszym rolnikom produkować" – powiedział PAP wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi Stefan Krajewski. Jeszcze dalej poszedł wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski z PSL. „Proszę tu polskich rolników, panie ministrze gospodarki Ukrainy, nie obrażać, bo jest pan na najlepszej drodze, by popsuć dobre relacje. My, jako Polacy, dajemy świadectwo przyjaźni i tego, że stoimy po właściwej stronie, ale też chcemy powiedzieć naszym przyjaciołom walczącym o swoją wolność, że przystąpienie do Unii będzie musiało uwzględniać także naszą sytuacją gospodarczą i rolniczą" – powiedział wicemarszałek. Sam Tusk stwierdził z kolei, że wsparcie Ukrainy „nie może odbyć się kosztem naszych rolników".

Siedem razy tańsi

Sytuacja jest paradoksalna. Nowy polski rząd, na który miał postawić Wołodymyr Zełenski w czasie naszej ostatniej kampanii wyborczej – w relacjach z Ukrainą wchodzi w buty PiS i Konfederacji. A Kijów wraca do gry tylko na Komisję Europejską, walcząc o załatwienie problemów z dostępem do rynku unijnego przez Brukselę, a nie Warszawę. Częściowo

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

mu się to zresztą udaje, czym budzi jeszcze większą frustrację po stronie polskiej.

Ze zbożem Ukrainie wychodzi różnie. Z cukrem, jajkami i drobiem radzi sobie jednak całkiem dobrze. W wynegocjowanym porozumieniu z Komisją Europejską Kijów zyskuje do 2025 r. dostęp do rynku Wspólnoty w ilościach, które Ukraina eksportowała do niej w latach wojennego piku 2022-23. Czyli praktycznie bez ograniczeń...

W czerwcu tego roku stosunki polsko-ukraińskie czeka kolejna rafa. Do tego czasu między rządem Denysa Szmyhala i KE ma zostać wynegocjowana nowa umowa o przewozach do Unii realizowanych przez ukraińską branżę transportową. Przed rolnikami granicę blokowali bowiem polscy TIR-owcy, przekonując, że jeśli pozwoli się na wolny dostęp naszych sąsiadów do rynku UE, nasza branża zostanie zaorana. I dlatego już 1 marca kierowcy najpewniej – podobnie jak rolnicy – wrócą na granicę. Przed wizytą Tuska w Kijowie zawiesili protest w geście dobrej woli, by nie komplikować premierowi rozmów ze Szmyhalem i Zełenskim. Problem jednak nie zniknął.

– Ukraińcy oferują usługi siedem razy tańsze niż Polacy. Jeśli rozgoszczą się na rynku unijnym, to za trzy, cztery lata z polskiej branży przewoźników nie będzie co zbierać – mówi anonimowo przedstawiciel polskich władz zaangażowany w rozmowy ze stroną ukraińską. – Polscy przewoźnicy chcą powrotu do systemu pozwoleń. To najpewniej nie będzie możliwe, jednak tak samo jak w przypadku zboża potrzebna jest na pewno ochrona tego rynku. Możliwe, że coś na wzór małego pakietu mobilności dla Ukraińców – dodaje.

Polacy chcą sięgnąć po pojęcie dumpingu socjalnego, który był batem na polskich przewoźników, stosowanym wcześniej przez Niemcy i Francję. Tym razem chodzi o to, aby koszty świadczenia usług po stronie ukraińskiej wyrównały się z polskimi, a konkurencja stała się sprawiedliwa. Podkreślał to na konferencji w Kijowie szef polskiego MSZ Radosław Sikorski. Jednak gdy mówił o „przywróceniu warunków uczciwej konkurencji", jego odpowiednik blokadę granicy przez kierowców określił mianem „niedopuszczalnej i szkodliwej".

Dwie narracje

Zboże, cukier, drób, jajka i transport – tu skupia się istota problemów w stosunkach polsko-ukraińskich po dwóch latach wojny. Po obydwu stronach granicy istnieją dwie narracje dotyczące tych relacji i dwie narracje dotyczące samej wojny. Obie się nie przecinają, nie mają punktów wspólnych, a co gorsza: nie słyszą się. Polska – zarówno ta rządzona przez Jarosława Kaczyńskiego, jak i przez Donalda Tuska – przekonuje, że stajemy się ofiarami nieuczciwej konkurencji, a to wszystko dzieje się w czasie, gdy pozostajemy jednym z liderów w dostawach broni dla Kijowa albo w lobbowaniu za tymi dostawami. Ukraina z kolei przekonuje, np. ustami wicepremier Iryny Wereszczuk, byłej stypendystki Kirklanda w warszawskiej Krajowej Szkole Administracji Publicznej, że bierzemy jej „gospodarkę za zakładnika" w czasie, gdy państwo jest „bezbronne i liczy każdą hrywnę na armię oraz świadczenia socjalne".

W Polsce powszechne jest przekonanie, że uratowaliśmy Ukrainę przed upadkiem, dostarczając jej w pierwszych ↦

REKLAMA

Prestige 15 lat MJM
BILET SERWIS
RZECZPOSPOLITA
TYGODNIK POWSZECHNY
proart
VIXON MEDIA

↦ miesiącach inwazji ciężką broń – czołgi T72, armatohaubice Krab i samoloty Mig 29. W Ukrainie równie powszechne jest przekonanie, że jesteśmy niewdzięcznikami, którzy nie dostrzegają ofiary krwi w obronie – również – polskiego bezpieczeństwa. Tym samym doszło do swoistego przesunięcia mesjanizmu na Wschód. Ukraina jawi się w nim jako współczesne Koło Sprawy Bożej, a Wołodymyr Zełenski odgrywa w nim rolę Andrzeja Towiańskiego. W tak nasyconym emocjami i mitologiami układzie może być trudno o realne porozumienie.

Efekt jest taki, że Polska i Ukraina – niezależnie od optymistycznych deklaracji podczas wizyt Tuska i Sikorskiego w Kijowie – oddalają się od siebie, czego wyrazem jest komentarz opublikowany 5 stycznia w opiniotwórczym portalu Europejska Prawda, pod którym podpisała się cała redakcja. Można się z niego dowiedzieć, że Polska prowadzi „wojnę" przeciwko europejskiej przyszłości Ukrainy i robi to świadomie. Również pod rządami Donalda Tuska. Za początek tej wojny uznawany jest kryzys zbożowy uruchomiony w kwietniu 2023 r. No właśnie, uruchomiony. Tylko przez kogo? Zdaniem Europejskiej Prawdy oczywiście przez Polskę, która wprowadzając embargo, pociągnęła za sobą cały region – Słowację, Węgry, Rumunię i Bułgarię. Efektem tego ma być wspomniana wojna handlowa, której ofiarą jest Ukraina.

W edytorialu redakcji role są rozdane w przewidywalny sposób. Złe są PiS i Konfederacja, którą w najlepszym razie zasilają „użyteczni idioci", a w najgorszym „agenci Kremla". Tusk miał być nadzieją na zmianę; opisywany jest w komentarzu jako liberał i Europejczyk – swoją drogą, ciekawa kategoria – ale przede wszystkim jako wielkie rozczarowanie. Bo, jak czytamy, „nawet ostrożne oczekiwania (Ukrainy – red.) nie zostały spełnione". Choćby zniesienie embarga na import zboża ukraińskiego, które wprowadził Mateusz Morawiecki, a rząd Tuska utrzymał.

W tekście pojawia się klasyczna, lecz odległa od prawdy lista zarzutów pod adresem protestujących rolników i kierowców na granicy. Po pierwsze, mają blokować pomoc wojskową, również tę z USA. Po drugie, blokada granicy miała kosztować życie dwóch kierowców ukraińskich, czego nie potwierdzają jednak wyniki sekcji zwłok. Najważniejsza jest jednak konkluzja tego materiału – po dwóch latach wojny „wbrew oficjalnej retoryce, Polska nie dopuści do członkostwa Ukrainy w UE". Cytowany jest przy tej okazji żart, w którym po buncie rolników i kierowców ma przyjść czas na polskie linie lotnicze. Oprotestują one ponowne otwarcie lotniska we Lwowie, bo odbiera pasażerów ukraińskich, którzy w związku z zamknięciem nieba nad Ukrainą latają z miast polskich.

Liczba niedorzecznych argumentów w tym tekście przekracza granice zdrowego rozsądku. Mimo to materiał w Europejskiej Prawdzie jest ważny. Sumuje najważniejsze tendencje, jakie wygenerowały dwa lata wojny w naszych relacjach gospodarczych. Niezależnie od tego, jak bardzo jest jednostronny, pokazuje, jak wyglądają puszczone na żywioł relacje między Ukrainą a UE. Trochę przypadkiem opisuje też otwarcie rynku i liberalizację, które nie dotknęły starej Europy, ale uderzyły po kieszeni biedniejsze państwa Unii z Europy Środkowej.

Koniec prezentów

To wszystko musi się przekładać na sondaże. Jak wynika z ukraińskiego badania na zlecenie Centrum Mieroszewskiego, przeprowadzonego przez pracownię Info Sapiens w dniach 11-19 stycznia 2024 r., postrzeganie Polaków w Ukrainie się pogarsza.

W podobnym badaniu sprzed trzech miesięcy 67 proc. Ukraińców miało o Polakach dobre zdanie, a 1 proc. – złe. W tym styczniowym odsetek Ukraińców mających dobrą opinię o Polakach zmniejszył się do 44,5 proc., zwiększył się natomiast do 9 proc. odsetek respon-

Od alkodyplomacji do nieufności

WYNIK WYBORÓW PREZYDENCKICH w Ukrainie w 2019 r. był dla polskich władz zaskoczeniem. Zjednoczona Prawica – sfrustrowana relacjami z urzędującą głową państwa, Petrem Poroszenką – grała na Julię Tymoszenko. Zwycięstwo Wołodymyra Zełenskiego, „kandydata z przypadku", miało swoje konsekwencje. Nie znano jego otoczenia biznesowego i najbliższych współpracowników.

DO PIERWSZEJ WIZYTY Andrzeja Dudy w Kijowie doszło dopiero w październiku 2020 r. (ukraińskie wybory odbyły się w kwietniu 2019). Pomysł budowania „projektu przyjaźń", którego architektem jest były minister w kancelarii prezydenta Jakub Kumoch, powstał podczas szczytu Platformy Krymskiej w sierpniu 2021 r. Miał nawiązywać do tradycji Aleksandra Kwaśniewskiego i Leonida Kuczmy, między którymi wyczuwało się chemię, co przynosiło korzyści Warszawie i Kijowowi. Duda – zawiedziony doświadczeniami z Poroszenką – wchodził w ten projekt z rezerwą, ale rosnące zagrożenie wojenne przyspieszyło sprawy. Nasz prezydent zrozumiał, że bliskie stosunki z Zełenskim będą wzmacniały jego pozycję wobec USA.

W STYCZNIU 2021 R. doszło do rozmów w Wiśle, a właściwie do regularnej imprezy, na której przełamano nieufność. Andrzej Duda obok Gitanasa Nausėdy był również ostatnim przywódcą, który przebywał w Kijowie przed wojną. Wracał do Polski w nocy, gdy w zasadzie rusza ły działania zbrojne. Już w czasie wojny, w marcu, Kijów odwiedzili też Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński, a niecały miesiąc później w Ukrainie był znowu Duda – pojechał do Buczy. Szczyt tego karnawału przyjaźni to maj 2022 r. i przemówienie polskiego prezydenta w Radzie Najwyższej.

ZEŁENSKI W POLSCE był krótko w grudniu 2022 r., gdy wracał z USA, a pełną wizytę złożył dopiero w kwietniu 2023 r. Już we wrześniu w ONZ zarzucił Polsce, że w kwestii zboża gra w jednej drużynie z Rosją. Od tego czasu nastała dyplomatyczna zima, a prezydent Ukrainy wprowadził nieoficjalny zakaz kontaktów między politykami ukraińskimi i polskimi. Podczas naszej kampanii sugerował, że nie gra na PiS. Styczniowa wizyta Donalda Tuska w Kijowie miała być początkiem nowego otwarcia. © ZP

dentów mających o nas złą opinię. Co ciekawe, opinia o Polakach pogorszyła się znacznie bardziej na wschodzie Ukrainy – tam niechęć deklaruje 18 proc.

Po dwóch latach wojny jedno na pewno nie uległo zmianie – Polska była i nadal jest w głównym nurcie, jeśli chodzi o wsparcie wojskowe dla Ukrainy. Abstrahując od kwestii oczywistych, takich jak przekazanie czołgów i samolotów bojowych w pierwszych tygodniach wojny, od kwietnia 2023 r. w Zakładach Mechanicznych Bumar Łabędy we współpracy z Ukroboronpromem naprawiane są ukraińskie czołgi T-64. Maszyny Leopard 1 i 2, przekazane Ukrainie zimą 2023 r., również są serwisowane w Gliwicach. Miasto ma być prawdziwym hubem dla napraw sprzętu ukraińskich wojsk lądowych. Obecnie – jak wynika z rozmów z przedstawicielami ministerstwa obrony – trwają również prace nad wypełnieniem treścią „pakietu Tuska", czyli dostawy sprzętu realizowanej przez nową władzę. Polskiemu premierowi dziękował za to podczas styczniowej wizyty w Kijowie Wołodymyr Zełenski. Ten pakiet ma zawierać nową partię uzbrojenia, czyli dwa bataliony czołgów T72, które wciąż znajdują się na stanie polskiej armii. Są w kiepskim stanie technicznym, ale wciąż nadają się do naprawy. W pakiecie jest również 12 posowieckich śmigłowców szturmowych Mi-24, które mogłyby posłużyć jako części zamienne, a także zestawy rakietowe ziemia-powietrze Kub. Te ostatnie mogłyby wziąć udział w amerykańskim projekcie FantomSAM, czyli hybrydowych systemów obrony powietrznej. Taki zestaw składa się z elementów produkcji sowieckiej i pocisków pochodzących z Zachodu. Na tej zasadzie skutecznie udało się już połączyć zestawy Buk z pociskami Sea Sparrow oraz posowieckie radary z pociskami Sidewinder.

> W Polsce jesteśmy przekonani, że uratowaliśmy Ukrainę, dostarczając jej w pierwszych miesiącach inwazji ciężką broń. Według Ukraińców jesteśmy niewdzięcznikami, którzy nie dostrzegają ofiary krwi w obronie również polskiego bezpieczeństwa.

Kuby miałyby stać się kolejnym tego typu projektem. Tusk w Kijowie mówił również, że „będziemy finalizować rozmowy w sprawie wspólnych inwestycji w produkcję broni i amunicji" oraz „będziemy inwestować w firmy w Polsce i Ukrainie, które będą działały na rzecz zwiększenia naszych zdolności obronnych". To wyraźna sugestia, że skończył się czas przekazywania wszystkiego za darmo.

■■■

Układ, który dziś rodzi się między Polską a Ukrainą, trudno nazwać resetem. W nieoficjalnej rozmowie węgierski polityk blisko współpracujący z szefem MSZ Péterem Szijjártó – już po powstaniu rządu Tuska – wyraził opinię, że Polska mimo zmiany władzy ma szansę w końcu powiedzieć precyzyjnie Ukraińcom, czego oczekuje i co może zaoferować, a tym samym spróbować oczyścić relacje z niejednoznaczności. „Może wtedy nie będziecie musieli oglądać absurdalnych obrazków, gdy premier Polski składa samotnie kwiaty w szczerym polu, bez asysty swojego ukraińskiego odpowiednika, aby upamiętnić zamordowanych w ludobójstwie wołyńskim. Rozumiem, że dla Polski ważne są symbole i manifestowanie bólu. Warto jednak zrozumieć, że samotny premier w polu nigdy Ukraińców nie wzruszy. Takie zachowanie jest dla nich dowodem słabości, a nie siły. Słabości, która w relacjach z wymagającym sąsiadem nigdy nie przynosi żadnych korzyści" – podsumował Węgier. Niezależnie od tego, jak krytycznie oceniamy politykę Budapesztu wobec Kijowa, trudno z tą opinią polemizować.

© ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej".

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Prawa potomków Noego

Zakaz bałwochwalstwa, bluźnierstwa, zabójstwa, niemoralności seksualnej (np. cudzołóstwo, kazirodztwo), kradzieży i spożywania kawałków żywego zwierzęcia. Nakaz tylko jeden: zorganizowanie sądów. Wystarczy stosować się do tych siedmiu Praw synów Noego – czyli nawet nie do Dziesięciu Przykazań – by zostać uznanym za człowieka sprawiedliwego, godnego życia w przyszłym świecie. Wszyscy ludzie pochodzą pierwotnie od Adama, a po potopie – od Noego, stąd „synowie (w sensie: potomkowie) Noego". Powyższe siedem praw to oczekiwania judaizmu wobec całej ludzkości. Poprzeczka dla Żydów ustawiona jest gdzie indziej. Powszechnie używa się symbolicznej liczby 613, na którą składa się 365 zakazów, odpowiadających liczbie dni w roku słonecznym, i 248 nakazów – na tyle szacuje się liczbę członków (kości pokrytych ciałem) w ludzkim ciele. Owe 613 przykazań nie jest koncepcją biblijną, lecz liczbą zaczerpniętą z kazania rabina Simlaja, który żył w III wieku ery chrześcijańskiej. Zapewne miał on na myśli konieczność przestrzegania Tory przez wszystkie dni w roku całym naszym ciałem.

Niektórzy rabini pokusili się o ułożenie listy zawierającej 613 przykazań. Największą estymą cieszy się ta sporządzona przez żydowskiego filozofa wszech czasów – rabina Mojżesza Majmonidesa, przełożona na polski przez Ewę Gordon („Tarjag micwot"). Przykazania nie są rozmieszczone w Pięcioksięgu równomiernie. W samej Księdze Rodzaju doszukamy się zaledwie trzech: „bądźcie płodni i rozmnażajcie się", nakaz obrzezania i zakaz spożywania nerwu kulszowego. Bywają jednak fragmenty Tory nimi naszpikowane. W czytanym w synagogach w bieżącym tygodniu fragmencie (Wj 21-24) jest ich aż 53 (23 nakazy i 30 zakazów)!

613 brzmi imponująco, ale warto sobie uświadomić, że nie wszystkie prawa obowiązują wszystkich. Są przykazania dotyczące tylko mężczyzn, tylko kapłanów, a nawet tylko żydowskiego króla. W świetle tego można rozważyć wers z bieżącej porcji Tory: „I wziął księgę przymierza i przeczytał przed uszy ludu; i rzekli: »Wszystko co powiedział Wiekuisty spełnimy i usłuchamy«" (Wj 24, 7; Cylkow). Jak pojedynczy Żyd ma wypełnić wszystko? Wskazówkę znajdziemy w innym podobnym wersie: „I odpowiedział cały lud razem, mówiąc: Wszystko, co rzekł Wiekuisty, uczynim!" (Wj 19, 8). „Razem" – jako jeden organizm – Izrael jest w stanie wypełnić dosłownie „wszystko, co rzekł Wiekuisty". W pierwszym wersie brakuje „razem" i nie można potraktować ludu *en bloc*. Tu pomocna będzie koncepcja, że nagroda za zgłębianie przykazań jest taka, jakbyśmy rzeczywiście je wypełnili. Stąd „usłuchamy", nieobecne w drugim wersie, daje każdemu szansę na nagrodę za wypełnienie wszystkich 613 przykazań. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Niech wróci Alleluja

Mojżesz, Jezus i Eliasz na Górze Przemienienia to jakby tryptyk obrazujący sposób dziania się rzeczywistości, w której żyjemy. Mojżesz to wciąż rozwijający się początek, Jezus to dzień dzisiejszy, Eliasz to przyszłość dziejąca się już teraz, a czas jawi się jako konkretyzacja wieczności. Kohelet mówi: „To, co jest teraz, już było; co ma nastąpić, już jest. Ale Bóg odszuka to, co zginęło". „W ten sposób zrozumiałem, że nie ma nic lepszego dla człowieka niż radość ze swoich dzieł. To jego cząstka, którą powinien się zadowolić. Bo któż go zaprowadzi tam, skąd mógłby zobaczyć, co będzie po nim?". I odpowiada: „Pojąłem, że wszystko, co czyni Bóg, będzie trwać na wieki". Inny „Kohelet", Paweł z Tarsu powie: „Czy nie wiecie, że jesteście świątynią Boga i że Duch Boży w was mieszka?".

A to znaczy, że ziemia i niebo, ciało i dusza, transcendencja i immanencja, człowiek i Bóg, nie stoją obok czy naprzeciw siebie, ale tworzą jeden organizm. Również zło, wbrew swej naturze, zaczyna służyć dobru. Dowód na to znajdziemy na innej górze, na Golgocie widzianej w świetle miłości, a nie tylko mrocznej poświacie winy, kary, przebłagania i zadośćuczynienia. W świetle daru, a nie ofiary, jak mówi Franciszek.

A tak wcale nie na marginesie, gdy zaczynamy mówić o Bogu i jego działaniach, warto pamiętać o metodzie Koheleta: „Kiedy idziesz do domu Bożego, to uważaj, co czynisz! Idź tam z intencją słuchania, gdyż to znaczy więcej niż ofiary głupców, którzy nawet nie zdają sobie sprawy, że czynią źle. Nie otwieraj pochopnie ust i zapanuj nad swym sercem, zanim przemówisz do Boga! Bo Bóg jest w niebie, a ty na ziemi. Dlatego niech twoich słów będzie niewiele! Bo gdzie dużo trosk, tam przychodzą koszmarne sny; gdy się mnoży słowa, mowa staje się głupia".

Jezus, zanim stanął na Golgocie, mówił: „Ojciec miłuje Mnie, dlatego że oddaję swoje życie, aby je znowu odzyskać. Nikt mi go nie zabiera, lecz oddaję je z własnej woli. Posiadam bowiem władzę, aby je oddać, jak i ponownie odzyskać". Stąd śmierć Jezusa nie była smutną koniecznością, ani też jedynie po to, żeby przebłagać Ojca, który „zagniewany siecze". Jezus umiera, ponieważ nie może przestać kochać, nie potrafi porzucić tych, których pokochał, kocha jak Bóg, który dlatego jest wszechmocny, bo bezsilny wobec miłości. Może więc nadszedł czas, żeby Wielki Post stał się Świętem Dziękczynienia. Odejść od logiki ofiary na rzecz logiki daru. Franciszek mówi: „Tam, gdzie powołanie (...) nie osiąga dojrzałości daru z siebie, zatrzymując się jedynie na logice ofiary, to zamiast stawać się znakiem piękna i radości miłości, może wyrażać nieszczęście, smutek i frustrację". Niechże wróci, nie tylko do liturgii, Alleluja! ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Zaskoczyć Jezusa

Jezus udał się w okolice Tyru i Sydonu. Wstąpił do pewnego domu i chciał, żeby nikt o tym nie wiedział, nie mógł jednak pozostać w ukryciu. Zaraz bowiem usłyszała o Nim kobieta, której córeczka była opętana przez ducha nieczystego. Przyszła, padła Mu do nóg, a była to poganka (...), i prosiła Go, żeby złego ducha wyrzucił z jej córki. I powiedział do niej Jezus: Pozwól wpierw nasycić się dzieciom, bo niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucać szczeniętom. Ona Mu odparła: Tak, Panie, lecz i szczenięta pod stołem jedzą okruszyny po dzieciach. On jej rzekł: Przez wzgląd na te słowa idź; zły duch opuścił twoją córkę" (zob. Mk 7, 24-30).

Okolice Tyru i Sydonu to już świat pogański. Jezus idzie do pogan! Nie chce jednak, by ktokolwiek o tym wiedział; chce być w ukryciu. W takim razie: po co idzie?! Skoro nie chce być widziany?

Nie chce nauczać. I najwyraźniej nie chce niczego szczególnego czynić. Nie chce tam niczego zdziałać – to właśnie mówi do swojej rozmówczyni: to nie jest czas, by karmić pogan – jeszcze „dzieci" się nie nasyciły. Przyjdzie kiedyś moment misji do pogan – do „wszystkich narodów" (Mt 28, 19) i do „wszelkiego stworzenia" (Mk 16, 15); ale teraz jeszcze jest do niego daleko. Po co więc tam poszedł?

A może poszedł tam po prostu, aby w tym pogańskim świecie najzwyczajniej pobyć przez jakiś czas? Nie żeby od razu nauczać, ale – przeciwnie – żeby się nauczyć! Nauczyć się tamtego świata i tamtych ludzi. Poznać ich. Pomieszkać wśród nich. Być obecnym! Posłuchać. Zobaczyć, jak i czym żyją. Odkryć, co jest dla nich ważne. Co im dodaje sił, a co ich zniechęca. Jak oceniają dobro i zło. W co wierzą. Jaki wyznają świat wartości.

Nie chce nic spektakularnego robić; chce raczej zobaczyć ich w działaniu: w jaki sposób pracują i jak odpoczywają; jak świętują; o co się starają; czemu poświęcają swój trud i życie. Jacy są? Kim są?

Jeśli poszedł tam z takimi pytaniami, to pierwsza otrzymana odpowiedź musiała zrobić na Nim potężne wrażenie! Spotkał kobietę – pogankę – której wiara przerosła wszystko, co wcześniej zobaczył w Izraelu – w ludziach od pokoleń należących do Ludu Bożego.

Myślę o tym, czy wolno mi wychodzić z ewangelizacją (ze słowem pouczenia i z czynem – również sakramentalnym) do ludzi, którymi tak naprawdę nigdy się wcześniej nie zainteresowałem?! Nigdy wcześniej nie chciałem z nimi pobyć. Zatrzymać się i wśród nich pomieszkać. Posłuchać ich. Przypatrzeć się. Być blisko. Nauczyć się ich i tego, co dla nich ważne.

Czy mam prawo głosić im Słowo i czynić dla nich Znaki? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (25 II – 3 III)

2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 22, 1-2. 9-13. 15-18; Ps 116b; Rz 8, 31b-34; Mk 9, 2-10;
Poniedziałek: Dn 9, 4b-10; Ps 79; Łk 6, 36-38;
Wtorek: Iz 1, 10. 16-20; Ps 50; Mt 23, 1-12;
Środa: Jr 18, 18-20; Ps 31; Mt 20, 17-28;
Czwartek: Jr 17, 5-10; Ps 1; Łk 16, 19-31;
Piątek: Rdz 37, 3-4. 12-13a. 17b-28; Ps 105; Mt 21, 33-43. 45-46;
Sobota: Mi 7, 14-15. 18-20; Ps 103; Łk 15, 1-3. 11-32;
3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 20, 1-17; Ps 19; 1 Kor 1, 22-25; J 2, 13-25.

Zdrowia trzeba nam szukać we właściwym stanie duszy i o takie bogactwo się ubiegać.

ORYGENES

Najwyższym dobrem jest duch lekceważący co przypadkowe, cieszący się cnotą, czyli niepokonana siła ducha, doświadczonego w wielu sprawach, łagodnego w działaniu, delikatnego w obejściu z innymi.

SENEKA

Wybrał PIOTR SIKORA

ZDEMOBILIZOWANI

Czy odpowiedzią na rosyjskie groźby powinno być przywrócenie w Polsce powszechnej służby wojskowej? Wcześniej warto zapytać, czy nasze społeczeństwo jest na taką decyzję gotowe. Na razie wielu ludzi uznaje służbę w armii za życiową katastrofę.

MAREK RABIJ

Mija dziesięć lat, odkąd widmo poboru znowu krąży nad Europą. Tuż po wybuchu konfliktu o Donbas powszechną służbę wojskową przywróciła zaatakowana przez Rosję Ukraina, a w ślad za nią poszła Litwa. W 2017 r. to samo zrobiła Szwecja, a ostatnio Łotwa. Wcześniej pobór obowiązywał tylko w Danii, Norwegii (gdzie wojsko w dwóch etapach przeprowadza wśród poborowych swoisty casting, wybierając jedynie 30 proc. najlepszych kandydatów), a także w Austrii, Szwajcarii i Grecji.

W kilku innych krajach miejsce pytań o sens powrotu powszechnej służby wojskowej zajęły rozważania, jak to zrobić. We Francji prezydent Macron co jakiś czas wraca do idei powszechnego programu „służby narodowej", czyli obowiązkowych świadczeń obywateli na rzecz państwa, które mogłyby także przybierać formę służby w armii. Do przywrócenia poboru lub przynajmniej obowiązkowych ćwiczeń militarnych przymierzają się Włochy, Hiszpania, Rumunia i Serbia. Niemiecki minister obrony Boris Pistorius mówi wprost, że kraj nie ucieknie od tej decyzji.

Dyskusją na ten temat wszędzie rządzą obawy o coraz agresywniejszy ton Rosji wobec Europy, która wsparcie krajów NATO dla napadniętego Kijowa uznała niemal za *casus belli* – i w której rokrocznie w ramach poboru trafia do wojska ponad 100 tysięcy obywateli. Tymczasem w Polsce kolejni ministrowie obrony narodowej zapewniają, że zawieszona w 2009 r. zasadnicza służba wojskowa to pieśń przeszłości. Mówił tak tuż po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie Mariusz Błaszczak. To samo zadeklarował niedawno jego następca Władysław Kosiniak-Kamysz.

Obu polityków łączy jeszcze jedno. Unikają odpowiedzi na pytanie, czy poboru nie będzie, bo nie ma takiej potrzeby, czy może dlatego, że państwo polskie po 15 latach przerwy nie jest w stanie go przeprowadzić?

Największa armia nowoczesnej Europy

1200 mężczyzn, którzy między 2 a 4 grudnia 2008 r. przekroczyli bramy koszar jako ostatni poborowi w historii Wojska Polskiego, ma dziś co najmniej 35 lat. Ich poprzednicy – generacja, która na masową skalę posmakowała koszarowego życia oraz wątpliwej przyjemności biegania po poligonie w słynnych „szelkach-dusicielkach" – zbliżają się do wieku emerytalnego i jako rezerwiści stanowią dla polskiej armii zasoby kadrowe o znikomej wartości. Nie chodzi tylko o wiek czy stan zdrowia. W rachubę wchodzą także umiejętności, których poborowi z lat 80. i 90. nie ćwiczyli od dekad. Nie wspominając już o rewolucji technologicznej, jaka dokonuje się właśnie w naszych siłach zbrojnych.

Wojsko Polskie, zgodnie z zapowiedziami kolejnych już rządów, w ciągu dekady ma stać się największą armią lądową Europy. 300 tys. żołnierzy, w tym 187 tys. zawodowców. Prawie 1600 nowoczesnych czołgów, blisko 600 armatohaubic i niemal pół tysiąca wyrzutni rakietowych zdolnych nawet z kilkuset kilometrów trafić w cel wielkości kiosku. Niczym feniks z popiołów ma się odrodzić polska marynarka wojenna.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Według planów staniemy się też potęgą w powietrzu: 160 supernowoczesnych myśliwców i dwa razy więcej śmigłowców niż obecnie, w dodatku wymienionych na lepsze modele. Po raz pierwszy w dziejach kupujemy samoloty wczesnego ostrzegania i planujemy siatkę własnych satelitów wczesnego rozpoznania. Budowany właśnie system zintegrowanej obrony przeciwpowietrznej już dziś uchodzi za jeden z najnowocześniejszych na świecie – jego stworzenie kosztować będzie z grubsza tyle, ile budowa dużej elektrowni atomowej.

Finansowanie dla tak ambitnych planów zapewnia uchwalona dwa lata temu ustawa o obronie ojczyzny, zgodnie z którą począwszy od 2023 r. polskie wydatki na obronność nie mogą spaść poniżej 3 proc. PKB. W tym na wojsko wydamy w sumie 159 mld zł, czyli – licząc wraz z pieniędzmi z pozabudżetowego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych – aż 4,2 proc. PKB. To nie tylko najwięcej spośród krajów NATO. Na całym świecie większy udział wydatków na wojsko w PKB zanotują w tym roku jedynie Rosja, Izrael i Korea Południowa.

Błyskawiczna rozbudowa i modernizacja naszej armii mają stanowić argument, który powstrzyma Moskwę przed próbami sprawdzania, czy Polskę da się ponownie wciągnąć na orbitę jej politycznych i militarnych wpływów. W tym równaniu jest również jedna niewiadoma. Czy „najnowocześniejszej armii lądowej Europy" nie zabraknie ludzi?

Wojsko – tak, ja w wojsku – nie

Analiza na zlecenie Senatu RP, którą w ubiegłym roku przygotował dr Michał Piekarski z Instytutu Studiów i Bezpieczeństwa Uniwersytetu Wrocławskiego, zdaje się potwierdzać te wątpliwości. Trzystutysięczna armia – jak pisze Piekarski – potrzebować będzie co roku aż 61,5 tys. nowych chętnych tylko po to, żeby jej szeregi znów nie zaczęły topnieć. W samym korpusie zawodowym fluktuacja kadr sięgnie 9 tys. osób rocznie. Aby osiągnąć wspomnianą liczebność na poziomie 300 tys. w ciągu najbliższej dekady, już od tego roku Wojsko Polskie powinno powiększać stan osobowy aż o 11 tys. osób rocznie! Tymczasem, jak podaje GUS, w Polsce mieszka tylko nieco ponad 2 mln mężczyzn w wieku ↦

Szkolenie dla ochotników w 1. Warszawskiej Brygadzie Pancernej w Warszawie-Wesołej. 13 kwietnia 2023 r.

↦ 20-29 lat (z tendencją malejącą w każdym kolejnym roczniku). Rezygnując z poboru, uzawodowiona armia będzie zatem musiała walczyć o tych ludzi na czysto wolnorynkowych zasadach.

Jako przykład dr Piekarki podaje kierowców z uprawnieniami do prowadzenia samochodów ciężarowych. Wojsko Polskie w ciągu dekady wzbogaci się o co najmniej 500 kołowych wyrzutni rakietowych amerykańskiego systemu Himars oraz koreańskiego Czunmu. Jeśli do każdej z nich armia zechce przeszkolić tylko dwie załogi, jej zapotrzebowanie na kierowców z prawem jazdy C+E, i to tylko w oddziałach rakietowych wzrośnie aż o tysiąc osób. Pensja zawodowego szeregowego w Wojsku Polskim sięga dziś ledwie 5 tys. zł na rękę. Podoficer inkasuje dodatkowo najwyżej 1,2 tys. zł. Rynek cywilny, któremu również brakuje kierowców, płaci tymczasem średnio dwa razy więcej.

– Po ataku Rosji na Ukrainę polska armia zaobserwowała skok zainteresowania obronnością i spore zainteresowanie służbą – mówi Michał Piekarski. – Ale to był tylko impuls, który zbliżył do wojska tych, którzy z racji światopoglądu czy zainteresowań i tak byli mu najbliżsi. Albo zrozumieli, że postawa obywatelska oznacza także gotowość do obrony państwa i społeczeństwa. W odniesieniu do całego społeczeństwa polska armia potrzebuje jednak nowego wizerunku, który sprawi, że młodzi ludzie przestaną uważać obowiązkową służbę za życiową katastrofę. W polskiej narracji o obronności nadal przeważają tymczasem niezdrowy maczyzm i martyrologia, czyli przekonanie, że armia jest miejscem, które wychowuje na prawdziwego mężczyznę, a zarazem jest depozytariuszem dziedzictwa żołnierzy wyklętych. W tej sytuacji nawet przywrócenie zasadniczej służby wojskowej nie zmieni znacząco sytuacji kadrowej armii. Wielu młodych ludzi i tak będzie próbowało uchylić się od służby.

W badaniu przeprowadzonym rok temu przez pracownię IBRiS 41 proc. ankietowanych bardzo dobrze (respondenci mieli do wyboru punktację od 1 do 5) oceniło plan zwiększenia liczebności polskiej armii do 300 tys. żołnierzy. Jednocześnie za przywróceniem obowiązkowej 9-miesięcznej służby wojskowej opowiedziało się tylko 12 proc. respondentów. Aż 44 proc. pytanych było temu kategorycznie przeciwnych.

Z tatuażem nie bierzemy

W tym roku wezwanie na kwalifikację wojskową otrzyma 230 tys. mężczyzn, głównie z rocznika 2005. Przepisy mobilizacyjne, wedle których armia będzie ich oceniać, pochodzą za to z czasów, w których w dorosłe życie wchodzili ich dziadkowie. Zniknęło wprawdzie słynne badanie odbytu, które za PRL służyło głównie jako żenująca metoda sprawdzania tożsamości seksualnej poborowych, ale inne absurdy trzymają się mocno. Przed mundurem nadal skutecznie chroni np. otyłość, na którą cierpi obecnie niemal co czwarty Polak w wieku od 10 do 19 lat – a nie każdy z nich musiałby przecież służyć w okopach. Armia nadal lekceważy też obywateli transseksualnych, których w dodatku pieszczotliwie nazywa „obojnakami" i uznaje za niezdolnych do służby. Ostatnio, ku zaskoczeniu samych żołnierzy zawodowych, MON przywrócił nawet wycofane kilka lat temu przepisy, które dyskwalifikują ze służby posiadaczy „szpecących tatuaży na twarzy, szyi i przedramionach" – relikt czasów, kiedy dziary były wyłącznie artefaktem kultury więziennej. – Komisje – ciągnie dr Piekarski – są też bezsilne wobec wzrostu liczby orzeczeń o problemach psychicznych młodych Polaków. Depresje i zaburzenia lękowe są dziś w tej grupie wiekowej zjawiskiem często diagnozowanym. W czasach, kiedy powstawały przepisy mobilizacyjne, rozpoznawano je nieporównywalnie rzadziej, także dlatego, że cierpiący na nie wstydzili się prosić o pomoc specjalistów lub lekceważyli swoje problemy. W diagnostyce i leczeniu problemów psychicznych mamy więc cenny postęp, ale wojsko za nim nie nadąża, co automatycznie wyklucza z grona zdolnych do służby część osób, które mogłyby ją pełnić bezpiecznie dla siebie i innych. Dla porównania w armii izraelskiej istnieje nawet specjalny program służby dla osób w spektrum autyzmu.

A to oznacza jeszcze jedno. Polska armia nie tylko nie osiągnie zakładanej liczebności na poziomie 300 tys. Nie odbuduje też szybko potencjału mobilizacyjnego, który straciła niemal całkowicie, rezygnując z poboru.

Nie mam meldunku, co mi zrobicie

Zgodnie z ustawą o obronie ojczyzny podstawowym źródłem kadr dla armii jest dziś tzw. aktywna rezerwa, czyli osoby, które zgłosiły chęć pełnienia takiej służby. Odbywa się ona raz na kwartał, jednorazowo przez co najmniej dwa dni w czasie wolnym od pracy lub jednorazowo przez 14 dni, co najmniej raz na 3 lata. Aktywną rezerwę tworzą osoby, które nie ukończyły 55. roku życia, a w przypadku osób posiadających stopień podoficerski lub oficerski – 63. roku życia. Zamiarem było stworzenie grupy, po którą Wojsko Polskie może szybko sięgnąć w ramach tzw. rozwinięcia mobilizacyjnego, czyli zwiększenia liczebności istniejących jednostek. Aktywni rezerwiści mają stale utrzymywać stosunkowo wysoki poziom wyszkolenia, znać taktykę i radzić sobie z obsługą nowoczesnego uzbrojenia.

Na rezerwę pasywną, czyli jeszcze głębszy zasób mobilizacyjny, składają się natomiast wszystkie osoby, które w przeszłości odbyły służbę wojskową. Ich ćwiczenia mogą być jednodniowe, krótkotrwałe (do 30 dni), długotrwałe (do 90 dni) lub rotacyjne (łącznie do 30 dni, odbywane z przerwami w określonych dniach w ciągu danego roku kalendarzowego). Na wypadek pełnoskalowej wojny ustawa przewiduje jednak powszechną mobilizację pełnoletnich mężczyzn do 60. roku życia, uznanych za zdolnych do pełnienia takiej służby i nieposiadających innych przydziałów mobilizacyjnych (np. elektrycy, kolejarze czy personel medyczny). Przepisy nie wykluczają również mobilizowania kobiet o określonych kwalifikacjach zawodowych.

Ustawa pod karą co najmniej trzech lat więzienia nakazuje zmobilizowanym zgłoszenie się do wojska w ciągu sześciu godzin od odebrania zawiadomienia. W praktyce może być mniej różowo. Zamieszanie wprowadził sam Sejm, który w ramach prac nad nową ustawą o ewidencji ludności w 2010 r. przymierzał się do szeroko wówczas zapowiadanego zniesienia obowiązku meldunkowego. W ostatniej chwili wydłużono obowiązywanie tego przepisu do 2014 r., ale zawczasu wykreślono z ustawy sankcję karną za brak meldunku. A potem zmienił się rząd, ekipa PiS utrzymała obowiązek meldunkowy, ale zapomniała o karze grzywny, ograniczenia wolności lub nagany za brak jego dopełnienia. Osoby w wieku poborowym, które chciałyby dziś zniknąć

armii z radarów, mogą to więc uczynić całkowicie bezkarnie.

Najwyższa Izba Kontroli w 2018 r. przyjrzała się samej procedurze kwalifikacji wojskowej. W analizowanym 2016 r. na tzw. komisję nie stawiło się aż 16,2 proc. wezwanych. W województwach podlaskim i warmińsko-mazurskim – czyli na potencjalnie najgorętszym odcinku polskiej granicy – absencja sięgnęła aż 26 proc. Największym zaskoczeniem we wnioskach pokontrolnych była jednak liczba osób, które państwo doprowadziło siłą przed komisję. Policji zlecono taką interwencję wobec zaledwie 339 osób. Doprowadzono 54.

Tam, gdzie kończy się armia

Lektura raportu NIK prowadzi do smutnej konkluzji, że państwo polskie samo nie traktuje poważnie własnych przepisów. Na porządku dziennym był także brak wymiany informacji między wydziałami ewidencji ludności i wojskowymi centrami rekrutacyjnymi, co skutkowało wzywaniem na kwalifikację osób od dawna mieszkających na drugim krańcu Polski. Samej armii często nie chciało się sprawdzić przyczyn absencji wezwanego na kwalifikację.

Tymczasem nawet uzbrojone po zęby wojsko potrzebuje dobrze zorganizowanego zaplecza, jakie zapewnia mu sprawne państwo i społeczeństwo przygotowane na najgorsze scenariusze. Wzorem takiej kohabitacji są dziś kraje skandynawskie, ze świetnie zorganizowaną obroną cywilną i systemem szybkiej mobilizacji. Fakt, że są to również państwa słynące z wyjątkowo hojnej oferty socjalnej nie jest zbiegiem okoliczności. Obywatel musi mieć poczucie, że ma co wspierać i czego bronić.

W PRL, który militaryzował ponad miarę każdą sferę życia, Ludowe Wojsko Polskie takie zaplecze po prostu wymusiło na społeczeństwie. Dość przypomnieć słynne autosany H-9 z charakterystyczną klapą z przodu, która wyglądała jak pokrywa silnika (autobus miał go z tyłu), a w zamyśle projektantów miała służyć do wkładania noszy z rannymi po przekształceniu pojazdów w sanitarki. Nawet szkoły-tysiąclatki projektowano tak, aby w trakcie wojny mogły służyć za szpitale. Wejścia do klas musiały być na tyle szerokie, by zmieściły się w nich szpitalne łóżka.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

W Polsce mieszka nieco ponad 2 mln mężczyzn w wieku 20-29 lat.

Armia będzie musiała walczyć o tych ludzi na wolnorynkowych zasadach.

Wraz ze zmianą ustroju Polska z państwa zmilitaryzowanego, mającego stale pod bronią ponad ćwierć miliona obywateli, szybko zmieniła się w państwo właściwie zdemilitaryzowane. Uzawodowiona armia stopniała pod koniec pierwszej dekady XXI wieku do zaledwie 95 tys. Gorzej, że zanikły też niemal wszystkie łączniki między wojskiem a społeczeństwem, które wypracował PRL. Owszem, oznaczało to koniec karykaturalnego festiwalu piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu, ale również koniec przedmiotu, jakim było przysposobienie obronne. Budujące zamożność państwo miało teraz na głowie ważniejsze sprawy niż obrona cywilna, ochoczo przystąpiło więc do zamieniania schronów w magazyny na wynajem czy likwidacji transportu publicznego, który mógłby stanowić bazę dla operacji ewakuacyjnych. Aż przyszedł 24 lutego 2022 r. i piękny sen o bezpiecznej Polsce umocowanej po wsze czasy w świecie zachodnim znów zmienił się w marę.

Bez planu B

Raport „Przygotowanie państwa na zagrożenia związane z działaniami hybrydowymi" to owoc przeprowadzonej niedawno kontroli NIK w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, Rządowym Centrum Bezpieczeństwa, wybranych urzędach wojewódzkich i władzach samorządowych. Oprócz badania planów i dokumentacji w czterech województwach przeprowadzono też symulacje, które miały sprawdzić, w jaki sposób organy zarządzania kryzysowego reagują na informacje o zagrożeniu. Kontrolerzy doszli do wniosku, że w Polsce *de facto* nie funkcjonuje system obrony cywilnej, który dostrzegałby i byłby zdolny przeciwdziałać zagrożeniom hybrydowym, znanym chociażby z pierwszego etapu wojny na wschodzie Ukrainy.

Polskie organy zarządzania kryzysowego z grubsza wiedzą, co robić na wypadek powodzi czy skażenia terenu, ale wobec aktów terroryzmu lub dywersji są bezsilne. Niektórzy urzędnicy nie raportowali nawet swym przełożonym o takich zagrożeniach, bo nie figurowały one na liście zdarzeń, które zobowiązywały ich do wszczęcia alarmu. W niektórych centrach zarządzania kryzysowego po godzinach trudno było dodzwonić się do dyżurnego. W Opolu – mieście, które w 1997 r. zmagało się z wielką powodzią – w centrum kryzysowym nie było aktualnych map i dostosowanych do nich planów ewakuacji ludności.

Czy w tej sytuacji można mieć pretensje do obywateli, że sami również zrezygnowali z dbania o własne bezpieczeństwo? Większość z nas zapewne nawet nie pomyślała o tym, żeby wzorem społeczeństw skandynawskich wyznaczyć swojej rodzinie miejsce spotkania – na wypadek, gdyby nagle padła łączność. Nie mamy pojęcia, gdzie znajduje się najbliższy działający schron. Nie umiemy rozróżniać sygnałów alarmowych, bo od lat nie uczą tego w szkole. Nie trzymamy zapasów wody i żywności, który pozwoliłby przetrwać kilkudniową przerwę w dostawach – a przecież mogą być potrzebne choćby po silnej śnieżycy. Z domów dawno poznikały radia na baterie, które na falach UKF mogą odbierać rządowe komunikaty o zagrożeniach. Ze świecą szukać nawet porządnie zaopatrzonych apteczek – oraz ich posiadaczy, którzy umieliby się nimi posługiwać.

Funkcjonujemy w świecie, z którego zniknęło pojęcie progu bólu. Trudności uważamy za błąd systemu, a nie składnik rzeczywistości.

Władimir Putin lubi to.

©℗ MAREK RABIJ

Polityka na traktorach

KRZYSZTOF STORY

Rolnicy protestują przeciwko zalewaniu Polski zbożem z Ukrainy. Jak to możliwe, skoro od prawie roku nasz kraj go nie importuje?

Gdy 15 lutego minister rolnictwa Czesław Siekierski w warszawskiej siedzibie resortu zaczynał spotkanie z delegacją protestujących rolników, ich koledzy po fachu właśnie obrzucali jajkami biuro Parlamentu Europejskiego we Wrocławiu. Były klaksony, flagi, palone opony i taczki z gnojówką. I to nie tylko we Wrocławiu, nie tylko w Polsce. Z całej Unii Europejskiej rolnicy nie protestują jedynie w Austrii, Danii, Finlandii i Szwecji. Spoiwem setek demonstracji jest opór wobec Zielonego Ładu – pakietu prawnego, który ma doprowadzić UE do neutralności klimatycznej w 2050 roku.

Poza wspólnym mianownikiem protesty w każdym kraju mają lokalny kontekst; polskim jest konkurencja ukraińskich produktów (głównie zbóż i rzepaku). Realny poziom napięcia wokół tej kwestii ujrzeliśmy 11 lutego, gdy rolnicy blokujący granicę w Dorohusku zerwali plomby celne z trzech ukraińskich ciężarówek i wysypali z nich ziarno na drogę. W sieci 12 lutego pojawił się film, na którym kilku rolników przeszukuje wagony na kolejowym terminalu pod Dorohuskiem, znajdując zapleśniały rzepak i kukurydzę. „To niby terminal gazowy, a tak naprawdę zbożowy – słyszymy głos na nagraniu. – W cementowozach przywożone jest do Polski zboże i przeładowywane to jest na ciężarówki [w kadrze widzimy silosy – red.]. Pomyślcie sobie, jaka to jest skala. (...) Te terminale są ukryte w krzakach i bajorach".

Zareagował wiceminister rolnictwa Michał Kołodziejczak – następnego dnia wrzucił w serwisie X dramatyczny wpis z Dorohuska: „Przeprowadzam kontrolę poselską. Chcę sprawdzić, jaki towar w ostatnich dniach wjeżdżał do Polski. Niestety napotkałem na opór. Pracownicy nie chcą przedstawić mi dokumentów".

10 procent zbiorów

Wszystko momentami przypomina film akcji o porachunkach mafijnych z rzepakiem w tle. Ile w tym prawdy i jak jej szukać, gdy górę od tygodni biorą emocje? Po pierwsze: minister Kołodziejczak nie musi nigdzie jeździć z kontrolami, bo rząd nie kontroluje podległych mu jednostek, tylko mówi im, co mają robić. Na razie widać więc, że stara władza zostawiła po sobie bałagan, a nowa dopiero szuka miotły. Po drugie: rolnicy, świadomie lub nie, eskalują spór. Terminal z filmiku jest zaznaczony na mapach Google'a, ciężko nazwać go „ukrytym", a kod „Tagnpps" na burtach oznacza, że nie są to żadne cementowozy, tylko wagony do przewozu zboża. Silosy „ukryte w krzakach i bajorach" powstały w 2009 r., co widać na zdjęciach satelitarnych. Po trzecie: rozwiązaniu sporu nie służy skandaliczna wypowiedź mera Lwowa nazywającego polskich rolników „prorosyjskimi prowokatorami" (Andrij Sadowy zdążył już za te słowa przeprosić).

Takie incydenty to kolejny rozdział trwającej dwa lata historii. Zaczęło się 24 lutego 2022 r. wraz z rosyjską inwazją. Ukraina, która co roku eksportowała około 50 mln ton zboża (będąc największym dostawcą Światowego Programu Żywnościowego ONZ), została odcięta od czarnomorskich portów. UE zaoferowała walczącej Ukrainie lądową alternatywę przez jej terytorium – zniesiono limity ilościowe i podatek VAT na ukraińską pszenicę, rzepak, kukurydzę i słonecznik.

Ceny zbóż oszalały – w pierwszej połowie 2022 r. za tonę pszenicy trzeba było zapłacić nawet 1800 zł – około dwa razy więcej niż przed wojną. W czerwcu 2022 r. Henryk Kowalczyk, ówczesny minister rolnictwa, udzielił wywiadu, w którym radził rolnikom czekać ze sprzedażą, bo będzie jeszcze drożej. W raporcie Najwyższa Izba Kontroli stwierdza jasno, że wypowiedź ministra miała katastrofalne skutki, a jego „ocena sytuacji na krajowym rynku zbóż była błędna i nieoparta na żadnych analizach". Wolne miejsca na rynku szybko wypełniły produkty z Ukrainy. Import pszenicy ze wschodu rok do roku wzrósł 170-krotnie, a kukurydzy 300-krotnie. Łącznie w 2022 r. polskie firmy sprowadziły z Ukrainy 3,4 mln ton zbóż i roślin oleistych – to około 10 procent krajowych zbiorów.

Gdy światowa gospodarka zaczęła wychodzić z wojennego szoku, ceny też zaczęły spadać, ale koszty wzrosły. Następne żniwa trzeba było przeprowadzić przy droższym paliwie, nawozach i pestycydach (bardzo ważnym ich źródłem była Rosja) oraz wysokiej inflacji.

Teorii nie brakuje

W kontekście protestów warto zapytać, jaką rolę odgrywa dzisiaj zboże z Ukrainy, skoro od prawie roku Polska go nie importuje? 15 kwietnia 2023 r. wprowadziliśmy embargo na kluczowe produkty, dwa tygodnie później to samo zrobiła cała Unia. Gdy 15 września unijny zakaz wygasł, Polska jednostronnie go przedłużyła, ryzykując dyplomatyczną awanturę, gdyż Ukraina zaskarżyła nas do Światowej Organizacji Handlu. Do dzisiaj ukraińskie produkty mogą przez Polskę jedynie przejechać tranzytem (podobne przepisy wprowadziły Słowacja i Węgry), sprzedać ich u nas nie wolno.

Teorii, jak obce zboże miałoby nadal zalewać nasz rynek, nie brakuje i w każdej jest – *nomen omen* – ziarno prawdy. Jedna mówi, że przywożone jako „zboże techniczne" (np. do spalania w elektrowniach) albo jako czyściwo do młynów, potem trafia na polskie stoły. Druga teoria głosi, że transporty, które podczas kontroli np. w Niemczech nie spełniły unijnych regulacji, wcale nie wracają na Ukrainę, tylko trafiają do nas. Kolejna, że po drodze przez nasz kraj ukraiński rzepak nagle staje się polskim rzepakiem (takim oszustwom mają przeciwdziałać elektroniczne plomby zakładane przez celników, a nawet specjalne konwoje).

Wokół tych podejrzeń toczą się śledztwa i postępowania, ale nie ma na razie dowodów, że skala tego procederu jest w stanie zdestabilizować rynek rolniczy w 38-milionowym kraju, który jest eksporterem żywności.

OMAR MARQUES / ANADOLU / EAST NEWS

Protest rolników przeciwko Zielonemu Ładowi oraz importowi zboża z Ukrainy. Wrocław, 15 lutego 2024 r.

Po prostu tanio

Rynek zresztą nie jest zdestabilizowany. Ceny zbóż w Polsce odpowiadają cenom z francuskiej (najważniejszej w Europie) giełdy MATIF. I są po prostu niskie. „Spadki cen zbóż w Polsce są pochodną sytuacji na rynkach światowych (od żniw pszenica na giełdach CBOT i MATIF potaniała o 25 proc.), a nie importu ukraińskich zbóż, który w połowie kwietnia 2023 roku został zablokowany" – pisze na stronie infograin.pl Mirosław Marciniak, analityk rynku zbożowego.

Zarówno Europa, jak i przede wszystkim Rosja mają ogromne nadwyżki (zwłaszcza pszenicy), więc nie da się sprzedawać drogo. To nie umniejsza problemom polskich rolników, wręcz przeciwnie. Nie oznacza również, że handel z Ukrainą nie jest potężnym wyzwaniem. Argument „wpuśćmy ukraińskie zboże, pomożemy im w wojnie" okazał się nietrafiony, a rykoszetem oberwali nasi farmerzy. Dziennikarze śledczy z Organized Crime and Corruption Reporting Project (OCCRP) ujawnili dziesiątki przekrętów przy eksporcie zboża z Ukrainy, jak unikanie podatków i pranie brudnych pieniędzy. Były one specjalnością firm, które pojawiły się na rynku znikąd i zarobiły miliony (zakładano je m.in. na pacjentów szpitali psychiatrycznych). Ale nawet pomijając takie historie, budżet Ukrainy niewiele skorzystał na ustępstwach. Jak mówił w wywiadzie dla „Tygodnika" prof. Tadeusz Pomianek: – Najwięcej zarobili oligarchowie i międzynarodowe fundusze inwestycyjne, na przykład z Holandii, które prowadzą tam ogromne gospodarstwa, metodą niemalże rabunkową. Sypią nawozami sztucznymi i pestycydami na najlepsze ziemie w Europie. To jest pomoc Ukrainie czy pomoc przy niszczeniu środowiska? (całą rozmowę przeczytacie Państwo na powszech.net/rolnicy).

Niestety: to działa

Obecny kryzys jest tylko próbką tego, co nas czeka, jeśli Ukraina wejdzie do Unii lub dołączy do naszej polityki rolnej. Kontrola takiej masy towarów jest pracą godną Herkulesa, acz konieczną, bo naruszeń było sporo – głównie chodzi o szkodniki w zbożu, przekroczenia poziomu pestycydów lub bakterie salmonelli. Wiceminister Kołodziejczak zadeklarował już, że wszystko, co przyjeżdża z Ukrainy, będzie sprawdzane przez sanepid i Inspekcję Weterynaryjną. A jego szef Czesław Siekierski zapowiedział, że do końca marca powinna być gotowa umowa z Ukrainą regulująca handel produktami rolnymi.

Ostro odpowiedział też rolnikom, którzy domagali się kompletnego embarga: „Nie ma kraju, który ma w pełni granice zamknięte. Może Korea Północna". Tutaj dochodzimy do smutnego wniosku: problemy polskiego (i nie tylko) rolnictwa są fundamentalne, a poziom dyskusji o nich – żenujący. Bo jak inaczej nazwać sytuację, w której Instytut Gospodarki Rolnej (nazywający siebie pierwszym rolniczym think tankiem) publikuje tekst: „Precz z obecną dyktaturą z Brukseli niewybieralnych, trujących zielonych komisarzy UE. Precz z Zielonym Ładem!"? Nad nim trzeba dyskutować, ale nie da się na niego obrazić i czekać, aż zniknie. Przede wszystkim dlatego, że w dobie zmian klimatycznych jest nam po prostu potrzebny (zwłaszcza rolnikom zagrożonym suszą). Tymczasem w Polsce przez ostatnie 5 lat ubyło prawie 50 tys. gospodarstw ekologicznych (25 proc.), a poważnej rozmowy o tym, jak to zmienić, nie ułatwiają zbliżające się wybory do europarlamentu. Nawet „zieloni komisarze" boją się, że bunt rolników wepchnie ich w ramiona partii prawicowych (w Polsce Konfederacja już zażądała komisji śledczej w sprawie zboża z Ukrainy) i są gotowi zaciągnąć reformom hamulec ręczny. Komisja Europejska wycofała się już z ograniczeń w stosowaniu pestycydów oraz wymogu pozostawiania 4 proc. upraw odłogiem. Debata o tym, co będziemy jeść i jaką będziemy mieć ziemię za kilka dekad, przebiega chwilowo według starego schematu: kto głośniej krzyczy, ten wygrywa. ©℗

Gdy terapia jest luksusem

SZYMON ŻYŚKO

Leczenie zaburzeń psychicznych staje się w Polsce usługą dla ludzi majętnych. Terminy wizyt w publicznych placówkach są bardzo odległe, a ceny prywatnych przekraczają nawet 300 zł.

Jedna czwarta dorosłych Polaków cierpi z powodu zaburzeń psychicznych. To ponad 8 mln osób, z czego zaledwie 1,6 mln korzysta z leczenia. Co z resztą? Nie mają szans na dostęp do specjalistów w ramach NFZ lub nie wiedzą, gdzie szukać wsparcia. Potwierdza to badanie EZOP II (kompleksowa analiza stanu zdrowia psychicznego społeczeństwa), przeprowadzone w 2021 r. przez Instytut Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, w którym słaby dostęp do psychiatrów i psychoterapeutów uznany został za jedną z najważniejszych barier w podjęciu leczenia. Problem pogłębia fakt, że chorych nie stać też na wizyty prywatne. Stały się one w Polsce ekskluzywną, komercyjną usługą – za popytem nie nadąża podaż, więc ceny stale rosną. Wielu chorych w tej sytuacji znajduje „lekarza" w social mediach, gdzie króluje amatorska psychoterapia, a leki psychotropowe bywają traktowane jak panaceum na wszelkie bolączki.

Widać to również w statystykach. Największy odsetek ludzi podejmujących terapie jest w miastach o populacji 50-200 tys. mieszkańców i przekracza 20 proc. Na wsi to jednak o połowę mniej, bo tylko 11,1 proc. W pierwszej kolejności w przypadku trudności psychicznych wciąż wybieramy konsultacje u lekarza POZ (33,1 proc.), a dopiero później u psychiatry (32,7 proc).

Współczynnik samobójstw na 100 tys. mieszkańców jest w Polsce niemal 8-krotnie wyższy w przypadku mężczyzn niż kobiet (21,4 proc. wobec 2,9 w badaniu EZOP II) i aż o 60 proc. wyższy na wsi. Tymczasem w naszym kraju na 100 tys. pacjentów przypada zaledwie 9 psychiatrów, rezydujących głównie w dużych miastach. W sąsiedniej Litwie to 25 lekarzy specjalistów, a w Niemczech 24.

Brygida, lat 56, zaburzenia lękowe

Mieszkam na wsi, w gminie jest 6 tys. osób. Do lekarza rodzinnego zgłosiłam się z problemami ze snem i lękiem przed wychodzeniem z domu. Zasugerował konsultację specjalistyczną, ale psychiatra pojawia się u nas raz na dwa tygodnie i przez cztery godziny przyjmuje w miejskiej poradni. Na umówienie wizyty czekałam więc pięć miesięcy. W tym czasie trafiłam na miesięczne L4, bo nie byłam w stanie pracować.

Pierwsza wizyta trwała może 10 minut, bo lekarz się spóźnił. Czekaliśmy na korytarzu w kilka osób, na szczęście nie było nikogo znajomego. Sami młodzi i ja stara. Nie przypominam sobie, żeby psychiatra przepisał mi jakieś badania dodatkowe. Zapytał tylko, czego od niego potrzebuję. Myślałam, że to on mi powie, co mam robić. Potem powiedział, że mam depresję. Przepisał leki i kazał brać je regularnie. Na realizację recepty czekałam kolejny tydzień, bo nasza apteka na co dzień nie ma takich tabletek. Bardzo źle je znosiłam, ale nie mogłam się dodzwonić do lekarza, więc zostawiłam wiadomość na recepcji. Odpowiedź dostałam od rejestratorki po trzech tygodniach: „Brać i nie przejmować się".

Kolejną wizytę udało mi się umówić po dwóch miesiącach. Psychiatra nawet mnie nie rozpoznał i nie pamiętał, co mi przepisał, ale wciąż kazał brać leki. W końcu je odstawiłam, sama. Najpierw była ulga, a później jeszcze gorzej się czułam. W końcu postanowiłam odwiedzić go prywatnie w Poznaniu. 60 zł na bilet w dwie strony, bo to 90 km, 260 zł za wizytę. Zapamiętałam przytulną poczekalnię z miękkimi siedzeniami. Wpuścił mnie punktualnie, był bardzo miły, pytał, zwracał uwagę na to, co mówię. Wizyta trwała 45 minut. Gdy zakładałam kurtkę w poczekalni, kolejnego pacjenta powitał w progu po imieniu. Jeździłam co dwa miesiące przez rok, ale te 320 zł to dla mnie za dużo. Leki też były pełnopłatne, a to kolejne sto złotych za każdym razem. Lekarka rodzinna zaproponowała specjalistę w powiecie obok; na NFZ i sporo bliżej. Tam pierwszy raz usłyszałam, że mam nerwicę z lękami, a nie depresję. Dostałam coś lżejszego i czekam na rozpoczęcie terapii. To już cztery miesiące, ale jestem teraz pierwsza na liście.

Miasto na kozetce, wieś na lekach

Najczęstsze dolegliwości, z jakimi zgłaszają się pacjenci, to stany lękowe, fobie, zaburzenia depresyjne oraz obniżenie nastroju i aktywności. Według badania EZOP II ich specjalistyczne leczenie ocenia pozytywnie niemal 85 proc. badanych.

Lekarze najczęściej przepisują środki nasenne i uspokajające, ale powinno się je brać krótko, gdyż mogą uzależniać. Z kolei wśród leków przeciwdepresyjnych króluje fluoksetyna i trazodon, których selektywne działanie również nastawione jest na łagodzenie lęków i problemów ze snem. Co ciekawe, przyjmowanie leków psychotropowych częściej deklarują osoby z niższym poziomem edukacji. Badani z wyższym wykształce-

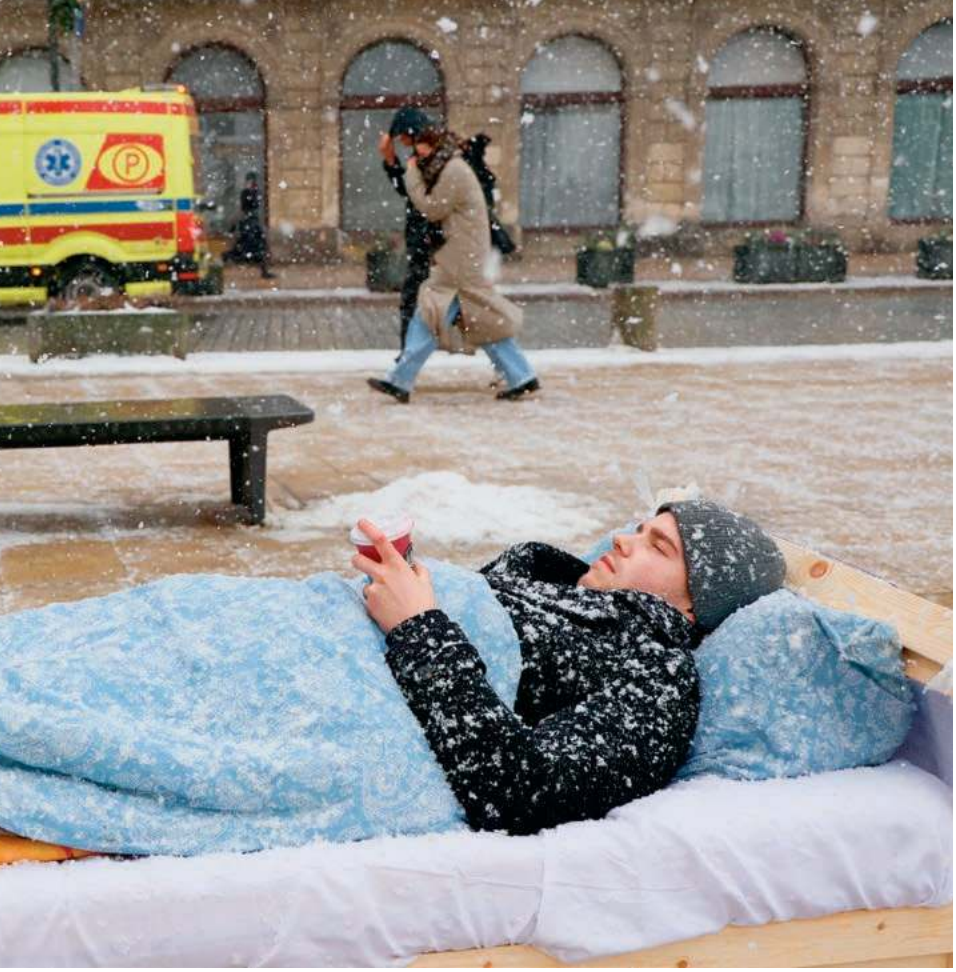

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Łóżkowy happening Kuby Tarasewicza w sprawie problemów z dostępnością do opieki psychologicznej i psychiatrycznej. Warszawa, 15 stycznia 2024 r.

niem chętniej niż z farmakoterapii korzystają z psychoterapii, która bywa droższa przez długotrwałość leczenia, ale pozwala głębiej sięgnąć do przyczyn problemów. W ciągu dekady od ostatniego badania EZOP I z 2011 r. powszechność stosowania leków wzrosła niemal dwukrotnie wśród osób między 18. a 39. rokiem życia. Najwięcej jednak przepisuje się ich seniorom powyżej 65. roku życia.

Krzysztof, 30 lat, zaburzenia afektywne dwubiegunowe

Cierpię od kilku lat, ale dopiero od roku się leczę. Pierwsza wizyta była prywatna. Nie czekałem długo, jakieś dwa tygodnie. Konsultacja trwała 20-30 minut. Lekarz zadawał mi różne pytania: czy mam myśli samobójcze, wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, czy odczuwam konieczność ciągłego liczenia albo powtarzania innych czynności. Moje odpowiedzi zapisywał w komputerze. Wstępną diagnozą była depresja. Dostałem leki i miałem się zgłosić za miesiąc. Nie pomogło. Próbowałem popełnić samobójstwo, przez co wylądowałem na cztery tygodnie na oddziale zamkniętym. Tam zmieniono mi leki i postawiono kolejną diagnozę: zaburzenia psychotyczne bez objawów schizofrenii.

W szpitalu lekarze średnio się nami interesowali, a wszystko sprowadzało się do porannej wizyty i zadawania książkowych pytań. Po wyjściu udałem się na 3-miesięczną terapię dzienną. Spotkałem się z dużym zrozumieniem, zajęcia były ciekawe i czułem, że lekarze nie tylko chcą mi pomóc, ale naprawdę mnie rozumieją. Po tym jak przyznałem się, że musiałem odstawić leki na kilka dni z powodu braku pieniędzy, lekarz prowadzący zaproponował, że mi je wykupi. To był właśnie lekarz z terapii dziennej. Odmówiłem, wstyd było mi od obcego człowieka brać pieniądze.

Po wyjściu ze szpitala chodziłem do psychiatry prywatnie, jednak obecnie uczęszczam na terapię w ramach NFZ i to ją lepiej oceniam. Usłyszałem też ostateczną diagnozę: choroba afektywna dwubiegunowa. Zasada jest taka, że uczestnicząc w tej terapii, nie mogę chodzić do innego specjalisty. Mam zapewnioną pomoc psychiatry, psychoterapeuty oraz psychologa. Wcześniej brakowało mi podobnego zaangażowania.

Kluczowa reforma

W 2018 r. Ministerstwo Zdrowia uruchomiło Narodowy Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego. W jego ramach zaczęły powstawać Centra Zdrowia Psychicznego. Aktualnie NFZ zakontraktowało 97 takich placówek, docelowo ma ich być 129 – na projekt przeznaczono już 2,4 mld zł.

Dr Anna Depukat, kierująca tym pilotażowym projektem, w wypowiedzi dla portalu OKO.press podkreśliła, że zdaniem ekspertów taki model organizacji wsparcia dla osób cierpiących jest najbardziej efektywny w kwestii poprawy jakości pomocy i dostępności do świadczeń w czasach wzrastających potrzeb.

Oprócz NFZ, także ZUS corocznie przeznacza pieniądze na pacjentów z zaburzeniami psychicznymi – ostatnio to prawie 8 mld zł rocznie. Ważne jest, by te pieniądze były dobrze wydatkowane, jednak przez lata nikt nie miał pomysłu na skuteczne działania w ramach opieki psychiatrycznej. Dr Depukat uważa, że pilotażowy program udowadnia, że może być inaczej. „Koordynowanie, konsylia, jeżdżenie do domu, zmienianie jakości wizyt, monitorowanie telefoniczne (bo nasi pacjenci bardzo często chcą skorzystać choćby z krótkiej porady, ponieważ trzeba zmienić lek albo jego dawkowanie), to wszystko jest znacznie łatwiejsze, gdy mamy budżet na populację. Trzeba np. pojechać do domu chorego, bo jego stan się nagle pogorszył (...) W interesie pacjenta jest umiejscowienie większości świadczeń w formie poza stacjonarnej, czyli w trybie środowiskowym, ambulatoryjnym. (...) Pacjenci lepiej funkcjonują, wracają do pełnienia ról społecznych, do edukacji, do pracy zawodowej" – wskazuje w rozmowie z OKO.press.

Ilona, lat 37, PTSD i zaburzenia depresyjno-lękowe

Mam dwoje niepełnosprawnych dzieci. Byłyby zdrowe, gdyby nie urodziły się jako wcześniaki z niedotlenieniem. Mąż był alkoholikiem. Pięć lat temu udałam się do psychologa w Centrum Wspierania Rodziny, ale trafiłam na osobę, przez którą czułam się cały czas oceniana. Usłyszałam od niej, że w zasadzie sama jestem winna tej sytuacji, i to przelało czarę goryczy, zrezygnowałam.

Przez jakiś czas radziłam sobie sama. Jechałam na autopilocie, ale jesienią 2021 r. ↦

↦ zgłosiłam się do lekarza POZ. Z wyczuciem podszedł do mnie i stwierdził stany depresyjne. Dostałam leki i skierowanie na psychoterapię. W poradni okazało się, że potrzebna jest jeszcze konsultacja psychiatryczna u nich. Na wizytę czekałam dwa miesiące, a samo spotkanie trwało 10 minut. Pani doktor stwierdziła, że doświadczam traumy związanej z chorobami dzieci, mam syndrom stresu pourazowego. Jej zdaniem leczenie farmakologiczne nie było mi potrzebne i od razu skierowała mnie na terapię.

Na jakąkolwiek propozycję terminu ze strony poradni czekałam rok. W końcu zaproponowano mi godziny popołudniowe, choć zaznaczyłam wcześniej, żeby to były poranki, gdy dzieci są w szkołach. Inaczej nie pogodzę terapii z opieką nad nimi. I tak znowu trafiłam do kolejki oczekujących i znowu minął rok. Czułam, że się pogrążam; wielokrotnie dzwoniłam do poradni i coraz natrętniej prosiłam o ustalenie terminu. Nie mogłam pozwolić sobie na wizyty prywatne, bo mnie nie stać: dzieci muszą mieć rehabilitację w prywatnych placówkach. To one są priorytetem.

W październiku 2023 r. doczekałam się w końcu psychoterapii w ramach NFZ. Ale było już na tyle poważnie, że pierwsze sesje i rozgrzebanie moich problemów jeszcze bardziej nasiliły zły stan. Kolejny raz umówiłam się na wizytę do psychiatry na NFZ i po 10 minutach dostałam znowu leki, inne niż poprzednio. Dwa dni później coś we mnie pękło i umówiłam się na wizytę do lekarza POZ, do którego mam zaufanie. Powiedziałam, że chcę się zabić. Ta wizyta trwała prawie godzinę, po czym wprost z gabinetu lekarza odwieziono mnie na izbę przyjęć szpitala, bo nie byłam w stanie sama prowadzić. Tak trafiłam na oddział.

Szczęście, że mam jakąś tam wiedzę. Gdy zaczęła zapalać się czerwona lampka, zaalarmowałam wszystkie przyjaciółki. Mówiłam otwarcie, że potrzebuję pomocy. Na kilka dni przed przyjęciem do szpitala było na tyle źle, że bliscy ludzie cały czas mnie wspierali i pilnowali.

Ze szpitala wyszłam kilka tygodni temu i poszłam do poradni. Niestety, znowu trafiłam na tę samą specjalistkę, co za pierwszym razem. Dziwiła się przepisanym mi lekom, powiedziała, że ich nie zna i że leczy innymi, które „ona lubi", więc najlepiej jakbym zrezygnowała z tych szpitalnych.

Problemy psychiczne przestają być tematem tabu, jednak wiele osób nie ma szans na pomoc. W Polsce jest zaledwie 9 psychiatrów na 100 tys. mieszkańców, a na Litwie – 25.

Kolejną wizytę mam ustaloną za kilka tygodni, ale zdecyduję się jednak na prywatne leczenie u psychiatry, który prowadził mnie w szpitalu. Rozmowy z nim zawsze przebiegały w swobodnej atmosferze, bez pośpiechu, cierpliwie, z empatią. I trwały zawsze około godziny. Przy zmianach leków dostawałam wyczerpujące informacje. Zwyczajnie za każdym razem pytał, jak się czuję. Czułam, że nie jestem kolejnym numerkiem do odhaczenia na liście. Mogłam mu zaufać.

Dobro rzadkie

– Dyskutowałabym z coraz częstszymi opiniami, że panuje moda na psychoterapię. Bliższa jest mi myśl, że zdrowie psychiczne przestaje być tematem tabu. Zbyt długo nim było. Powszechnieje wiedza na temat zaburzeń psychicznych i form ich leczenia. Wiele osób zgłasza się po pomoc właśnie dlatego, że po raz pierwszy usłyszeli, iż to, co odczuwają, da się nazwać i można pracować nad tym – wyjaśnia Katarzyna Smaruń, psycholożka i psychoterapeutka. Ekspertka podkreśla, że znaczna większość psychoterapeutów decyduje się na pracę w sektorze prywatnym ze względu na wyższe wynagrodzenia oraz to, że NFZ nie oferuje im żadnego wsparcia, nie refunduje terapeutom nawet superwizora. Tymczasem zawód ten wymaga ciągłej superwizji (czyli stałych konsultacji z bardziej doświadczonym specjalistą), która jest gwarantem bezpieczeństwa pacjenta.

– To też poniekąd odpowiedź na pytanie, dlaczego prywatne wizyty tyle kosztują. Ja, rozpoczynając drogę zawodową, pracowałam w czterech placówkach publicznych. Aby się rozwijać, wybrałam jednak prywatny gabinet. Zobaczyłam, że mogę mniej pracować i poświęcać czas również na rozwój i superwizję. W naszym zawodzie praca po kilkanaście godzin dziennie nie współgra z etyką – opowiada psycholożka.

Co się dzieje z pacjentami, którzy potrzebują pomocy, a nie stać ich na nią? Wielu po prostu rezygnuje z leczenia, radząc sobie na własną rękę, choćby poradami z internetu. – Niestety, psychoterapia jest dobrem luksusowym w Polsce. Pieniądze stały się barierą – przyznaje Katarzyna Smaruń. Zarazem podkreśla, że niejeden specjalista potrafi być elastyczny w zetknięciu z uboższym pacjentem. – Działamy wtedy dwutorowo. Możemy obniżyć stawkę i zaproponować taką, która gwarantuje regularny udział pacjenta w sesjach, albo zmniejszyć częstotliwość wizyt. Jeśli jednak widzimy człowieka w dużej potrzebie, to się angażujemy. Rozpytujemy wśród znajomych psychologów i psychiatrów, w których poradniach są mniejsze kolejki. Pomagamy się umówić do innej placówki. Jest też opcja terapii niskopłatnej, którą prowadzą młodzi psychoterapeuci w trakcie kursu. Zdobycie doświadczenia rekompensuje im niższe stawki przyjęć, ale nie każdego pacjenta można do nich skierować – opisuje terapeutka.

Według Polskiej Rady Psychoterapii w naszym kraju jest 15 tys. psychoterapeutów, lecz niecałe 20 proc. posiada certyfikat Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, gwarantujący jakość wykształcenia i kompetencje. Od ponad dwóch lat trwają konsultacje środowiskowe dotyczące regulacji zawodu psychoterapeuty. Prace idą w stronę ujednolicenia kształcenia, zawężenia dostępu do zawodu oraz ograniczenia nurtów psychoterapii. Działają jednak w Polsce cenieni psychoterapeuci, którzy nie posiadają akademickiego wykształcenia kierunkowego, ale ukończyli w pełni kurs i zyskali uprawnienia. Nie podeszli jednak do egzaminu certyfikującego z uwagi na ogrom nauki i czasu, jaki trzeba na nią poświęcić, jednocześnie praktykując zawód. Jeśli wypadną z zawodu, dostępność psychoterapii jeszcze się w Polsce zmniejszy. Ważne jest więc stworzenie takich regulacji prawnych, by efekty przyniosły ulgę tysiącom pacjentów pozbawionych dziś opieki. A jednocześnie zapobiegły historiom takim, jak ta z Wrocławia, gdzie gabinet psychoterapii otworzył kowal i dzięki dobrej strategii marketingowej miał sporą liczbę odbiorców swoich usług.

© SZYMON ŻYŚKO

TOMASZ

Stawiszyński:

Rosja i tradycyjne wartości

Zanim jeszcze pojawił się w sieci słynny wywiad Tuckera Carlsona z Władimirem Putinem, ba, zanim jeszcze w ogóle został przeprowadzony, rozgrzały się do czerwoności konta rozmaitych antysystemowców oraz miłośników teorii spiskowych (nie będę wymieniał których, żeby nie robić im reklamy). Z wcale nie tak znowu zaskakującą jednomyślnością ogłaszali oni w kolejnych postach, że już za chwilę stanie się gołym okiem widoczne coś, co dotąd kłamliwe media głównego nurtu starały się przed opinią publiczną ukrywać.

Mianowicie – że Władimir Putin jest w istocie sojusznikiem i przyjacielem wszystkich ludzi przywiązanych do „normalnych, tradycyjnych wartości". A także dostrzegających, jak skorumpowany i przeżarty demoralizacją jest „system" światowej polityki. Putin – twierdzili – od lat przeciwstawia się obyczajowym przemianom i kulturowym rewolucjom animowanym przez szeroki front zachodnich środowisk liberalno-lewicowych. A do tego doskonale rozumie, czym w Stanach Zjednoczonych (i nie tylko) jest osławiony *deep state*. Sekretne państwo w państwie, niejawna grupa trzymająca władzę i pociągająca za sznurki, zza kadru zręcznie sterująca marionetkową oficjalną elitą. To właśnie – podkreślali – łączy Putina z Donaldem Trumpem, który również rzucił rękawicę zakulisowym możnowładcom.

Cóż, okazało się, że akurat te wątki – owszem, często w rosyjskiej propagandzie obecne – niespecjalnie w wywiadzie wybrzmiały. Carlson wprawdzie dopytywał o rzekomo zaskakującą niedecyzyjność amerykańskich polityków, rosyjski dyktator zaś wspominał, jak umawiał się na to lub tamto z prezydentem USA, a potem administracja wszystko odwołała. Ale nic ponadto. Podobnie nie zaznaczyły się „tradycyjne wartości" – chrześcijańska Rosja *versus* sataniczny Zachód – choć akurat o ontycznej jednolitości prawosławnego świata Putin parę razy napomknął. Generalnie jednak skupiał się – jak wiadomo – na powtarzaniu, że pokojowa i uczciwa Rosja nie wywołała wojny, nikogo nie napadła i napadać w przyszłości również nie zamierza. Oczywiście, jeśli znowu poczuje się zagrożona – tak jak w przypadku Ukrainy, którą „kolektywny Zachód" popychał w objęcia NATO – to co innego. Wtedy zrobi, co trzeba, żeby się uratować. No ale będzie to równoznaczne z konfliktem na skalę światową, a przecież dobrze wiadomo, czym się taki konflikt może skończyć. Stąd apel miłośnika pokoju z Kremla do krwiożerczych zachodnich przywódców: opamiętajcie się i przestańcie!

Słowem – klasyka kłamliwej rosyjskiej propagandy, z którą mamy do czynienia od lat, zwłaszcza dwóch. Niezależnie jednak od tego, czy Putin wypowiedział czy nie wypowiedział słów, których od niego ci wszyscy antysystemowcy oczekiwali – samo oczekiwanie i skojarzenie, z którego wypływa, pozostają faktem. Odzew na tę rozmowę również wyraźnie gra na analogicznych nutach. Oto walący się pod ciężarem własnej bezwładności, braku tożsamości i imponderabiliów liberalny Zachód oraz nieliczni obrońcy tego, czym kiedyś był i czym znów mógłby być. Zwolennicy tradycyjnych wartości, rodziny, moralnego i prawnego ładu, poszanowania dla tradycji i wiary przodków. Pogromcy wszelkich *deep states*. I Putin, który stoi dziś z nimi ramię w ramię.

Jest to rzeczywiście skrajnie niebezpieczne i niepokojące. Nie tylko jednak to, że Putin zaczyna zyskiwać na Zachodzie sympatię coraz większej grupy ludzi rozczarowanych polityką liberalnych elit. Ale przede wszystkim, że dzieje się to w jakiejś mierze z powodu upowszechniania tej właśnie zbitki: tradycyjne wartości, konserwatyzm, prawica równa się Putin i Rosja. Przy czym jest to utożsamienie indukowane zarówno przez Putina (celowo), jak i przez tych świadomych albo nieświadomych propagatorów antysystemowych narracji i teorii spiskowych, którzy ochoczo mu basują. Paradoksalnie, basują mu w tym także pod wpływem coraz bardziej radykalnej polaryzacji (która jest Rosji zdecydowanie na rękę) również niektórzy przedstawiciele szeroko rozumianego obozu liberalno-lewicowego.

Owszem, jest to poręczny pocisk w politycznej wojnie – sprawić, żeby opcję światopoglądową oponenta skleić w masowej asocjacji z Putinem i Rosją. Takie manewry erystyczne stosuje się także w polskich sporach i konfliktach. Słychać to było zwłaszcza przed ostatnimi wyborami. Problem polega jednak na tym, że – po pierwsze – to nieprawda. Putin nie jest żadnym konserwatystą, jest dyktatorem i makiawelicznym technologiem władzy. Używa konserwatywnej narracji wyłącznie cynicznie, na zimno, w służbie interesów.

Jasne, istnieje prorosyjska skrajna prawica, ale istnieje również prorosyjska skrajna lewica. W obu przypadkach nie jest to całość krajobrazu, a Rosja, o czym nieraz pisał m.in. Peter Pomerantsev, celowo wspiera obie skrajności, ponieważ zawsze gra na antagonizowanie. Po drugie natomiast – co właśnie świetnie ilustruje przykład recepcji wywiadu Carlsona z Putinem – pełne skojarzenie konserwatyzmu, chrześcijaństwa i krytycznej postawy wobec polityki liberalnych elit z Rosją może zadziałać, już działa, w znacznym stopniu nie tyle antykonserwatywnie i proliberalnie, ile raczej... prorosyjsko. Po prostu – w ludziach o takich przekonaniach może wytworzyć, już wytwarza, wrażenie, że Putin faktycznie jest ich sprzymierzeńcem i w związku z tym należy go wspierać. Podczas gdy tak naprawdę jest całkiem odwrotnie.

Trzeba przyznać – nieźle to sobie Władimir Władimirowicz wykombinował. Gorzej, że wciągnął w tę grę także tych, którym powinno być do niego jak najdalej, ale stają się dziś mimowolnymi wyrazicielami jego starannie skomponowanej propagandy. ©

OPINIE

WIĘCEJ NIŻ ZERO

Nowy projekt Krzysztofa Stanowskiego wjeżdża na rynek polskich mediów jak ryczący sportowy samochód podczas nielegalnych wyścigów. Ale Kanał Zero to także opowieść o aspiracjach mężczyzn i o głodzie autentyczności.

JAKUB DYMEK

Debiutujący na YouTubie kanał prowadzony przez byłego dziennikarza sportowego nie ma problemu z namówieniem prezydenta RP na luźną rozmowę, która w 10 dni zgarnia ponad 2,5 miliona wyświetleń. Organizuje debatę ekspertów o Centralnym Porcie Komunikacyjnym, która w tydzień przyciąga 1,1 miliona widzów. Angażuje do współprowadzenia programów gen. Rajmunda Andrzejczaka, do niedawna szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (jego pierwszy występ w parze ze Stanowskim przebija pułap miliona oglądających). Najbardziej medialne twarze swoich partii, Anna Maria Żukowska z Lewicy i Sławomir Mentzen z Konfederacji wystawiają się na długie godziny przepytywania przez Roberta Mazurka i dzwoniących do studia widzów.

Wyłania się z tego obraz projektu, który „zażarł" jak mało który medialny pomysł ostatnich lat – zwłaszcza że każdy jego produkt opakowują logotypy licznych sponsorów. Nic dziwnego, że tradycyjne media patrzą na Kanał Zero z mieszanką strachu, zazdrości i oburzenia.

– Stanowski zrobił medium XXI wieku. Telewizję dla generacji, która nie ogląda telewizji – mówi „Tygodnikowi" Marcin Meller, który przeniósł do Kanału Zero swoje „Drugie śniadanie".

– Oni widzą w nas realną konkurencję, bo pokazaliśmy, że można prowadzić media inaczej niż Kościół, sektę albo partię – dodaje Robert Mazurek, prowadzący w Kanale rozmowy i debaty polityczne.

– „Stare" media mają problem, bo Stanowski ma odwagę i stać go na to, żeby robić, co mu się podoba – potwierdza Karolina Korwin-Piotrowska, która sama przeszła z ekranu telewizyjnego do mediów cyfrowych. – W tradycyjnych mediach albo masz łamany kręgosłup, albo się boisz, że zostaniesz skancelowany – dodaje. Sama, choć zaznacza dzielący ją od twórców Kanału Zero dystans, wzięła już udział w jednym z programów.

„Lubię grać w duże gry dla dużych mężczyzn, a nie iść na łatwiznę" – lapidarnie podsumował sam Stanowski. Ale opowieść o jego nowym projekcie nie dotyczy tylko biznesowego sukcesu jednego człowieka. To historia o zmieniających się mediach, klęsce starych formatów, aspiracjach mężczyzn i głodzie autentyczności w przestrzeni publicznej.

Telewizja bez telewizora

Przyszły szef Kanału Zero karierę dziennikarza internetowego zaczął e-mailem do „Przeglądu Sportowego" w 1997 r., w wieku... 14 lat. Przed Kanałem Zero zakładał Kanał Sportowy, a jeszcze wcześniej piłkarski portal Weszło! Został influencerem (zaczął zarabiać na promocji firmy bukmacherskiej) na dekadę przed tym, jak to słowo pojawiło się w obiegu. I zanim świat polskich mediów zrozumiał, że w sieci można tworzyć nowe formaty i je monetyzować.

– Znał rządzące internetem modele biznesowe w czasach, gdy telewizjami rządzili jeszcze panowie nieumiejący wysłać maila – śmieje się Korwin-Piotrowska. A Meller dodaje prostą obserwację, że „reklamodawcy i tak zabierają kasę z telewizji i idą do YouTube'a".

Ale w sukcesie Kanału Zero jest coś jeszcze. Dziś niechęć do mediów głównego nurtu jest tak duża, że pierwszym krokiem do sukcesu w tej branży jest bycie jej wrogiem. W zleconym przez Instytut Finansów badaniu zaufania w Polsce w 2023 r. dziennikarz zajął ostatnie miejsce – większe zaufanie budzili ksiądz, urzędnik czy sędzia. Z sondażu CBOS wynika, że dla Polaków poniżej 45. roku życia telewizja, radio i gazety (razem wzięte) są mniej ważnym źródłem informacji niż internet. Dla rosnącej rzeszy odbiorców czymś naturalnym jest więc czerpanie wiedzy o świecie z platform społecznościowych, w tym niezwykle krótkich form na Instagramie i TikToku.

W tym układzie „stare" media dostarczają tylko treści do recyklingu w dużo bardziej przystępnej konwencji przez influencerów i liderów opinii na platformach. Dzieje się tak nie tylko u nas. Badania pracowni Gallupa pokazują, że zaufanie do mediów w USA jest najmniejsze w historii. Jedyną grupą, która woli telewizję od mediów cyfrowych, są emeryci.

Kiedy więc Stanowski ogłasza na swoim YouTubie, że chce robić coś na kształt telewizji, tylko że nie do końca, bo na smartfonie, ma rację.

– Nawet gdyby konwencjonalne media dobrze wykonywały swoją pracę, i tak znalazłoby się miejsce dla Kanału Zero. Jakość mediów i ich plemienność to jedno, ale nie mniej ważna jest kwestia technologiczna.

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Umiera sama formuła oglądania telewizji w telewizji – mówi „Tygodnikowi".

Wystarczy jednak obejrzeć pierwsze kilka minut wywiadu z prezydentem Dudą, żeby zrozumieć, że nie tylko o wielkość ekranu chodzi. Forma tej rozmowy to raczej „antytelewizja" albo telewizja na opak. Prowadzący ją Stanowski i Mazurek są w niej bardziej *porte-parole* „zwykłych facetów", którzy wpadli do pałacu prezydenckiego niejako przypadkiem. Zaczepiają Dudę, żeby zadać kilka pytań, które nurtują „normalsa". Po czym, nie bez udziału samej głowy państwa, prowadzą do konkluzji, że politycy kłócą się bez sensu, media podgrzewają ten cyrk, polaryzacja prowadzi donikąd, a dla nas lepiej byłoby, aby „oni wszyscy" już się dogadali. Prezydent stwierdza, że za polaryzację odpowiadają media, a Stanowski wtóruje: „bez wątpienia".

Oczywiście, Mazurek i Stanowski z rozmysłem ośmieszają innych dziennikarzy. Bo jeśli czegoś w wywiadzie z prezydentem nie ma, to wszystkich tych rytuałów znanych z telewizyjnych rozmów. To znaczy: pompy i celebry, wyuczonych na pamięć ripost i pytań przygotowanych przez zespół researcherów, wyreżyserowanego konfliktu. W Kanale Zero ma być swojsko, intymnie i szczerze. A przynajmniej oglądający ma mieć takie poczucie. – To nowoczesna poza autentyfikacji, ustawianie się w roli kogoś, z kim każdy może się utożsamić – komentuje prof. Jacek Wasilewski, medioznawca z UW.

Krzysztof Stanowski, Warszawa, październik 2023 r.

Ja tylko pytam

I tu dochodzimy do punktu drugiego. Stanowski i Kanał Zero irytuje, budzi zazdrość i niepokój w świecie tradycyjnych mediów z tych samych powodów, z których robi to najsłynniejszy autor podkastów na świecie, Joe Rogan. Słowo klucz to właśnie „autentyczność".

Rogan, podobnie jak Stanowski, wszedł na szczyt internetowej sławy przez sport – był komentatorem i prezenterem na galach sportów walki, prowadził *reality shows*. Swoje programy i wielogodzinne wywiady w podkastach (za prawa do których platforma Spotify płaci setki milionów dolarów) zaczynał od, jak sam mówi, „gadania głupot do kamerki komputera". Podobnie jak Stanowski, Rogan przed mikrofonem nie udaje mędrca, daje się gościom wygadać, sam zaś mówi jak „swój chłop", a nie opryskliwy kujon pod krawatem.

– A cóż ja niby nowego wymyśliłem? Robię platformę YouTube i wrzucam tam ciekawe vlogi i wywiady – śmieje się Stanowski. – Nie inspiruję się ani Roganem, ani nikim innym, bo jak mam wolny czas, to zamiast szukać modeli, które mógłbym podkraść, wolę pograć na PlayStation – mówi. Podkreśla też, że w Kanale Zero będzie „totalna wolność prowadzących", „prawo, by ktoś bronił poglądów nawet nierozsądnych" i „możliwość zapraszania ludzi, z którymi on sam [Stanowski] miał publiczne utarczki".

Są oczywiście różnice: Rogan zwykle unika polemiki, Stanowski potrafi odwinąć się szybką, czasami chamską ripostą albo wystawić gości na pośmiewisko.

Ale trudno uniknąć porównań. Obaj reprezentują archetyp everymana. Chodzący tryumf zwykłego człowieka i jego zdrowego rozsądku ↦

↦ nad pychą elit i hipokryzją mediów głównego nurtu.

Setki milionów ludzi na świecie odpływa do podkastów, YouTube'a czy nowych form nie dlatego, że nie chce informacji. Przeciwnie: uważają, że tradycyjne media nie dają już im wiedzy i uczciwych opinii, bo są zbyt uwiązane interesami sponsorów i partii, rygorem poprawności politycznej, dyktatem intelektualnych mód i wyników badań fokusowych. W kreacji na zwykłego człowieka, pozornie ignoranta, który mówi „ja tylko pytam", leżał sukces wszystkich konserwatywnych gwiazd amerykańskiego radia mówionego, później telewizji, vlogów, YouTube'a i podkastów – od Glenna Becka, przez Andrew Breitbarta i Stephena Bannona po Tuckera Carlsona. Po drugiej stronie, czyli na bardziej radykalnej lewicy, również wyrosły osobowości, które stawiają się w roli trybunów ludu przeciwko skorumpowanym układom polityczno-medialnym. To choćby socjalistyczna prezenterka Briana Joy Gray, wrogi waszyngtońskim politykierom kanał Breaking Points czy testujące granice dobrego smaku Anna Khachiyan i Dasha Nekrasova z „Red Scare".

– Telewizja przestała kreować nowe osobowości kilkanaście lat temu. A przecież na tym ten cały biznes stoi – na ludziach, których się chce słuchać, którzy budzą zainteresowanie, kontrowersje, dotykają czegoś ważnego – mówi Korwin-Piotrowska. – Osobowości wykreowane przez telewizję to ludzie, którzy zbliżają się do sześćdziesiątki. Jeśli gdzieś powstają nowe osobowości i wybijają się autentyczne głosy, to przecież na YouTubie, bo gdzie indziej?

Walka ze smokiem ignoracji

Tour de force Stanowskiego była sprawa Natalii Janoszek. Jeszcze w Kanale Sportowym w serii liczącej łącznie kilka godzin materiałów zdemaskował celebrytkę, której kariera w Bollywood była w dużej mierze zmyśleniem, a na którą nabrały się polskie telewizje i portale robiące z „gwiazdą" wywiady. Filmy z cyklu „Bollywoodzkie zero" mają od miliona do 10 milionów wyświetleń. Dla wielu to właśnie przy ich pomocy „Stano" wywlókł na światło dzienne niekompetencję i głupotę tradycyjnych mediów.

Tym, co dla jednych było ciosem w hipokryzję, dla innych stało się jednak nagonką na niewinną kobietę. Janoszek zrobiła wszak karierę tak, jak jej na to media i kult celebrytów pozwoliły.

W kreacji na zwykłego człowieka, który mówi „ja tylko pytam", leżał sukces gwiazd amerykańskiego radia mówionego, później telewizji, vlogów, YouTube'a i podkastów.

„Nie wydaje mi się, żeby sygnałem alarmowym dla polskiego dziennikarstwa był fakt, że prowadzący w telewizjach śniadaniowych nie przeprowadzili dogłębnego researchu kariery pani Janoszek – pisał na stronach „Rzeczpospolitej" Jan Maciejewski. – Naprawdę o polskie media zacznę się martwić dopiero wtedy, kiedy ich sumieniem stanie się ktoś taki jak Krzysztof Stanowski, budujący swą rozpoznawalność na starciach z takimi tuzami intelektu jak Marcin Najman, Maja Staśko, Jaś Kapela czy obecnie Natalia Janoszek". „Może jestem naiwny, ale szkoda, że red. Stanowski choć 10% wysiłku, który włożył w wyjaśnienie przekrętów jakiejś marnej hochsztaplerki, nie przeznaczył na wyjaśnienie, czy były selekcjoner reprezentacji Polski był zamieszany w korupcję" – dorzucał szef think-tanku More in Common Adam Traczyk, nawiązując do przyjaźni Stanowskiego z trenerem Michniewiczem.

Pytam Stanowskiego, czy biorąc pod uwagę, że w Kanale Zero chce poruszać poważne tematy, broni swojego śledztwa w sprawie Janoszek. – To był kawał dobrej roboty, pokazujący, jak łatwo dziś oszukać media, jak miałka jest weryfikacja wszystkiego, jak duży jest poziom cynizmu – odpowiada. – Uważam, że to był na wielu poziomach potrzebny materiał. Po pierwsze, być może odstraszy niektórych oszustów, po drugie jedna osoba [Janoszek] została zweryfikowana, po trzecie masa mediów została zweryfikowana.

A co z korupcją w świecie innym niż medialny, np. w sporcie? – Ja się korupcją w sporcie zajmowałem lata temu, jak byłem dziennikarzem sportowym. Każdy może sięgnąć do moich tekstów i uznać to za odhaczone – odpowiada Stanowski. – Nie będę wracał do tematu za każdym razem, jak ktoś przyjdzie spóźniony na imprezę i sobie o czymś przypomni.

– Format Stanowskiego jest o Stanowskim, który pokonuje smoki zła, głupoty i hipokryzji. To jest fundamentalnie o nim. Idealny produkt czasów YouTube'a, nawet jeśli mi się nie podoba – mówi prof. Wasilewski. W sporze o Janoszek zbliżamy się zaś do trzeciego źródła sukcesu i kontrowersji wokół Stanowskiego: męskich potrzeb i wojny płci.

Męska wspólnota i terror algorytmów

„Esencja Chłopskiego Rozumu" – tak pomysł na Kanał Zero podsumował na stronach „Krytyki Politycznej" Piotr Wójcik. „Wśród trzynastu gospodarzy programów na Kanale Zero znalazła się dokładnie jedna gospodyni – modelka i celebrytka Monika Goździalska, która, stereotypowo, będzie prowadzić śniadaniówkę. Niestety w środowisku Chłopskiego Rozumu nie znalazła się żadna kobieta, która poprowadziłaby konkretny obszar merytoryczny. Być może kobiety nie mają dostępu do przepastnej skarbnicy wiedzy" – ironizował.

– Stanowski doskonale rozumie potrzeby mężczyzn i reguły rządzące męskim światem. Afera z Janoszek i poszukiwanie przez niego uznania od innych facetów tego dowodzi. Zauważmy, że na Kanale Zero zgromadził wszystkie możliwe archetypy męskości, od generała przez biznesmena i naukowca po śmieszka – mówi mi warszawski badacz kultury, który chce pozostać anonimowy. – Nawet role, które odgrywają w parze z Mazurkiem, są komplementarne. Jeden gra światowca, który zna się na winach, bywał tu i tam, potrafi przegadać największego erudytę, drugi zaś swojskiego chłopaka, z którym chętnie napiłbyś się piwa i kopnął piłeczkę – dodaje.

Może jednak odpowiedź na pytanie o brak parytetów jest prostsza. Badania z USA pokazują, że YouTube jako źródło wiedzy jest zdecydowanie popularniejszy u mężczyzn (58 proc. z nich regularnie sięga tam po newsy, kobiet 41 proc.). Wiele wskazuje, że ten podział jest w Polsce jeszcze ostrzejszy. Mężczyźni konsumują też więcej polityki (a tym bardziej sportu, treści związanych z wojskowo-

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Krzysztof Stanowski po powrocie z Indii, gdzie zbierał materiały do filmu o Natalii Janoszek. Warszawa, Okęcie, czerwiec 2023 r.

ścią, sprawami międzynarodowymi) – a więc napędzają wpływ z reklamy.

Im więcej zaś mężczyzn ogląda politykę i publicystykę, tym bardziej „męski" staje się świat polityki i publicystyki w YouTubie – to kwestia algorytmicznej selekcji treści i optymalizacji pod kątem zasięgów. Dokładnie odwrotnie jest na Instagramie, gdzie przeważają kobiety, częściej angażujące się i kreujące treści dotyczące np. spraw społecznych, zdrowia, prawa czy psychologii. Proporcje konsumentek newsów na Instagramie i TikToku są jeszcze bardziej wychylone w stronę kobiet (ponad 20 pkt proc. różnicy) niż na YouTubie w stronę mężczyzn. Wulgarnie materialistyczna odpowiedź na pytanie o kobiety na Kanale Zero brzmi więc: gdyby Stanowski realizował swój projekt na innej platformie, musiałby walczyć o parytet i potrzeby kobiecej widowni.

– Jestem w stu procentach za równouprawnieniem – deklaruje twórca Kanału Zero. – Jeśli będzie kobieta, która zna się lepiej od Andrzejczaka na wojnie, lepiej od Dębskiego na geopolityce, lepiej od Rożka na nauce, to dam jej program. Problem polega na tym, że nie widzę takich osób sprawdzonych na YouTubie.

I kontynuuje: – Słyszę tylko: zatrudnij kobietę! Gdy się pytam, jaką, nikt już nie podpowiada. W czysto specjalistycznych vlogach na YouTubie kobiety nie mają silnej reprezentacji, ale to nie jest moja wina. Ja korzystam z tego, co na YouTubie już jest.

Zarzuty o seksizm twórcy Kanału Zero odbija też Korwin-Piotrowska. – Gdy polskie media zaczęły promować prostytucję, nazywając ją dla niepoznaki sex workingiem, miał odwagę to wypunktować. Zrobił to nie dla zasięgów, tylko z wściekłości. Ja mu w pewnym sensie zazdroszczę: ma pozycję, kasę i bezpieczeństwo, może mówić, co uważa. Większość dziennikarzy boi się o kredyt i zdanie własnego szefa.

Polityka od środka

– Dlaczego Stanowski odniósł sukces? A ktoś inny próbował? Może mi pan pokaże kogoś, bo ja po prostu nie znam? – odpowiada pytaniem na pytanie Mazurek.

I nie mija się z prawdą. Widzowie (czyli głównie mężczyźni) w Polsce nie oglądali na YouTubie adresowanych do nich kanałów o progresywnej treści, bo takich nie było. Oglądali to, co jest, odwdzięczając się lojalnością, uznaniem i podziwem. Czyli walutą równie cenną, jeśli nie cenniejszą w świecie internetowych twórców, co kontrakty sponsorskie. Dysproporcja w treściach o tematyce okołopolitycznej w kanałach tworzonych przez mężczyzn i kobiety jest olbrzymia, ale to nie wymysł Kanału Zero, lecz bezlitosna logika algorytmów i zasięgów.

– Gdyby kiedyś w Polsce miała powstać nowoczesna europejska populistyczna prawica, bez kościółkowości, bez hejtu na LGBT, bez kompleksów, z mocnym przekazem dla generacji ambitnych i zamożnych facetów, to oczywiście mówiłaby Stanowskim – zauważa Meller.

Spekulacji na temat ewentualnej politycznej kariery Stanowskiego jest zresztą pełno. Sam zasugerował w wywiadzie z prezydentem, że wystartuje w kampanii prezydenckiej, by przekonać się, „jak wygląda ona od środka". „Chciałem doprecyzować: to, że chcę startować w wyborach na prezydenta Polski, nie oznacza, że chcę być prezydentem Polski. Oznacza jedynie, że chcę startować i z bliska obserwować ten cyrk i wziąć udział w debatach" – napisał na portalu X.

Sukcesy ludzi takich jak Boris Johnson, Wołodymyr Zełenski, Donald Trump czy Szymon Hołownia pokazują, że oswojenie z ekranem i odczytywanie gustów masowej widowni pomaga też na tym polu. Poparcie dla Stanowskiego postanowiła zresztą zbadać „Rzeczpospolita" i wyszło jej, że mógłby liczyć na 9,7 proc. głosów.

Niezależnie jednak od szans ewentualnego eksperymentu z kampanią, jako osobowość metapolityczna i autorytet w czasach pozbawionych autorytetów, Stanowski już żyje własnym życiem. A fakt, że wbija szpile tożsamościowej lewicy oraz dystansuje się od politycznej poprawności głównego nurtu, czyni go w oczach milionów widzów tym bardziej wiarygodnym.

Ten model biznesowy się sprawdza, co pokazuje kolejka chętnych do pracy z twórcami Kanału Zero sponsorów.

Pytam Stanowskiego, czy gdzieś jest granica komercji, przy której powie „nie" – wcześniej Kanał Sportowy był krytykowany za promocję alkoholu i bukmacherki, która pojawia się również przy Kanale Zero. – Nie będę reklamował papierosów. To fundamentalna różnica, bo mój tata umarł na raka płuc i nie chcę przykładać do tego ręki. Ktoś może powiedzieć, że to pewnego rodzaju hipokryzja, bo ktoś inny umarł z powodu alkoholizmu czy marskości wątroby...

Wtrącam się, by powiedzieć, że rodzin, które ucierpiały z powodu alkoholizmu, jest w Polsce całkiem dużo. – Wiem, ale świata nie naprawię. Nie jest tak, że jestem całkowicie wolny od jakiejkolwiek hipokryzji, ale tak już jest. Mam inny stosunek do papierosów i alkoholu. Ale wszystkie nasze współprace komercyjne są prześwietlane przez prawników, by uniknąć problemów z prawem.

Stanowski zgadza się, że ma dzięki komercyjnym sukcesom swobodę mówienia, o czym chce (choć, jak podkreśla, „w granicach rzetelności") większą niż inni dziennikarze. – Nie muszę drżeć ze strachu, że jak zrobię coś, co znacznej liczbie osób się nie spodoba, wpłynie to na moje życie. To na pewno duży komfort – mówi.

Ale każe sobie nie gratulować, bo on tylko robi kanał na YouTubie i dopiero się rozkręca.

© JAKUB DYMEK

WIARA

GRA POZORÓW

Nie ma w Kościele w Polsce systemowej solidarności z osobami skrzywdzonymi seksualnie. Są desperackie starania grupki partyzantów, która działa cuda.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Mamy struktury, pieniądze, grupę zaangażowanych ludzi i programy, które realnie pomagają osobom skrzywdzonym. Istnieje już także swoista kościelna poprawność, która sprawia, że pewnych rzeczy już – oficjalnie – z ust biskupów nie usłyszymy, a pewne działania – nawet jeśli ze strachu przed karami kanonicznymi – z pewnością zostaną podjęte. Jest też faktem, że jeśli chodzi o zakres dostępnej pomocy czy poziom strachu przed konsekwencjami pewnych zaniedbań, Kościół jest o lata do przodu przed instytucjami edukacyjnymi, organizacjami harcerskimi czy sportowymi.

Tyle że to wszystko niewiele mówi o realnej solidarności z osobami skrzywdzonymi czy o głębokim duszpasterskim nawróceniu, którego Kościół instytucjonalny i katolicy potrzebują. Rewolucja kopernikańska w myśleniu o skrzywdzonych i ich miejscu w Kościele jest jeszcze przed nami. Mam pięćdziesiąt lat i coraz częściej łapię się na myśli, że realnej, pełnej zmiany już nie tylko struktur, ale mentalności mogę nie doczekać.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Msza w świdnickiej katedrze podczas plenarnego zebrania Konferencji Episkopatu Polski. Czerwiec 2019 r.

Trzysta tysięcy

Nie doczekają jej także ludzie, którzy zostali skrzywdzeni seksualnie dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu i którzy – wychowani w pewnej mentalności – wciąż jeszcze nie mają dość odwagi, żeby opowiedzieć o tym, co ich spotkało. Oni są obok nas, są w Kościele i poza nim. Są księżmi, siostrami, terapeutami, mają dzieci, którym niekiedy także przekazują straszliwą traumę. I milczą, bo wciąż jeszcze nie wierzą, nie widzą prawdziwej zmiany, bo wciąż jeszcze odbierają sygnał, że od nich, od ich cierpienia, ich bólu, ich złamanego życia bardziej liczy się dobre imię instytucji i jej interesy czy pamięć o wielkich polskiego Kościoła.

Ilu ich jest? Tysiące, a może dziesiątki tysięcy. Ks. Stanisław P. z diecezji tarnowskiej – według prokuratury – skrzywdził przynajmniej stu chłopców, bo tylu mężczyzn zdecydowało się zeznawać. Jeśli wziąć pod uwagę statystyki tych, którzy mówić o swojej krzywdzie odwagi nie mają, to liczba ofiar tylko tego jednego duchownego może iść w kolejne setki. Liczby całościowe mogą być o wiele, wiele większe. Francuska Komisja powołana przez Episkopat szacuje, że w ciągu siedemdziesięciu lat we Francji trzy tysiące kapłanów i zakonników wykorzystało seksualnie dwieście szesnaście tysięcy małoletnich. Jeśli takie są dane we Francji, to możemy przyjąć, że w Polsce – biorąc pod uwagę większą religijność Polaków, większą liczbę księży katolickich i jeszcze mocniejszą niż gdzie indziej, bo wzmacnianą przez walkę komunistów z Kościołem „kulturę milczenia" liczby mogą być podobne (a może nawet większe). To oznacza, że trzysta tysięcy kobiet i mężczyzn żyje z traumą.

Nieusłyszany krzyk

Ogromna większość z nich nikomu jeszcze o tym nie powiedziała, bo nie widzi w innych, w nas, w dobrych katolikach, w dobrych księżach, gotowości na zmierzenie się z ich traumą, wysłuchanie i uwierzenie im. Wystarczy jednak zacząć mówić o tym otwarcie, opowiadać się po ich stronie, aby nagle okazało się, że wśród naszych znajomych, przyjaciół, ludzi, z którymi pracujemy albo modlimy się, są skrzywdzeni seksualnie w Kościele. Nie jestem w stanie nawet zliczyć, ile takich rozmów odbyłem.

Czy jako instytucja nauczyliśmy się już tego słuchania? Jeśli szukamy obrazu, który pokaże, jak obecnie jest, to trudno o lepszy niż liczba biskupów, którzy zdecydowali się na spotkanie z Tośką Szewczyk. Kilka miesięcy temu – wraz z dominikaninem o. Tomaszem Biłką – zdecydowała się na wysłanie do wszystkich polskich biskupów „talerza skrzywdzonych", który miał być zaproszeniem do dialogu i spotkania. Ilu z nich odpowiedziało? Wśród stu czynnych biskupów na spotkanie z głęboko wierzącą osobą skrzywdzoną, która nie boi się mówić prawdy w oczy, zdecydowało się dziewięciu, i to w większości pomocniczych. To nawet nie jest jedna dziesiąta aktywnych biskupów.

Jeśli jest tak źle, to dlaczego jednocześnie Kościół jest jedyną instytucją w Polsce, która w związku z pomocą osobom skrzywdzonym stworzyła struktury zgłaszania, finansowania terapii itd.? Powody są przynajmniej dwa. Pierwszym jest wyraźny nacisk Stolicy Apostolskiej, która wymaga takich działań. To jednak nie wyjaśnia wszystkiego, bo wobec Kościoła w Ukrainie, na Słowacji, o Afryce nie wspominając, formułowane są dokładnie te same oczekiwania, a instytucje katolickie w tych krajach są daleko w tyle, jeśli porównywać je z Polską.

Wojownicy

Drugim powodem jest grupa zaangażowanych księży, osób świeckich, kanonistów, prawników, terapeutów i działaczy społecznych, którzy na różne sposoby angażują się w zmianę sytuacji. Mowa o jezuicie o. Adamie Żaku, który dziesięć lat temu z Ewą Kusz stworzył Centrum Obrony Dziecka przy krakowskim Ignatianum, budując system edukacyjny dla zaangażowanych w pomoc skrzywdzonym, ale też o Marcie Titaniec, ↦

↦ która od pięciu lat kieruje Fundacją Świętego Józefa, a także o ks. Piotrze Studnickim, który jest kierownikiem Biura Delegata KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży, a także o samym delegacie, czyli prymasie Polski abp. Wojciechu Polaku.

Listę „wojowników" można uzupełnić jeszcze o kanonistę ks. dr Jana Dohnalika, kilku, może kilkunastu najbardziej zaangażowanych delegatów diecezjalnych i zakonnych, a także o tych, którzy zaczynali tę samą walkę oddolnie. Jednym z pierwszych był zmarły niedawno ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Obecny w debacie publicznej jest ks. prof. Andrzej Kobyliński, który od lat zajmuje się naukowo zjawiskiem „pedofilii klerykalnej". Jest jeszcze Zbigniew Nosowski, którego dziennikarskie śledztwa wymuszały działania. I wreszcie – od nich powinienem zacząć – są ci, którzy jako pierwsi opowiedzieli swoje historie albo byli głosem skrzywdzonych: były dominikanin Marcin Mogielski, franciszkanin o. Tarsycjusz Krasucki, bracia Pankowiakowie... Są także księża i siostry (często mocno krytykowani w swoich środowiskach), którzy – nawet jeśli nie są zaangażowani w sprawę – to pomagają. Informują media, wspierają ludzi. Ich pewnie można liczyć w setki.

Testowanie kar

Takie pospolite ruszenie i grupa osób zakorzenionych w strukturach, ale jednocześnie nieustannie się z nimi zmagająca, uprawiająca dyplomację, przekonująca do małych kroków, sprawia, że jesteśmy o wiele dalej, niż wskazywałby na to stan myślenia biskupów, sporej części księży i wiernych.

Ogromne znaczenie dla wzmocnienia procedur i struktur miał również dokument „Vos estis lux mundi" z 2019 r., który wprowadził normy karania kościelnych przełożonych i – jak się zdaje – był przetestowany w Polsce. Kilkunastu polskich biskupów zostało ukaranych na podstawie zawartych w nich przepisów, a dwóch kolejnych zostanie – i to w krótkim czasie – ukaranych. I nie ma co ukrywać, że ten prawny nacisk też przyczynił się do szybszego działania części polskiego Episkopatu. Stosunek poszczególnych biskupów do skrzywdzonych nie miał większego znaczenia, gdy alternatywą dla działania były kary kanoniczne. A jeśli do tego dodać skuteczność „dyplomacji" kościelnej z jednej strony o. Adama Żaka SJ, a z drugiej prymasa Wojciecha Polaka – to stanie się zrozumiałe, dlaczego tak wiele udało się osiągnąć.

Zapobieganie i pomoc

A już same wyliczenie sukcesów jest imponujące. Od dziesięciu lat Centrum Ochrony Dziecka organizuje na Ignatianum podyplomowe studia z „profilaktyki przemocy seksualnej wobec dzieci i młodzieży", które ukończyło już ponad sto osób. Część z nich jest zaangażowana w diecezjach, zakonach, inni – często świeccy – angażują się prawnie. Absolwentką tych studiów jest choćby obecna rzeczniczka praw dziecka.

Uniwersytet Papieski Jana Pawła II kilka lat później uruchomił podyplomowe studia prawno-kanoniczne, które poszerzają dostęp do wiedzy na te tematy. Przy każdej diecezji (i przy wielu zakonach i zgromadzeniach) działają delegaci (a niekiedy także delegatki), którzy przyjmują zgłoszenia osób skrzywdzonych. I nawet jeśli nie wszędzie działa to doskonale, to próżno szukać innej instytucji w Polsce, która miałaby taką sieć. Fundacja Świętego Józefa, której nie byłoby, gdyby nie sprawność polityczna prymasa, tylko w ubiegłym roku przekazała na pomoc bezpośrednią i pośrednią osobom skrzywdzonym blisko trzy miliony złotych – pieniądze te pochodzą ze zbiórek przeprowadzanych w diecezjach i w zakonach wśród duchownych. Istnieją dyżury telefoniczne, bezpłatne konsultacje kanoniczne, a nawet punkty konsultacyjne, gdzie zgłosić się po pomoc mogą osoby skrzywdzone (patrz ramka obok).

Zasłona dymna

Ta ogromna praca, za którą stoi – biorąc pod uwagę wielkość polskiego Kościoła – niewielka grupa ludzi, staje się jednak wygodną zasłoną dymną dla braku solidarności, jaki dotyka ogromną większość ludzi Kościoła hierarchicznego w Polsce. Istnienie i praca Fundacji Świętego Józefa pozwala zrzucić z siebie odpowiedzialność za pomoc osobom skrzywdzonym, a praca prymasa Polski jako Delegata KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży sprawia, że pozostali biskupi nie muszą robić nic. I nawet jeśli niektórzy robią wiele, to większość ordynariuszy poza tym, czego wymaga od nich prawo kanoniczne i za brak czego mogą zostać ukarani, nie robi wiele.

Milczenie większości biskupów (choć pojawiają się chwalebne wyjątki) w tych sprawach jest zresztą jednym z powodów, dla których wciąż można utrzymywać, że polski Kościół idzie w dobrym kierunku i że jest coraz bardziej solidarny ze skrzywdzonymi. O wiele trudniejsze staje się to, gdy któryś ze starszych biskupów zdecyduje się jednak na te tematy wypowiedzieć.

W 2019 r. abp Marek Jędraszewski wypowiedział się o zasadzie „zero tolerancji" dla przestępców seksualnych. Podkreślił, że hasło to „ma charakter w jakiejś mierze totalitarny. (...) Kiedy nazizm hitlerowski walczył z Żydami, stosował wobec nich »zero tolerancji«, w wyniku czego powstał Holokaust. Kiedy w systemie bolszewickim stosowano »zero tolerancji« wobec »wrogów ludu«, doszło do kolejnej masakry w skali liczącej dziesiątki, a może nawet setki milionów ofiar". Od razu wybuchł skandal, i choć brakuje dowodów, by zmienił on poglądy krakowskiego metropolity, to... od tego momentu pilnuje się on zasady, by o takich sprawach mówił wyłącznie prymas.

Obarczeni zadośćuczynieniem

Wyraźnie widać też, że granicą solidarności z pokrzywdzonymi jest w polskim Kościele nieodmiennie kasa. KEP od lat jednoznacznie sprzeciwia się wypłacaniu odszkodowań osobom skrzywdzonym i przekonuje, że diecezje nie mogą być odpowiedzialne za działania przestępców seksualnych w sutannach. Tydzień przed Dniem Modlitwy i Solidarności z osobami skrzywdzonymi seksualnie bp Andrzej Jeż – po raz kolejny – przedstawił na piśmie uzasadnienie braku odpowiedzialności diecezji za działania, za które jej biskup został ukarany.

„Trudno, ażeby odpowiedzialnością zbiorową za przestępstwo dokonane przez konkretnych ludzi obarczano całą wspólnotę diecezji. To tak jakby za szkodę wyrządzoną przez podpalacza mieli odpowiadać wszyscy mieszkańcy jego miejscowości. Diecezja tarnowska utrzymuje się z ofiar wiernych, a więc to przede wszystkim oni zostaliby obarczeni zadośćuczynieniem za przestępstwo, które popełnił konkretny człowiek. Czym innym jest przychodzić pokrzywdzonym z pomocą, a czym innym ponosić odpowiedzialność za przestępstwa popełnione przez drugich" – napisał

w oświadczeniu przekazanym Onetowi biskup.

Pismo to jest zaś odpowiedzią na pozew jednej z ofiar wspomnianego ks. Stanisława P., którego ówczesny biskup tarnowski Wiktor Skworc przerzucał na kolejne parafie, umożliwiając mu dalsze krzywdzenie dzieci. Watykan ukarał biskupa (właściwie symbolicznie), ale jego następca nie widzi związku między działaniami ordynariusza a gwałtem. I trudno o lepszy dowód na to, że tam gdzie chodzi o pieniądze, tam kończy się solidarność wielu biskupów.

Lęk biskupów

I jeśli ktoś sądzi, że to jakiś wyskok bp. Jeża, to nic bardziej mylnego. Konferencja Episkopatu jest w tej sprawie zgodna. Wszyscy biskupi jednym głosem powtarzają, że odszkodowań dla osób skrzywdzonych nie będzie. I nawet jeśli – za radą prawników – czasem w ramach ugody przedsądowej są one wypłacane (tak było w Krakowie, gdzie w ramach przedsądowej ugody wypłacono odszkodowanie kobiecie, wobec której nadużyć dopuścił się bp Jan Szkodoń, którego winy Watykan ani nie potwierdził, ani jej nie zaprzeczył), to oficjalne stanowisko jest dokładnie takie, jak przedstawił je bp Jeż.

Polski Episkopat jest przerażony (co *notabene* pokazuje, że biskupi mają świadomość skali zjawiska, nawet jeśli mówią co innego), że i w Polsce, jak wcześniej w USA, może dojść do bankructw diecezji pod naporem wypłaty zadośćuczynień. Ich lęk jest zaś tak mocny, że nie dociera do nich, że pomysł, by wzbraniać się przed wypłacaniem pieniędzy i prowadzić kolejne sprawy aż do poziomu Sądu Najwyższego, nie tylko niszczy w skrzywdzonych poczucie, że Kościół jest z nimi solidarny, nie tylko rujnuje wizerunek publiczny Kościoła, ale i prowadzi do utrwalenia linii orzeczniczej, która będzie zobowiązywać diecezje do wypłacania pieniędzy. Efekt postawy biskupów jest więc dokładnie odwrotny od zamierzonego.

Mentalność zmienia się na końcu

Od ośmiu lat z inicjatywy Franciszka w pierwszy piątek Wielkiego Postu Kościół obchodzi dzień modlitwy za osoby skrzywdzone. W Polsce jego organizacją zajmuje się Biuro delegata episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży. W tym roku została zmieniona nazwa tej inicjatywy z Dnia Modlitwy i Pokuty za Grzech Wykorzystania Seksualnego na Dzień Modlitwy i Solidarności z Osobami Skrzywdzonymi. Kierownik biura – ks. Piotr Studnicki – tłumaczy to „zmianą, jaka się dokonuje w Kościele dzięki spotkaniu z osobami skrzywdzonymi". Mówienie o solidarności jednak wciąż jest bardziej apelem niż opisem rzeczywistości.

Na koniec warto przypomnieć, jak ją rozumiał wielbiony w polskim katolicyzmie Jan Paweł II: „Solidarność – to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni – przeciw drugim. I nigdy »brzemię« dźwigane przez człowieka samotnie. Bez pomocy drugich. Nie może być walka silniejsza nad solidarność. Nie może być program walki ponad programem solidarności. Inaczej – rosną zbyt ciężkie brzemiona. I rozkład tych brzemion narasta w sposób nieproporcjonalny".

I aż trudno nie zadać pytania, czy do takiej solidarności są zdolni biskupi, kapłani i wierni wobec osób skrzywdzonych?

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

MARCIN OBARA / PAP

Wierzchołek góry lodowej

W POLSCE OD 2019 R. zostało wykorzystanych w Kościele 130 osób niepełnoletnich. To jedynie „wierzchołek góry lodowej" – mówił, ujawniając te dane, o. Adam Żak SJ, koordynator episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży, dyrektor Centrum Ochrony Dziecka w Krakowie. Naiwne okazuje się myślenie, że temat pedofilii w Kościele zniknie, skoro jest od dawna nagłaśniany w mediach, a krzywdziciele są tropieni i ujawniani publicznie. Pedofile w sutannach i duchowni z niedojrzałą seksualnością wciąż krzywdzą bezbronnych, mimo mniejszej ich bezkarności i lepszej wykrywalności przestępstw. Coraz większa publiczna świadomość problemu sprawia jednak, że więcej ofiar decyduje się zgłaszać swoją krzywdę, nawet jeśli doznaną wiele lat temu. Wyraźnie to widać w statystykach – cezurą stał się rok 2019, w którym (w maju) ukazał się głośny film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu". W ciągu 10 miesięcy od lipca 2018 r. do kwietnia 2019 r. przyjęto 90 zgłoszeń, a w samym maju 47 i w czerwcu 33. W 2020 r. zgłoszeń było 131, a w 2021 r. – 155. W ostatnich dwóch latach ta liczba spadła do 84 w 2022 r. i 82 w 2023 r.

ŁATWIEJ jest także obecnie zgłaszać przypadki skrzywdzenia. We wszystkich diecezjach i wielu zakonach powołano delegatów przyjmujących zgłoszenia oraz duszpasterzy towarzyszących zranionym. Działają też kuratorzy nadzorujący oskarżonych i ukaranych. W Poznaniu, Gnieźnie, Kaliszu, Płocku, Ciechanowie i Gdańsku otwarto punkty konsultacyjne. Obecnie kościelny system ochrony tworzy 448 osób.

ZAPLECZE formacyjne i edukacyjne zapewnia powstałe 10 lat temu przy Uniwersytecie Ignatianum w Krakowie Centrum Ochrony Dziecka. Bezpośrednią pomocą służy założona przy episkopacie w 2019 r. Fundacja Świętego Józefa (na zdjęciu jej prezeska Marta Titaniec). Dysponuje ona darowiznami i obowiązkową coroczną zbiórką wśród wszystkich duchownych. W 2023 r. fundacja wydała 2 mln 700 tys. zł, wspierając m.in. 100 osób skrzywdzonych, fundując 93 granty edukacyjne oraz współfinansując działania COD, punktów konsultacyjnych i inicjatywy „Zranieni w Kościele".

©℗ ASK

Święci patrzą na meczet

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Zagrożone są słynne bizantyjskie arcydzieła z kościoła na Chorze w Stambule, przerabianego obecnie na meczet.

Podobno freski i mozaiki ocalały, a jedynie podłoga została pokryta dywanem. Tureckie media obiegły nowe zdjęcia kościoła na Chorze, zamienionego trzy lata temu w meczet, ale nikt nie wie, czy są prawdziwe i czy do czasu otwarcia nic się nie zmieni. Ministerstwo Kultury i Rada do spraw Religii właśnie poinformowały, że renowacja świątyni się skończyła. Konserwatorzy zabytków i wierni nie mają dobrych przeczuć.

Najpierw była Hagia Sophia

Kiedy latem 2020 r. prezydent Turcji Recep Tayiip Erdoğan dopiął wreszcie swego i po zastosowaniu rozmaitych kruczków prawnych, a nawet – jak twierdzą niektórzy prawnicy – pomieszania przepisów prawa cywilnego i religijnego – podpisał dekret zamieniający stambulską Hagię Sophię w meczet, prawosławni wierni sądzili, że nic gorszego ich już nie spotka. W świątyni co prawda od lat 30. XX w. nikt się nie modlił, wtedy bowiem – dekretem Mustafy Kemala Atatürka, który dążył do laicyzacji państwa – utworzono tu muzeum, jednak imponujące dzieła sztuki sakralnej były widoczne i dostępne dla każdego, kto nabył bilet. Po decyzji Erdoğana, podyktowanej chęcią zjednania sobie konserwatywnego elektoratu i odwrócenia jego uwagi od szalejącego kryzysu, ale też ambicją religijnego polityka, muzułmanie wiwatowali, a świat chrześcijański płakał. W greckich kościołach zabiły nawet dzwony na znak żałoby.

Rozczarowani byli zarówno przedstawiciele Cerkwi greckiej, jak i rosyjskiej, bo jedni i drudzy czują się spadkobiercami bizantyjskiej spuścizny, ale i katolicy. Głos w sprawie Hagii Sophii zabrał nawet papież. Na prezydencie Turcji lamenty nie zrobiły wrażenia. Dwa miesiące później kolejnym dekretem zamienił w meczet inny, będący od lat muzeum, kościół Świętego Zbawiciela na Chorze. Z Hagią Sophią uwinięto się ekspresowo, na trzy lata zamykając galerię (od połowy stycznia znów jest otwarta do zwiedzania), podłogę pokrywając turkusowym dywanem, a część malowideł ukrywając pod białymi zasłonami. Tymczasem renowacja kościoła na Chorze trwa już niemal trzy lata, a otwarcie znów przesunięto.

Ryzyko zniszczenia

„Zakończyły się prace konserwatorskie w meczecie Kariye (turecka nazwa Chory) w Stambule, który jest własnością Generalnej Dyrekcji Fundacji Ministerstwa Kultury i który dekretem prezydenta z 21 sierpnia 2020 roku uzyskał status meczetu" – poinformował w oświadczeniu sprzed kilkunastu dni resort kultury, dodając, że renowacja była prowadzona z wielką starannością, a informacja, jakoby otwarcie miało nastąpić jeszcze w tym miesiącu (tureckie gazety mówiły o 23 lutego), nie pochodzi z oficjalnych źródeł i nie odzwierciedla prawdy.

„Rozpoczęły się prace nad otwarciem meczetu na potrzeby kultu w maju, a dokładna data otwarcia zostanie ogłoszona po zakończeniu prac" – czytamy w oświadczeniu. Islam zakazuje przedstawień figuralnych, toteż trudno sobie wyobrazić, że w starym-nowym meczecie na wiernych podczas namazu patrzyć będą Jezus Chrystus, apostołowie i całe zastępy świętych z malowideł i mozaik. Tymczasem w mediach pojawiły się zdjęcia świątyni po renowacji. Wynika z nich, że nie sprawdziły się czarne wizje konserwatorów i wiernych. Na ścianach w nienaruszonym stanie zostały ponoć bizantyjskie freski, a jedyna zmiana to specjalnie zaprojektowany czerwony dywan z wełny, który przykryje podłogę świątyni, i wyremontowane okna i mihrab.

Dlaczego podobno? Bo i tych informacji nie potwierdza żadne ministerstwo. Nie wiadomo też, czy można ufać krążącym w internecie zdjęciom z kościoła. Mniej więcej rok po jego zamknięciu media obiegły szokujące fotografie zmian, które w nim zaszły. Freski na ścianach były otynkowane, a do wnętrza świątyni, która od podłogi po imponującą kopułę pokryta jest przecież malowidłami, prowadziły korytarzyki z niskim, podwieszanym sufitem przypominającym namiot lub harmonijkę. „Zniszczyliście jedno z arcydzieł światowej sztuki, zabiliście wartość artystyczną i charakter świątyni" – napisał wtedy w mediach społecznościowych Mahir Polat, zastępca sekretarza w stambulskim magistracie, a historycy i konserwatorzy zabytków mówili o zbrodni i „wymazywaniu" obecności innych kultur w wielokulturowej Turcji.

Wciąż nie ma więc stuprocentowej pewności, jaki obecnie jest stan. Czy to była tylko przymiarka do renowacji? A może już gotowy projekt, z którego wycofano się po krytyce? Wciąż nie wiadomo, bo dostępne w sieci zdjęcia ukazują tylko kilka wybranych fragmentów dawnego muzeum. A do maja wiele się jeszcze może zmienić.

Cesarzowa i wezyr

O co właściwie tyle krzyku? Pewnie o to, że kościół na Chorze, położony na wzgórzu Edirnekapı z widokiem na Złoty Róg, choć znacznie mniejszy od Hagii Sophii i ulokowany poza ścisłym turystycznym centrum Stambułu, stanowi prawdziwą perłę bizantyjskiej sztuki sakralnej. Nie bez przyczyny był przez lata jednym z najczęściej odwiedzanych stambulskich muzeów. Kapiący złotem, z malowidłami przedstawiającymi Jezusa wstępującego do piekieł, Sąd Ostateczny, zastępy świętych, cud w Kanie Galilejskiej, rozmodloną Maryję i mnóstwo scen ze Starego Testamentu (z rzezią niewiniątek włącznie) przyciągał niezliczone rzesze turystów i pielgrzymów.

Jest wiele teorii dotyczących jego budowy i nazwy. Pierwsza świątynia powstała tu podobno już w IV wieku – poza murami miejskimi. Stąd miałaby pochodzić używana do dziś nazwa – Chora (tur. Kariye), na wsi. Przeczyć temu może fakt, że na niektórych mozaikach wyraz *khora* widnieje obok wizerunków Maryi i Jezusa. Miałoby to dowodzić jego mi-

BULENT KILIC / AFP / EAST NEWS

Mozaiki w kościele-muzeum Chora w Stambule, sierpień 2020 r.

stycznego znaczenia, odnoszącego się do boskiej nieskończoności, innego świata.

Aktualny kształt kościół przybrał około XI wieku dzięki Marii Dukainie, teściowej cesarza Aleksego Komnena I. Jej wnuk zlecił renowację i przygotowanie tam dla siebie godnego miejsca pochówku. Kościół nie zaznał spokoju na długo – w latach 1204-1261, podobnie jak Hagię Sophię, zdemolowali go łacińscy krzyżowcy. Naprawa i rozbudowa zakończyła się dopiero w 1321 r. To wtedy dobudowano dodatkową kaplicę po południowej stronie budynku, wnętrze ozdobiono mozaikami i freskami. Przez lata pochowano tu wielu dostojników z rządzącej Bizancjum dynastii Paleologów, a podczas oblężenia miasta w 1453 r. przeniesiono tu ikonę Maryi Panny uważanej za jego obrończynię. Nie pomogło. Sułtan Mehmed Zdobywca dokonał tego, co wcześniej nie udało się nikomu – zdobył Konstantynopol.

O ile Hagia Sophia szybko stała się wtedy meczetem, o tyle kościół na Chorze przez kilka lat niszczał. Meczetem stał się za panowania sułtana Bajazyda II, dzięki wielkiemu wezyrowi Alemu Paszy, na początku XVI wieku. W kolejnych stuleciach niszczyły go nawiedzające Stambuł trzęsienia ziemi, jednak za każdym razem był odbudowywany.

Kolejne zmiany, dla wielu muzułmanów trudne do zaakceptowania, a dla chrześcijan będące powodem do radości, przyniósł świątyni dopiero wiek XX. Sześć lat po proklamowaniu Republiki w miejsce Imperium Osmańskiego meczet ponownie przeszedł renowację. Tym razem skuto tynk, który przesłaniał polichromie i mozaiki, a świątynia – jako muzeum – została udostępniona zwiedzającym.

Kraj wielu kultur

„To akt symbolicznej przemocy podyktowanej polityczną arogancją" – powiedziała o zamianie muzeum w meczet prezydentka Grecji Katerina Sakellaropoulou, cytowana kilka dni temu przez dziennik „Greek Reporter". Według niej to również „akt nietolerancji religijnej, który skazuje na zapomnienie skarbnicę sztuki chrześcijańskiej".

Prezydent Erdoğan nawet nie skomentował tych słów. Już podejmując się karkołomnej sztuki takiej interpretacji prawa, która pozwoliła mu anulować dekrety Atatürka (dowodząc, że nie mógł on podjąć decyzji o przekształceniu meczetów w muzeum, bo meczety nie były jego, lecz sułtana – zwierzchnika islamu, własnością, więc formalnie dalej należą do fundacji religijnych), liczył się z krytyką Zachodu. Ugrał na tym oddanie konserwatystów, którzy w maju ubiegłego roku okazali wdzięczność przy urnach wyborczych.

Jednak prezydent Turcji nie chce dać sobie przykleić łatki wroga chrześcijan. W październiku wziął udział w uroczystości otwarcia pierwszego całkiem nowego kościoła wybudowanego w Turcji od chwili powstania Republiki. Prace nad stambulską świątynią asyryjskiego kościoła prawosławnego Mor Efrem w dzielnicy Yeşilköy rozpoczęły się przed dekadą, gdy Erdoğan był jeszcze premierem. „Dokonaliśmy ustaleń administracyjnych dotyczących przydziału ziemi, zmieniliśmy prawo umożliwiając fundacjom [związki mniejszości wyznaniowych rejestrowane są w Turcji jako fundacje – przyp. red] nabywanie i zbywanie nieruchomości, zapewniliśmy zwrot wcześniej skonfiskowanych majątków. Podjęliśmy także inicjatywy z Watykanem, i dbamy o to, by ten proces trwał" – mówił prezydent podczas otwarcia kościoła, dodając, że za podstawowy obowiązek państwa uważa zaspokajanie potrzeb każdej jednostki spośród 85 milionów zamieszkujących Turcję.

Nie dodał co prawda „chyba, że jest Grekiem", ale prawosławni obywatele pochodzenia greckiego w dniu otwarcia meczetu na Chorze raczej nie będą szczęśliwi. ©

Modlitwa trzech słów

ARTUR SPORNIAK

Co zrobić, gdy mamy problem z modleniem się? Jest sposób na to, by przełamać duchowy kryzys.

Wielu ludzi, kiedy wyrasta już z „odklepywania pacierza", chciałoby pójść dalej w rozwoju duchowym. Czasem modlą się modlitwą myślną (rozmawiając po prostu z Bogiem). Odczuwają jednak potrzebę usystematyzowania życia modlitewnego, tylko nie wiedzą, jak to zrobić. Oto opowieść o pewnej modlitwie.

Góra Grabarka

Na początku lat 90. XX wieku z grupą kolegów zorganizowaliśmy w lecie rowerową wyprawę po wschodniej Polsce – od Białegostoku do Jarosławia. Pamiętam, że na Białostocczyźnie w małomiasteczkowych barach objadaliśmy się ogromnymi schabowymi, które były bardzo tanie – te tereny były wtedy mięsnym zagłębiem Polski. Pamiętam też kraskę skrzącą się w słońcu rajskimi kolorami – jakby gościa z innego świata. Siedziała na drutach linii telefonicznej ciągnącej się wzdłuż drogi, którą jechaliśmy.

Grzesiek był pobożniejszy od nas wszystkich, a w dodatku interesował się prawosławiem. Gdy zbliżaliśmy się do Siemiatycz, namówił nas, by skręcić na Górę Grabarkę – święte prawosławne miejsce pielgrzymkowe. Niewiele wtedy zwiedziliśmy, główna cerkiew Przemieniania Pańskiego była w remoncie. Jakiś czas wcześniej została podpalona – wśród prawosławnych krążyło przekonanie, że przez katolików. Wrażenie robiło tysiące krzyży pokutnych powtykanych w ziemię wokół cerkwi – to zwyczaj prawosławnych pielgrzymów.

Prośba o słowo

Zatrzymaliśmy się dłużej u podnóża grabarskiego wzniesienia przy cudownym źródełku – nie było jeszcze wtedy nad nim murowanej kopuły, która stoi dziś. Chcieliśmy nabrać wody i trochę odpocząć. Wtedy nadeszła duża grupa prawosławnych pielgrzymów wraz z duchownym w czarnym podrazniku (sutannie). Gdy kapłan nachylił się, by napić się cudownej wody, Grzesiek podszedł i zagadnął:

– Ojcze, proszę o słowo!

Zaskoczony ksiądz przyjrzał mu się uważnie. Pewnie pomyślał, że ma do czynienia z kimś nieprawosławnym. A Grzesiek naczytał się po prostu różnych opowieści o prawosławnych mnichach, stąd to proszenie „o słowo". Cierpliwie jednak czekał na odpowiedź. Duchowny, widząc, że musi zareagować, powiedział:

– Módlcie się!

Na co nasz pobożny kolega szybko zadał drugie pytanie:

– Ale jak?

Ksiądz, równie szybko odwracając się i odchodząc w stronę cerkwi Przemienienia Pańskiego, rzucił:

– Gorliwie.

Tajemniczy pielgrzym

Nieusatysfakcjonowany Grzesiek wrócił do nas, siedzących na ławkach i jedzących kanapki. Mruczał: „Pewnie, że gorliwie! Ale jak? Modlitwa wcale nie jest taka prosta".

– Spróbuj się modlić Modlitwą Jezusową. Znasz ją? – usłyszeliśmy głos obok. Na sąsiedniej ławce siedział pielgrzym, który właściwie wyglądał jak turysta: czapeczka z powtykanymi turystycznymi odznakami, koszula flanelowa w kratę, buty trapery, które właśnie zdejmował.

Grzesiek wyraźnie się ożywił: – Znam. Próbowałem się modlić. Ale ten wers do powtarzania, „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem", wcale mi nie pomaga. Przeciwnie, rozprasza mnie.

– Dlaczego rozprasza?

– Jest długi, skomplikowany i paradoksalnie nakierowuje moje myślenie egocentrycznie na mnie – odpowiedział Grzesiek. – Wiem, że jestem grzesznikiem, ale nie chcę się w kółko modlić o siebie – dopowiedział.

Turysta milczał przez chwilę, skupił się na przyklejaniu plastrów na swoich obolałych stopach.

W końcu powiedział:

– Odkryj takie wezwanie, wobec którego nie będziesz czuł oporu.

– Na przykład?

– Sam próbuj!

– A jakaś podpowiedź? – nie dawał za wygraną Grzesiek.

– Jeśli imię Jezus cię rozprasza... – tutaj turysta sam się do siebie uśmiechnął, choć wiedzieliśmy, że nic takiego Grzesiek nie zasugerował – zacznij od „Panie!", a jeśli nadal źle ci się to kojarzy, to np. „Ojcze!".

– A potem?

MACIEJ STANIK / REPORTER

Święto Przemienienia Pańskiego na Górze Grabarce, sierpień 2016 r.

– A potem prośba o jakiś najbardziej elementarny pożądany stan rzeczy. Na przykład „Panie, bądź!".

Grzesiek jakby zaskoczył: – Tak! Panie, bądź... nie tylko ze mną, ale z moimi bliskimi, z przyjaciółmi, z Kościołem, z Polską...

Turysta nadal tajemniczo się uśmiechał. – To wezwanie może być uniwersalne na wiele sposobów – zauważył.

– Jakich jeszcze? – zaciekawił się Grzesiek.

– Są trzy ważne słowa. Pierwsze to: „Panie, bądź pomimo!".

Prosta logika

Grzesiek zastanowił się, my także. – Pomimo moich słabości, grzechów, niewierności, czy tak? – zapytał.

Turysta nie zareagował – jakby nie chciał wszystkiego dopowiadać. W końcu powiedział: – Drugie słowo jest jeszcze ciekawsze, bo wymaga większej dojrzałości. Brzmi: „Panie, bądź tym bardziej!".

– A trzecie? – Grzesiek chciał szybko wszystko wyciągnąć z przypadkowego rozmówcy.

– „Bądź po prostu!".

Prostota logiki tych słów nas zaskoczyła. Zaczęliśmy się nad nimi zastanawiać. Wtedy prawosławna pielgrzymka postanowiła opuścić cudowne źródełko i udać się na Górę Grabarkę. Zrobiło się zamieszanie. Gdy główna grupa przeszła już obok naszych ławek, zauważyliśmy, że naszego rozmówcy nie ma. Rozglądaliśmy się dookoła, ale nigdzie go nie było. Jakby się rozpłynął. Prawdopodobnie poszedł z nimi.

Wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy do mostu na Bugu. A potem wzdłuż wschodniej granicy – przez Kostomłoty, Kodeń, Włodawę do Chełma i dalej.

Miałem dużo czasu do rozmyślań. Z każdym kilometrem zdawałem sobie coraz bardziej sprawę z zalet tej modlitwy.

Pomimo

Jest ona mocno medytacyjna, a jednocześnie myślna. Podobnie jak różaniec. Ale różaniec to skomplikowana modlitwa – obrazowość medytowanych scen biblijnych nakłada się na obrazowość i głębokie znaczenie słów modlitwy „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Mario", właściwie je tłumiąc. W modlitwie trzech słów mamy bardzo prostą obrazowość, która niczego nie tłumi, tylko prowadzi do podstawowych aktów religijnych. Reprezentują one wszystkie trzy główne typy modlitwy: skruchę, prośbę, wielbienie. W zależności od życiowej sytuacji i chwilowej potrzeby można modlić się każdym z tych typów osobno albo po kolei wszystkimi trzema.

Modlitwa, by Bóg był pomimo naszych grzechów, zakłada skruchę, a jednocześnie jest zuchwała. Wiemy jednak, że Bóg lubi zuchwałość w modlitwie – wiele fragmentów Ewangelii na to wskazuje. Wezwanie to trzyma Boga za słowo. On sam objawił, że wychodzi pierwszy do grzeszników, nie brzydzi się nimi, przeciwnie – gdzie wzmaga się grzech, tam jeszcze bardziej rozlewa swoją łaskę. Natarczywość jest tu wręcz wskazana.

Gdy mówimy „Bądź pomimo!", to odruchowo zastanawiamy się: pomimo czego? To wezwanie prowokuje rachunek sumienia, który nie wymaga jakichś długich, wnikliwych roztrząsań – z grubsza wiemy, co dzieje się w naszym życiu pomimo Boga. To nadaje temu wezwaniu ekspiacyjny charakter.

Tym bardziej

Ktoś mógłby powiedzieć, że natarczywość przypisać należy przede wszystkim drugiemu wezwaniu: „Bądź tym bardziej!". Powiedzenie tego jednak z pełną świadomością wymaga odwagi i ufności.

Trudno jest szczerze powiedzieć do Boga-sędziego: „Bądź tym bardziej!". Gdy to mówimy, mamy na myśli Boga-lekarza. I gdy świadomie to wezwanie wypowiadamy, następuje w naszej głowie wymiana wizerunku Boga, który sądzi, na wizerunek Boga, który leczy i ratuje. To bardzo poważna przemiana. Dlatego modlitwa trzech słów prowadzi do religijnego dojrzewania. Jest wtajemniczaniem w doświadczenie Boga.

Po prostu

Nie jest zatem dziwne, że jej zwieńczeniem jest wezwanie „Bądź po prostu!". Tak zwracamy się do przyjaciela czy kochanej osoby.

Sądzę, że ważniejsza od samych konkretnych formuł jest zasada, według której ta modlitwa powstała. Idealna modlitwa powinna być „przeźroczysta". Powinna stanowić narzędzie prowadzące do celu na tyle sprawnie, że się nie zwraca na nie uwagi – jak wyuczony język, gdy rozmawiamy. Celem zaś jest relacja z Bogiem.

Formuły modlitwy zatem nie powinny przeszkadzać czy rozpraszać. Dam konkretny przykład. Niektórzy nawet przed samym sobą boją się przyznać, że z powodu potępiających wypowiedzi Jezusa, które znajdują w Ewangeliach, trudno jest im się do Niego modlić. A ponieważ zapadło im w pamięć stwierdzenie z Dziejów Apostolskich, że „nie dano ludziom pod niebem żadnego innego imienia, w którym moglibyśmy być zbawieni" (4, 12), nie modlą się wcale. Wezwanie „Panie, bądź!" albo „Ojcze, bądź!" pozwala uchwycić się mimo wszystko modlitwy i z czasem wchodzić w nią coraz głębiej. Niewykluczone, że gdzieś na tej drodze nastąpi spotkanie z ewangelicznym Jezusem. ©℗

Papieski think tank

EDWARD AUGUSTYN

Obrona życia „od poczęcia do naturalnej śmierci" nie może ograniczać się tylko do tych dwóch momentów naszej egzystencji. Przekonuje o tym zreformowana Papieska Akademia Życia.

VATICAN POOL / GETTY IMAGES

Abp Vincenzo Paglia z członkami Papieskiej Akademii Życia na audiencji u papieża Franciszka, luty 2023 r.

Zastanawialiśmy się do tej pory: Jak daleko możemy się posunąć? Myśleliśmy, że są granice, których nie wolno przekraczać. Może należy się zastanowić, kiedy i w jaki sposób powinniśmy to zrobić? Może pora wytyczyć granice wedle nowych współrzędnych?".

Powyższe słowa nie padły na konferencji entuzjastów technologii łączących dokonania robotyki i genetyki. Wypowiedział je abp Vincenzo Paglia, przewodniczący Papieskiej Akademii Życia, otwierając jej jubileuszowe posiedzenie („Człowiek. Znaczenie i wyzwania", 12-14 lutego 2024 r.). Są najlepszym dowodem zmian, jakie dokonały się w tej instytucji w ciągu ostatnich lat.

Słudzy życia

Powołana do życia 11 lutego 1994 r. przez Jana Pawła II Akademia miała bronić życia „od poczęcia do naturalnej śmierci". Pierwszym przewodniczącym był dr Jérôme Lejeune, pediatra i genetyk, odkrywca trisomii 21. chromosomu, odpowiedzialnej za zespół Downa, dziś kandydat na ołtarze. Głównym zadaniem akademików było informowanie papieża i instytucji kościelnych o najnowszych osiągnięciach w naukach biomedycznych oraz „kształtowanie kultury życia zgodnie z Magisterium Kościoła".

Przez blisko ćwierć wieku instytucja znana była przede wszystkim z tworzenia naukowego zaplecza dla walki z aborcją, eutanazją, *in vitro* i manipulacjami genetycznymi, które uznawano za najważniejsze problemy etyczne i zagrożenia dla współczesnego człowieka. Członków Akademii (zwyczajnych, korespondencyjnych i honorowych) powołuje papież spośród autorytetów w naukach medycznych, przyrodniczych, filozoficznych i społecznych. Nie muszą być katolikami, ale powinni akceptować katolicką naukę o ochronie życia, co potwierdzają podpisaniem deklaracji zwanej „Świadectwem Sług Życia".

Nie tylko etyka

Przeprowadzone w 2016 r. przez Franciszka zmiany w strukturach Akademii wywołały oburzenie zarówno dotychczasowych akademików, jak i konserwatywnej opinii publicznej. Przewodniczącym Akademii został abp Vincenzo Paglia (papież powierzył mu jednocześnie funkcję wielkiego kanclerza Papieskiego Instytutu Jana Pawła II, zajmującego się kształceniem w dziedzinie nauk o małżeństwie i rodzinie). Paglia był biskupem niewielkiej diecezji Terni-Narni-Amelia, związanym ze Wspólnotą Sant'Egidio, znanym z otwartości na środowiska kontestujące nauczanie Kościoła w kwestiach etycznych (LGBT+, ruchy *pro-choice*). Z aprobatą wyrażał się o projekcie legalizacji (przez prawo państwowe) związków partnerskich, w tym homoseksualnych. Nominacje nowych członków Akademii, o które wnioskował arcybiskup, także dowodziły, że papieska instytucja naukowa otwiera się na nowe wyzwania i tematy – w jej szeregach pojawili się ekonomiści, klimatolodzy i informatycy. Wśród nich także osoby znane z wypowiedzi proaborcyjnych.

Tłumaczenie przewodniczącego, że powołani specjaliści nie będą wypowiadać się w kwestiach etycznych, nie wszystkich przekonało. Zwłaszcza że w materiałach z prac Akademii zaczęły pojawiać się niepokojące dla zwolenników starego porządku treści, np. sugestie, że metoda *in vitro* oraz antykoncepcja mogłyby – w niektórych sytuacjach – zostać uznane za dopuszczalne.

„Wypowiedzi Papieskiej Akademii Życia nie stanowią Magisterium Kościoła" – tłumaczy abp Paglia. Choć nie zaprzecza, że mogą mieć wpływ na reinterpretację doktryny, dokonywaną wraz ze zmieniającym się kontekstem naukowym i kulturowym.

Zmiana epoki

Obrona życia „od poczęcia do naturalnej śmierci" nie może ograniczać się – zdaniem Akademii i jej przewodniczącego – tylko do tych dwóch momentów: początku i końca. Warunki życia – głód, wysoka śmiertelność dzieci, brak dostępu do wody i opieki medycznej – również muszą znaleźć się w polu zainteresowania Kościoła i działaczy *pro-life*. Ważne stają się też problemy przedtem nieznane, a pokazujące zmianę epoki, o której mówi papież Franciszek. „Po raz pierwszy w dziejach człowiek może dokonać samozniszczenia: nie tylko przy pomocy energii jądrowej, ale też przez zmiany klimatu czy nowe technologie" – mówił Paglia. Tym ostatnim Akademia poświęciła swoje obrady w 2019 i 2020 r.

„Zajmowaliśmy się wieloma tematami – wyjaśnia przewodniczący – ale nigdy bezpośrednio kwestią antropologiczną. Tegoroczne spotkanie ma pomóc nam zrozumieć, kim jest człowiek". To pytanie nurtuje nas od wieków, ale dziś nabiera nowego, ponadfilozoficznego wymiaru. W epoce sztucznej inteligencji, która człowieka przewyższa i zastępuje, w czasach, gdy podział na to, co naturalne, a co sztuczne, traci sens (jak przyznał papież w przemówieniu do członków Akademii), konieczne są nowe kategorie antropologiczne. Także w Kościele, który zmian zachodzących w ludzkim życiu nie jest w stanie ogarnąć. ©℗

ZUZANNA

Radzik:

Co ma Kościół do antykoncepcji

„Polska na ostatnim miejscu w dostępie do antykoncepcji" – takie nagłówki powracają w lutym od kilku lat. Zawsze była gdzieś na końcu, ale od 2019 r. jest najgorzej na kontynencie. Mój kraj zajmuje ostatnie miejsce w rankingu dostępu do antykoncepcji! Próbuję sobie wyobrazić, co to właściwie znaczy. Ranking tworzy Forum Parlamentu Europejskiego ds. Praw Seksualnych i Reprodukcyjnych, biorąc pod uwagę dostęp do poradnictwa, informacji i samych leków antykoncepcyjnych. Jak źle musi być, że Polska ląduje na końcu europejskiego rankingu, za Rosją, Białorusią, Węgrami i Turcją?

Na to składa się wszystko, do czego jesteśmy, niestety, przyzwyczajone: pełnopłatna antykoncepcja każdego typu i dla wszystkich bez wyjątku, awaryjna antykoncepcja na receptę, tabuizacja. Nie refundujemy antykoncepcji nikomu, ani nastolatkom, ani niezamożnym. W końcu to medyczna usługa dotycząca w jakimś stopniu i na długim odcinku życia tylko 52 proc. obywateli. Jesteśmy (wciąż, bo projekt ustawy ciągle w Sejmie) jedynym krajem w Europie, gdzie do zakupu antykoncepcji awaryjnej potrzebna jest recepta, a zatem wizyta u lekarza, a zatem kasa, bo wizyt awaryjnych za darmo nie dają. A przy tym zakazana jest sterylizacja w celach antykoncepcyjnych. Więc jeśli chcesz podjąć co do swojej płodności decyzję ostateczną, to państwo ci nie pozwala. Kobieta ma rodzić, a jak nie chce, to niech przynajmniej płaci, żeby się od rodzenia wykupić.

Co oferują kraje w czołówce rankingu? Niektóre – prezerwatywy dostępne bezpłatnie w aptekach dla osób między 16. a 25. rokiem życia i pigułkę „dzień po" bez recepty. Inne – darmowy dostęp do szerokiego wachlarza antykoncepcji dla osób do 31. roku życia. Poza tym po prostu usługi medyczne zgodne z najnowszą wiedzą i refundowane obywatelkom. W sumie nie tak wiele, prawda?

Ostatnie miejsce w rankingu to nie jest sprawa błaha. To znaczy, że dostęp obywatelek do nowoczesnej medycyny jest ograniczony, bo zarządzający usługami medycznymi uznają za fanaberię panowanie nad swoją płodnością, a co za tym idzie, planowanie własnego życia. Nie jest też sprawą błahą, gdy debatują o tym posłowie i posłanki, czy gdy wtrącają się biskupi, wzywając katolickich polityków, żeby stawiali opór zmianom. Podobnie, gdy niektóre bardzo katolickie portale piszą o antykoncepcji awaryjnej jak o demonicznej sile, a o Ministerstwie Zdrowia, że zamienia się w ministerstwo śmierci i dąży do anihilacji narodu polskiego.

Czy to, że mój kraj jest ostatni w europejskich rankingach, dowodzi przywiązania do katolickiej doktryny? Chciałabym myśleć, że to ogólny konserwatyzm. Albo sekretny program pronatalistyczny dla starzejącego się społeczeństwa, które jednak nawet z kiepskim dostępem do antykoncepcji skutecznie stawia opór, bo nawet nastoletnich ciąż mamy niewiele. Na mapie antykoncepcji wyraźna jest granica Wschód-Zachód, choć i religia musi mieć coś na rzeczy. Zwłaszcza że od ponad pięćdziesięciu lat Kościół katolicki ma jasne, negatywne zdanie na temat antykoncepcji. I uobecnia się politycznie, zwłaszcza gdy chodzi o ciała kobiet.

Czy można ten głos zignorować? Ponad pół wieku temu temat antykoncepcji został poddany osądowi nauczycielskiego urzędu Kościoła. Była nowinką, budziła ekscytacje i nadzieje. W watykańskich konsultacjach zignorowano jednak głosy katolickich małżeństw (słynni Crowleyowie, twórcy światowego ruchu katolickich rodzin, wyszli z procesu konsultacji zdruzgotani) i wygrała opcja mniejszościowa: zakazać! W odpowiedzi katolicy na całym świecie postanowili zignorować kościelne zalecenie. Ten stan trwa, a dwa światy spotykają się przy takich debatach w polityce, w życiu publicznym czy w Kościele. Negatywny stosunek do antykoncepcji sygnalizuje katolicką prawomyślność, więc przedstawiciele nieprzestrzeganej teorii swoim autorytetem szantażują innych katolików, w tym polityków. Milczymy więc i robimy swoje, zamiast skonfrontować się z zasadą uzurpującą sobie władzę nad życiem rodzinnym ponad miliarda katolików. Zasadą, którą ukuli mężczyźni żyjący w rzekomym celibacie, ignorując głosy katolickich małżeństw. Czy żeby być dobrą katoliczką, muszę udawać, że nie widzę w tej decyzji Kościoła mizoginii?

Jeśli odbieranie kobietom dostępu do współczesnej medycyny przez państwo jest przemocą, to czy nie są nią też próby oddziaływania Kościoła, by ten dostęp ograniczać? Czy jako obywatelka i katoliczka mam pokornie milczeć, gdy kontrowersyjne decyzje kościelne sprzed pół wieku próbują urządzać moje prawa w świeckim państwie? ©

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Krystyna Ungeheuer-Mietelska

Tancerka, solistka baletu Opery Krakowskiej, choreograf, pedagog, tancerka awangardowego zespołu MW 2, autorka dziesiątek artykułów o tematyce religijnej.
Najukochańsza żona, siostra i ciocia

ur. 19 lipca 1932 r. we Lwowie, opatrzona św. Sakramentami zasnęła w Panu dnia 1 lutego 2024 r. w Krakowie

Pogrzeb odbył się dnia 9 lutego 2024 r. na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, o czym w głębokim smutku zawiadamiają

Mąż, Siostra i Rodzina

WNIOSKÓW NIE PRZYJMUJEMY

Polityka migracyjna USA stała się zakładnikiem kampanii w walce o Biały Dom. Szybkiego rozwiązania kryzysu na granicy z Meksykiem nie będzie.

MARTA ZDZIEBORSKA

Granica Meksyku z USA na rzece Rio Grande w pobliżu Shelby Park w Eagle Pass. 30 stycznia 2024 r.

Shelby Park w teksańskim miasteczku Eagle Pass nie jest już miejscem spotkań. Połać ziemi granicząca z rzeką Rio Grande została odcięta od miasta drutem kolczastym. Park, do którego jeszcze niedawno mieszkańcy przychodzili pograć w bejsbol i piłkę nożną, dziś patrolują żołnierze teksańskiej Gwardii Narodowej. Szczególnie czujni są w pobliżu brzegu rzeki, gdzie jeden za drugim ustawiono stalowe kontenery z przyblakłymi napisami „China Shipping", „P&O Nedloyd" czy „Maersk Sealand".

Na militaryzację parku szczególnie emocjonalnie patrzy Jessie Fuentes, 63-letni właściciel wypożyczalni kajaków, który już kilka miesięcy temu stracił dostęp do mieszczącej się tu rampy dla łodzi. Mężczyzna w rozmowie z „Tygodnikiem" przyznaje, że wraz z zaostrza-

niem kryzysu migracyjnego mógł liczyć tylko na garstkę klientów, głównie aktywistów i dziennikarzy opisujących rekordowy napływ imigrantów. Liczby mówią same za siebie: tylko w grudniu na południowej granicy USA zatrzymano 300 tys. osób. W rejonie 28-tysięcznego Eagle Pass straż graniczna aresztowała w tym czasie 2,4 tys. cudzoziemców dziennie. To tak, jakby przez 12 dni zebrać w jednym miejscu wszystkich mieszkańców miasta.

Próba sił

Eagle Pass sąsiadujące z meksykańską miejscowością Piedras Negras jest dziś symbolem politycznego sporu o ochronę południowej granicy USA. Choć za to zadanie odpowiada rząd federalny, gubernator Teksasu Greg Abbott poszedł z administracją Bidena na noże. Od półtora miesiąca polityk blokuje Shelby Park, który bez zgody burmistrza miasta ogrodził drutem kolczastym. Nakazał również żołnierzom nie dopuszczać do tego obszaru straży granicznej. W pobliżu rampy, gdzie wspomniany Jessie Fuentes organizował spływy kajakowe, postawiono tablicę informującą, że straż graniczna nie przyjmuje w tym miejscu wniosków o azyl od nielegalnych imigrantów. „Proszę udać się do najbliższego przejścia granicznego" – napisano w językach angielskim i hiszpańskim.

Greg Abbott nie ustępuje, choć pod koniec stycznia zapadł niekorzystny dla niego werdykt Sądu Najwyższego USA. Sędziowie w sporze dotyczącym innego ogrodzenia zamontowanego na pograniczu przez teksańskie władze orzekli, że agenci straży granicznej mogą je zdemontować.

Abbott, któremu po sądowej porażce poparcia udzieliło 25 republikańskich gubernatorów, zapowiedział, że będzie dalej uszczelniał granicę – z formalnego punktu widzenia może to robić, bo orzeczenie dotyczyło jedynie istniejącej zapory. „Ponieważ Joe Biden całkowicie zrzekł się odpowiedzialności za ochronę granicy i egzekwowanie przepisów, Teksas po prostu wziął sprawy w swoje ręce" – odgrażał się gubernator w rozmowie z konserwatywną stacją Fox News.

Republikański polityk słynący z bezkompromisowej polityki migracyjnej ma teraz przed sobą inną ważną batalię. Administracja Bidena pozwała go za wprowadzenie przepisów, które zezwalają policji stanowej na aresztowanie osób podejrzanych o nielegalne przekroczenie granicy. Sprawa jest w toku.

Przerażający spektakl

Politykę migracyjną Teksasu, niekiedy stojącą w kolizji z prawem federalnym, krytykuje Jessie Fuentes: – Od zakończenia pandemii teksańskie władze nie odpuszczają w rejonie rzeki Rio Grande. Montują kolejne fragmenty ogrodzenia, budują drogi tuż przy brzegu i zanieczyszczają powietrze spalinami z łodzi napędzanych dieslem. Mój biznes opierał się na promocji dziewiczej natury w pobliżu Shelby Park. Dziś to straciłem – mówi mi Fuentes, twierdząc, że jego zdaniem decyzja gubernatora o militaryzacji parku w Eagle Pass jest częścią politycznego teatru, który ma wesprzeć kampanię prezydencką Donalda Trumpa.

To zdanie wśród mieszkańców teksańskiego miasta nie jest odosobnione. Lokalna organizacja Eagle Pass Border Coalition wysłała w lutym do gubernatora list, w którym oskarżyła go o zafundowanie lokalnej społeczności „przerażającego spektaklu". Polityk zorganizował w Shelby Park kilka konferencji prasowych, a na jedną z nich zaprosił 13 republikańskich gubernatorów. Odkąd cała Ameryka usłyszała o Eagle Pass, do miasteczka zjeżdżają fani Trumpa i wszelkiej maści zwolennicy teorii spiskowych. Ci ostatni grzmią o „inwazji migrantów", których Demokraci celowo ściągają do Ameryki, by wyhodować sobie lojalny elektorat.

Urzędnik zagrożeniem

Sytuacja w Teksasie tylko w mikroskali pokazuje konflikt między Republikanami a administracją Bidena, która mierzy się z poważnym kryzysem migracyjnym. Tylko w zeszłym roku na granicy USA–Meksyk zatrzymano ponad 2,4 mln osób – to najwięcej od 1960 roku, gdy zaczęto zbierać statystyki.

Spór o migrację w połowie lutego wzbił się na polityczne wyżyny. Kontrolowana przez Republikanów Izba Reprezentantów postawiła w stan oskarżenia sekretarza bezpieczeństwa wewnętrznego Alejandra Mayorkasa – polityka, który jeszcze na początku stycznia odwiedził Eagle Pass i mówił otwarcie o niewydolnym systemie imigracyjnym.

Dziś w drodze procedury impeachmentu konserwatyści oskarżają go o „umyślne i systemowe odmawianie przestrzegania prawa" w ochronie amerykańskich granic oraz „nadużycie zaufania publicznego". W 22-stronicowym dokumencie opisującym szczegółowo zarzuty czytamy, że Mayorkas winien jest rekordowego napływu imigrantów do USA i jako urzędnik stanowi „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego". Polityk jest pierwszym od 1876 roku członkiem gabinetu postawionym w akt oskarżenia.

Impeachment last minute

Skazanie przez Senat Mayorkasa, na marginesie: uchodźcy, który w 1960 roku uciekł z rodzicami z Kuby, jest jednak mało prawdopodobne. Po pierwsze izbę wyższą kontrolują Demokraci, a po drugie według wielu konstytucjonalistów cała procedura jest naciągana. Brakuje bowiem dowodów na to, że sekretarz dopuścił się zdrady, przekupstwa lub innych „poważnych przestępstw i wykroczeń związanych z pełnieniem urzędu", co uzasadniałoby sięgnięcie po procedurę impeachmentu.

Na ten argument powołał się również kongresmen z Wisconsin Mike Gallagher – jeden z trzech Republikanów, którzy zagłosowali wbrew dyscyplinie partyjnej. Postawić Mayorkasa w stan oskarżenia udało się różnicą zaledwie jednego głosu – dzięki kongresmenowi z Luizjany, który powrócił na Kapitol po półtoramiesięcznej przerwie na leczenie raka krwi. Gdy tydzień wcześniej zabrakło go na sali, Republikanie polegli w głosowaniu.

Można powiedzieć, że to impeachment na ostatnią chwilę. Kongresmeni głosowali ponownie ws. Mayorkasa wieczorem 13 lutego, gdy ważyły się losy wyborów uzupełniających do Izby Reprezentantów. W ich wyniku Republikanie stracili jeden mandat, co jeszcze bardziej skurczyło ich przewagę w tej izbie. Prezydent Biden impeachment Alejandra Mayorkasa nazwał „małostkową grą polityczną".

Nie mamy pieniędzy

Całej sprawie towarzyszy kongresowy paradoks. Republikanie oskarżyli sekretarza bezpieczeństwa wewnętrznego o niewydolną politykę migracyjną, choć sami kilka dni wcześniej zablokowali w Senacie reformę, która mogłaby ją pomóc uzdrowić. Ponadpartyjne porozumienie, które ostatecznie odrzucono, by nie pompować wizerunkowo Joego Bidena ↦

LOKMAN VURAL ELIBOL / AFP / EAST NEWS

↦ – rywala Trumpa w walce o Biały Dom, przewidywało 20 mld dol. wsparcia dla rządu federalnego. Środki miały posłużyć m.in. do zatrudnienia dodatkowych funkcjonariuszy straży granicznej, sędziów imigracyjnych oraz urzędników odpowiedzialnych za procedurę azylową.

Wreszcie, co najważniejsze, ustawa przewidywała możliwość tymczasowego uszczelnienia granicy w przypadku zbyt dużej liczby migrantów wnioskujących o azyl, a także zaostrzenie i przyspieszenie samej procedury. Jeszcze w połowie stycznia, gdy istniała nadzieja, że Trump nie zdoła storpedować ustawy, kluczowi republikańscy senatorzy podkreślali, że to historyczna szansa, by zaostrzyć przepisy migracyjne.

Tymczasem już teraz oficjele z administracji Bidena alarmują, że bez dodatkowego wsparcia służby imigracyjne i celne już w maju będą musiały ograniczyć detencję (zamykanie w strzeżonych ośrodkach) i deportację nielegalnych migrantów.

Instruktaż z TikToka

Jak podkreślają eksperci, reforma stała się nie tylko zakładnikiem kampanii Trumpa, stawiającej w centrum problemy migracyjne, ale także polaryzacji, która od lat uniemożliwia przełamanie impasu na Kapitolu. Sytuację jeszcze bardziej komplikuje fakt, że prezydentura Joego Bidena zbiegła się z globalnym nasileniem migracji, a także – nie ma co ukrywać – nadzieją, że Demokrata zerwie z twardą polityką Trumpa na granicy USA–Meksyk.

Już w pierwszym roku prezydentury Bidena straż graniczna zatrzymała 1,7 mln osób, czyli ponad trzykrotnie więcej niż w ostatnim roku rządów Trumpa. Z biegiem lat zmienił się także charakter migracji do Stanów Zjednoczonych: granicy nie przekraczają już głównie samotni mężczyźni z Meksyku i rodziny z Ameryki Środkowej. Jesienią ub. r. najliczniejszą grupą aresztowanych przez straż graniczną byli Wenezuelczycy, którzy po latach życia na uchodźstwie w ościennych krajach Ameryki Południowej wyruszają w podróż na północ.

Chcąc odstraszyć kolejne fale ludzi, administracja Bidena uruchomiła loty deportacyjne do Wenezueli – na pokład trafiały m.in. osoby, które nie przeszły pomyślnie procedury azylowej. Deportowani byli również uciekający przed polityczną destabilizacją Haitańczycy i Kubańczycy, co wywołało krytykę działaczy praw człowieka. W długiej kolejce do bram Ameryki czekają dziś także imigranci z Ekwadoru, Kolumbii, krajów Afryki, a nawet Chin. Ci ostatni są już najszybciej rosnącą grupą szturmujących granice USA. Niektórzy z nich twierdzą w rozmowie z telewizją CBS News, że wyjechali z Chin, bo... obejrzeli na TikToku instruktaż, jak namierzyć dziurę w płocie granicznym ok. 100 km od kalifornijskiego San Diego.

Zapchane sądy

Zmieniła się też strategia migrantów na granicy. Zamiast unikać patroli straży granicznej, tak jak próbowali to robić przez dekady Meksykanie, dziś większość cudzoziemców sama oddaje się w ręce funkcjonariuszy i składa wniosek o status uchodźcy. Choć wielu z nich nie doświadczyło prześladowań w kraju pochodzenia (uciekają np. przed biedą czy chaosem politycznym), to i tak sięgają po procedurę azylową, która umożliwi im legalny pobyt w USA i prawo do pracy do czasu rozpatrzenia sprawy.

Efekt jest taki, że amerykańskie sądy imigracyjne przeciążone są ponad 3 mln postępowań, których zakończenie bez zatrudnienia dodatkowych ludzi zajmie długie lata. Dziś ślimaczą się nawet procedury deportacyjne: priorytetowo aresztowani i wywożeni z USA są głównie imigranci, którzy popełnili poważne przestępstwa i stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Dziennik „The New York Times" podaje przykład 40-letniej pielęgniarki z Kolumbii, która po nielegalnym przekroczeniu granicy dostała wezwanie do stawienia się w sądzie. Wyznaczony termin to 19 lutego 2026 roku.

Autobus do miasta

Mocno przeciążone kryzysem migracyjnym są też duże miasta, takie jak Nowy Jork, Boston czy Chicago, do których republikańscy gubernatorzy, na czele z gubernatorem Teksasu, regularnie wysyłają autobusy z imigrantami – w myśl zasady: skoro chcecie ich chronić, to sami im pomóżcie. Szacuje się, że od wiosny 2022 roku do Nowego Jorku dotarło ponad 150 tys. ludzi. A to wystawia na próbę władze miasta, które zgodnie z przepisami muszą zapewnić każdemu bezdomnemu dach nad głową. Migranci lokowani są w namiotach, hotelach na Manhattanie i przestrzeniach biurowych.

Burmistrz Nowego Jorku Eric Adams, który jeszcze półtora roku temu witał przysyłane z Teksasu autobusy z imigrantami, dziś zaostrza politykę. Każe eksmitować ludzi z przytułków po 60 dniach pobytu, zarzuca prezydentowi Bidenowi nieradzenie sobie z kryzysem i grzmi, że fala migrantów zniszczy ponad 8-milionowe miasto. Na linii Biden–Adams ponoć jest na tyle nerwowo, że prezydent USA zrezygnował z włączenia burmistrza do swojej kampanii o reelekcję.

Trump się cieszy

Trump, już niemal pewny rywal Bidena w walce o Biały Dom, dowcipkował niedawno w wywiadzie dla telewizji Fox News, że rozważa organizowanie wieców w liberalnym Nowym Jorku. „Czy mam w tym mieście szansę? Nowy Jork mocno zmienił się przez ostatnie dwa lata. Migranci są wszędzie. Mieszkają nawet na Madison Avenue" – przekonywał Trump.

Tymczasem Doris Meisner, ekspertka z Migration Policy Institute, przestrzega: administracja Bidena potrzebuje dodatkowych funduszy na opanowanie kryzysu. „Jeśli fala imigrantów nie osłabnie, to zachęci kolejnych migrantów do pojawienia się na południowej granicy USA" – ocenia ekspertka w rozmowie z magazynem „Time". A to tylko może wzmocnić kampanię Trumpa bazującego na nastrojach społecznych: aż 80 proc. Amerykanów uważa, że administracja Bidena nie radzi sobie z kryzysem. Reforma migracyjna znów stała się zakładnikiem politycznej kalkulacji.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press"

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Protest hiszpańskich rolników w porcie towarowym w Motril, Andaluzja, Hiszpania, 14 lutego 2024 r.

Adios pomidory

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MOTRIL I ALMERÍI (HISZPANIA)

Ośmieleni protestami we Francji, na ulice wychodzą rolnicy hiszpańscy. Frustruje ich susza, biurokracja, przywileje importerów i obciążenia związane z przepisami unijnymi. Plany rozpisali do maja.

Kilogramy pomidorów wylądowały na wjeździe do portu towarowego w Motril w Andaluzji. O demonstracji było wiadomo z mediów społecznościowych, dlatego przed portem na rolników czekały wozy policji krajowej i policjanci w kaskach, na wypadek gdyby temperatura protestu nagle wzrosła. Tego dnia było jednak spokojnie.

Duma w logo

Poczucie niesprawiedliwości i oburzenie wśród rolników rosną i to nie tylko od lutego, a co najmniej od dekady. Ci z Andaluzji wyrzucili na ulice jeden ze swoich najlepszych produktów i dumę całej Wspólnoty Autonomicznej – pomidory.

To produkt na tyle cenny, że Almería ma go w swoim logo i na pomnikach ustawionych w całym mieście. Wzdłuż wybrzeża rozciągają się kilometry plastikowych tuneli, w których uprawia się ponad 300 gatunków pomidorów. Ale z każdym rokiem jest ich coraz mniej.

– Kiedyś za kilogram płacono nam 40-50 eurocentów. To wystarczało, aby pokryć koszty produkcji i zapłacić pracownikom. Dziś, kiedy koszty energii i paliwa poszybowały w górę, płaci się nam 25-30 eurocentów. To już się nie opłaca. Opłaca się za to Marokańczykom, gdzie koszty produkcji są niższe – mówi mi 62-letni rolnik z Almeríi, José Fernandez.

Andaluzja i rolniczy boom

Do lat 60. ubiegłego wieku pola uprawne były przy samym morzu ze względu na wysokie temperatury i łatwiejszy dostęp do wody. Ale sucha gleba i silny wiatr powodowały, że praca rolników była bardzo nieefektywna. Normą było, że dzieci od wczesnych lat pracowały z rodzicami przy uprawie warzyw i owoców.

Wiele dzieci kończyło tylko kilka klas podstawówki, tak jak Lola Gómez Ferrón, której tata w Roquetas de Mar stworzył pierwszą w prowincji szklarnię (w rzeczywistości plastikowy tunel, choć nazwa pozostała). Ta pierwsza była prowizoryczna: kije z drewna, druciana siatka i plastik zabezpieczony drutem.

– Chodziło o to, aby walczyć z wiatrem, ale dzięki pierwszej szklarni zauważyliśmy, jaki wpływ na nasze uprawy miała też temperatura. Mówi się „*Almería, donde el sol pasa el invierno*" (hiszp. Almería, miejsce gdzie słońce spędza zimę). I faktycznie, cały rok mamy słońce, ↦

↦ ale zimą temperatura potrafi w nocy spaść do kilku stopni. Dzięki szklarniom udało się rozwiązać wiele problemów – mówiła Lola Gómez Ferrón w dokumencie telewizji publicznej RTVE „*Érase una vez en Almería*".

W latach 70. XX w. do opustoszałej prowincji zaczęli imigrować Hiszpanie z innych części kraju. A wszystko za sprawą pierwszych szklarni, które szybko doprowadziły do bogactwa niegdyś biednej prowincji. Piaszczyste dotąd drogi zamieniono w asfaltowe, aby móc eksportować tony produktów rolnych. Wszystko jeszcze przyspieszyło, gdy w 1986 r. Hiszpania przystąpiła do Unii Europejskiej. 50 lat temu na roli zaczął pracować też José Fernandez.

– Teraz zmierzamy do końca rolnictwa w Almerí, a może i w całej Hiszpanii i Europie. To punkt krytyczny. Nie możemy już tak dłużej. Wysłałem moje córki na studia, bo nie chcę, żeby musiały pracować tak jak ja – mówi, kiedy rozmawiamy podczas protestu w Motril.

Zasady gry

W Almerí coraz częściej uprawia się ogórki zamiast pomidorów, bo te tańsze docierają już z Maroka. To właśnie główny powód niezadowolenia hiszpańskich rolników: import tanich produktów nie tylko z Maroka, ale też Turcji czy RPA.

Rolników złości fakt, że kiedy na nich Unia Europejska nakłada coraz to nowe wymagania, produkty z krajów trzecich nie są poddawane tak restrykcyjnym normom. – Te z Maroka przypływają do Almerí, tu zmieniają im etykiety i są już „hiszpańskie". Nikt ich nie kontroluje tak jak naszych. Rolnicy w Maroku mogą używać wielu produktów fitosanitarnych, które u nas są zabronione. Jak możemy mówić o sprawiedliwych zasadach konkurencji? – pyta Teresa, rolniczka z Almerí.

Protest przeciwko importowi produktów z krajów trzecich to najważniejszy postulat rolników i wspólny dla trzech głównych organizacji rolniczych w Hiszpanii: Organizacji Rolników i Hodowców (COAG), Stowarzyszenia Młodych Rolników (Asaja) i Związku Drobnych Rolników i Hodowców (UPA).

– Jesteśmy za wolnym handlem, ale na tych samych zasadach gry. Jeśli w Europie brakuje jakiegoś towaru, to go importujmy, ale jeśli produkujemy tutaj tyle pomidorów, to po co je jeszcze sprowadzać? Gdzie w tym logika i wdrażanie zasad Zielonego Ładu? – mówi mi Adoración Blanque Pérez, przewodnicząca Asaja w oddziale w Almerí.

ÁLVARO, 56-letni rolnik z Málagi: *Hiszpańska czy francuska firma z Walencji importuje pomidory z Maroka, tu nadaje im nazwę „walencyjskie", a to myli konsumenta, bo przecież to nie są nasze pomidory.*

ADORACIÓN BLANQUE PÉREZ, przewodnicząca Stowarzyszenia Młodych Rolników w Almerí: *Jeśli w Europie brakuje jakiegoś towaru, to go importujmy, ale jeśli produkujemy tutaj tyle pomidorów, to po co je jeszcze sprowadzać?*

JOSÉ FERNANDEZ, 62-letni rolnik z Almerí: *Kiedyś deszcz padał częściej. Teraz w Andaluzji jesteśmy skazani na odsalanie wody. Taka woda jest nie tylko droższa, ale też pozbawiana wartości odżywczych.*

Wzrasta import...

Z danych Eurostatu wynika, że od 2014 r. stale spada produkcja i eksport pomidorów z Unii Europejskiej, rośnie za to import. W 2014 r. z krajów UE eksportowano blisko 670 tys. ton pomidorów, a w 2022 r. już tylko niecałe 360 tys. ton. Z kolei w 2022 r. importowano ponad 790 tys. ton pomidorów.

Te dane pokazuje podczas protestu w Motril Pedro Ruiz García, od ponad 20 lat przewodniczący spółdzielni La Palma w Granadzie. Na protest w Motril przyjechało sporo członków spółdzielni, można ich rozpoznać po czerwonych czapkach z daszkiem. – Rozumiem, że podczas pandemii importowaliśmy maseczki z Azji, bo u nas ich brakowało, ale produktów rolnych w Europie nie brakuje. Dlaczego tyle importujemy, zamiast wykorzystać to, co już mamy? – pyta.

Wiele produktów, które docierają do Europy z krajów trzecich, dostaje mylącą nazwę od firmy, która je importuje. – Hiszpańska czy francuska firma z Walencji importuje pomidory z Maroka, tu nadaje im nazwę „walencyjskie", a to myli konsumenta, bo przecież to nie są nasze pomidory. Oburza mnie to – mówi Álvaro, 56-letni rolnik z Málagi, który na protest w Motril przyjechał specjalnie ponad 100 kilometrów.

Mężczyzna pokazuje mi na telefonie zdjęcie, które zrobił w jednym z popularnych supermarketów. Widać na nim, jak przy awokado podano kilka różnych krajów pochodzenia: Hiszpania, Peru, Brazylia, RPA. – Klient ma sobie wybrać? Nie rozumiem sensu podawania takich informacji – mówi Álvaro.

...i koszty

Álvaro lubi swoją pracę, ale widzi, że z roku na rok koszty produkcji wzrastają, a w portfelu coraz mniej zostaje. Na razie wspólnie z nim w szklarniach pracuje jego 26-letni syn, a on ma coraz więcej wątpliwości, czy nie zająć się czymś innym. – Kiedyś miałem sześciu pracowników, dzisiaj stać mnie tylko na dwóch, czasem czterech, ale tylko gdy mamy więcej pracy. W wakacje w ogóle nie produkujemy pomidorów, bo wtedy jest najwięcej towaru z importu, a to oznacza dla nas bardzo niskie ceny – mówi Álvaro.

To kolejny punkt zapalny. Według danych organizacji COAG za styczeń, ceny produktów rolnych sprzedawanych

przez rolników w Hiszpanii zwykle różnią się czterokrotnie od ceny z supermarketu. Ale są i takie produkty, gdy cena wzrasta prawie dziewięciokrotnie. Dla przykładu: w styczniu za kilogram cytryn rolnicy dostawali średnio 0,20 eurocentów, a w supermarketach trzeba było zapłacić już 1,96 euro.

Podwójne etykiety

Rolnicy podnoszą więc postulat o podwójnych etykietach w sklepach, tak aby kupujący był świadomy, jaka jest marża i ile tak naprawdę zarabia rolnik. O pomyśle mówiono już ponad 20 lat temu, ale do tej pory nie został wprowadzony. Teraz temat wrócił i apeluje też o to organizacja pozarządowa FACUA. W ubiegłym roku rząd Pedro Sáncheza zobowiązał się do „wzmocnienia ustawy o łańcuchu żywnościowym", ale na razie konkretów brak.

Na proteście w Motril wyróżniają się 19-letni Antonio oraz 23-letni José i Crístofer. – Mam tytuł uniwersytecki, jestem inżynierem rolnictwa, ale chcę pracować na roli, jak mój dziadek i ojciec. Przecież ktoś musi produkować jedzenie w tym kraju – śmieje się Crístofer i dodaje: – Nasi ojcowie i dziadkowie się dopasowywali, ale my chcemy zmian w sektorze rolnictwa i żeby nam pomagano, a nie utrudniano pracę.

Sprawdzają wszystko

Młodzi mężczyźni narzekają, że na rolników narzucane są nowe zobowiązania, tak że zaczyna brakować czasu na samą pracę. – Każdy wyjazd owoców i warzyw ze szklarni musimy raportować. Serie dokumentów podpisuję ja i kierowca ciężarówki. Mamy częste audyty, sprawdzają dosłownie wszystko. To bardzo stresujące. Za kilka albo kilkanaście miesięcy zacznie obowiązywać nas też cyfrowy notatnik rolniczy. Będziemy musieli tam dokładnie opisywać zużycie wszelkich produktów fitosanitarnych – mówi Crístofer, rolnik z Roquetas de Mar.

Zdaniem José Fernandeza trudno jest ograniczyć zużycie produktów fitosanitarnych. W ciągu 50 lat pracy obserwuje, jak susza wpływa na produkcję. – Kiedyś deszcz padał częściej, magazynowaliśmy wodę, było też więcej wód gruntowych. Teraz w Andaluzji jesteśmy skazani na odsalanie wody. Taka woda jest nie tylko droższa, ale też pozbawiana wartości odżywczych, których potrzebują nasze uprawy – mówi mi 62-letni rolnik.

Empatia rządu

Rolnicy w Hiszpanii protestują od ponad dwóch tygodni. W ubiegłą środę (14 lutego) odbyły się największe do tej pory demonstracje. W różnej formie protestowano w ponad 40 miejscach Hiszpanii. W Motril protestowało kilkuset rolników i skończyło się na blokadzie portu towarowego i wysypaniu pomidorów na drogę. W Gironie rolnicy przez 24 godziny blokowali wjazd na autostradę, w Kartagenie zastawili budynek lokalnych władz, a w Sewilli traktorami zablokowali dojazd do miasta.

Postulaty trzech organizacji rolniczych są zbieżne: ograniczenie importu z krajów trzecich, kontrole tych produktów, mniej biurokracji, walka z suszą, rewizja wspólnej polityki rolnej (PAC) i wycofanie się z Europejskiego Zielonego Ładu. Plan protestów rozpisany jest do maja. Do tej pory premier Pedro Sánchez podczas sesji kontrolnej w parlamencie wyraził „całkowitą empatię" i gotowość do dialogu z rolnikami i hodowcami. Protestujący domagają się jednak rozmów i konkretów.

– Jeśli znikną rolnicy i hodowcy, to Europa będzie mieć wielki problem. To, czy kupimy nowy samochód, spodnie czy telefon, nie jest tak ważne. Ale jedzenie to kwestia kluczowa. Europa musi zdać sobie z tego sprawę – mówi Pedro Ruiz García i dodaje: – Dlatego nie ustąpimy, dopóki nas nie wysłuchają.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie VII Wydział Cywilny pod sygn. akt VII Ns 370/22 toczy się postępowanie z wniosku Spółdzielni Mieszkaniowej „Bródno" o stwierdzenie nabycia spadku po Zygmuncie Gajewskim synu Jerzego i Stanisławy, zmarłym 20 lutego 2017 roku w Warszawie, ostatnio zamieszkałym w Warszawie przy ul. Suwalskiej 18 m. 143.

Wzywa się wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym wypadku mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabyciu spadku.

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 892/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia przez małżonków Władysławę i Stanisława Śledziowskich oraz przez samą Władysławę Śledziowską w drodze zasiedzenia odpowiednio: własności nieruchomości położonej w Staniątkach p. gr. 22/9 (obecnie m.in. dz. ew. 1736, 374) objętej KW nr KR2I/00001559/5 i własności nieruchomości położonej w Staniątkach p. gr. 22/8 (obecnie dz. ew. 1735) objętej KW nr KR2I/00003830/3.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności następców prawnych Małgorzaty Puchała i Zofii Springer, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swoje prawa do wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie pod sygnaturą VII Ns 55/23 toczy się postępowanie z wniosku Witolda Kleniewskiego zamieszkałego w Warszawie o uznanie za zmarłego Ernesta Rentza, syna Gustawa i Aurelii z domu Cyganowskiej, urodzonego 9 lutego 1921 r. w Warszawie, ostatnio zamieszkałego w Choszczówce, gm. Jabłonna przy ul. Ślepej 2, który w dniu 29 lipca 1941 r. wyjechał do Bobrujska (Białoruska SRR).

Sąd wzywa zaginionego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosił się do tut. sądu, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Nadto sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w powyższym terminie przekazały je sądowi.

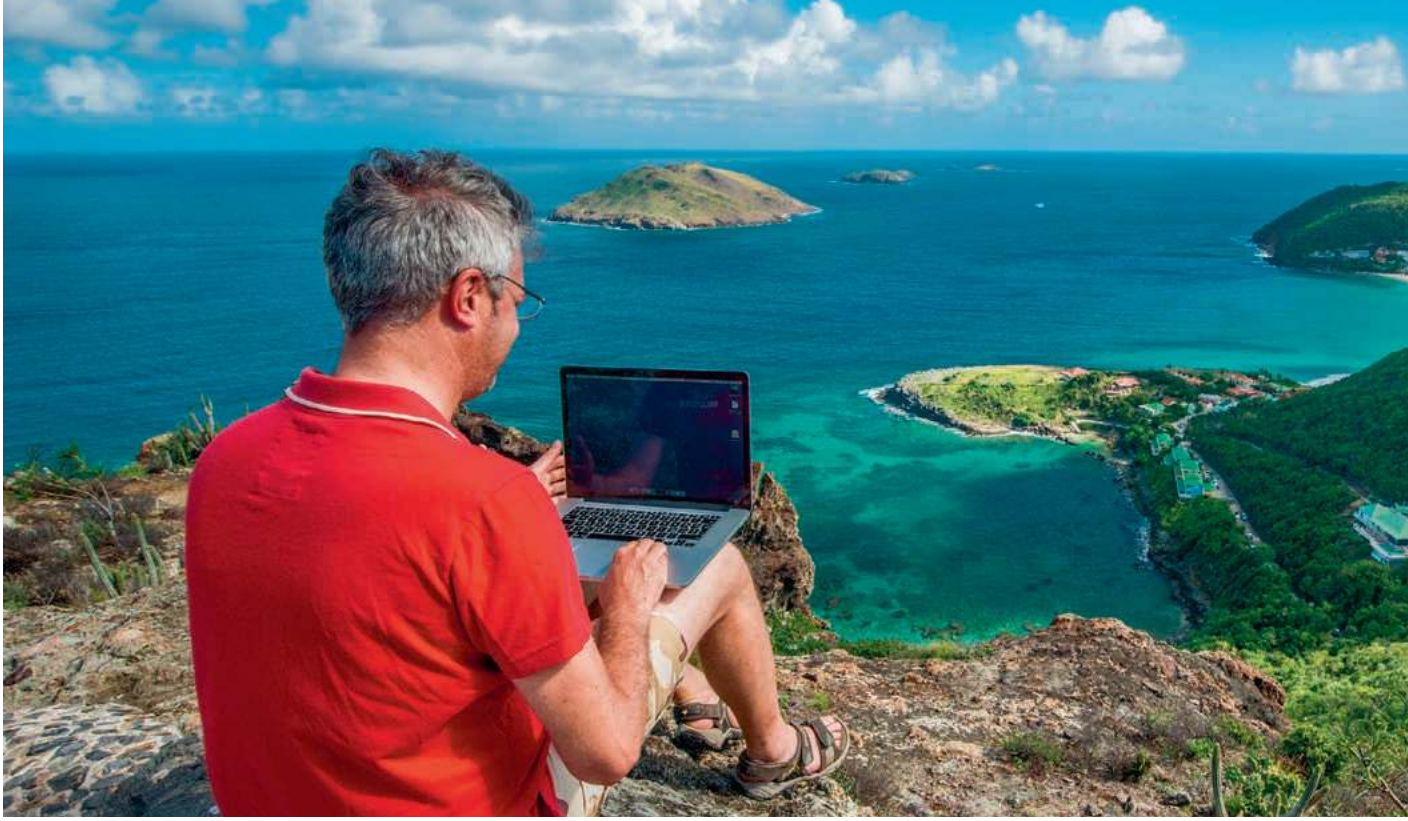

Druga młodość rajskich wysp

GRZEGORZ KORDYLAS

Ryby, turyści, sztuczna inteligencja i domeny internetowe. Małe kraje na Karaibach i Pacyfiku okazują się wielkim beneficjentem rewolucji technologicznej.

Był rok 1995, gdy Anguilla – niewielki archipelag rajskich wysp z pięknymi plażami, położony na Morzu Karaibskim – otrzymała prawo do używania domeny internetowej najwyższego poziomu, odpowiadającej swojemu kodowi identyfikacyjnemu. Domena, jak inne nawiązująca do nazwy kraju, brzmiała: .ai.

Można sądzić, że w tym czasie mało który mieszkaniec Anguilli w ogóle to zauważył. Zapewne mało kto zaprzątał też sobie głowę wynalazkiem zwanym internetem. Przez kolejnych kilkanaście lat gospodarka Anguilli wciąż opierała się na turystyce, usługach finansowych (wyspa jest jednym z rajów podatkowych) i rybołówstwie. Wcześniej przez ponad 300 lat kraj ten był kolonią brytyjską. Dziś ma status terytorium zamorskiego Wielkiej Brytanii i własny rząd (choć najważniejszą osobę, gubernatora, nadal mianują Brytyjczycy).

Nagły strumień pieniędzy

Sytuacja zmieniła się w 2022 r., gdy światową premierę miał prototyp ChatGPT firmy OpenAI. Sztuczna inteligencja (angielski skrót to AI) już wcześniej była na topie, jednak za sprawą chatbota, z którego w ciągu dwóch pierwszych miesięcy skorzystało 100 mln ludzi, świat oszalał na jej punkcie. Dla Anguilli zaś pojawiło się nowe źródło dochodu: sprzedaż domen.

Jeszcze w 2020 r. liczba zarejestrowanych stron internetowych z końcówką .ai wynosiła niecałe 100 tysięcy. Dziś jest ich ponad 350 tys., a Vincent Cate, urzędnik zarządzający od lat 90. XX w. domeną, przyznaje, iż codziennie rejestruje się ok. 700 nowych. Każda to 140 dolarów do państwowego budżetu. Własne strony internetowe z końcówką .ai mają już Facebook, Google, Microsoft czy firma xAI Elona Muska.

Bardziej popularne adresy oznaczają większy dochód. W październiku 2023 r. giełda domen Sedo podała, że adres You.ai został sprzedany za 700 tys. dolarów.

Dziś zyski Anguilli ze sprzedaży domen szacuje się na 30 mln dolarów rocznie, co stanowi 10 proc. PKB. To okazały strumień pieniędzy dla kraju zamieszkanego przez zaledwie 16 tys. obywateli. Rządzący Anguillą zapowiadają, że nie pozwolą, by kraj uzależnił gospodarkę od tego jednego źródła dochodu. Zarobione pieniądze mają zamiar przeznaczyć na rozwój lokalnych firm, pomoc mieszkańcom w dostępie do usług państwowych i promocję kraju wśród zagranicznych turystów. Do spłacenia jest też spory dług publiczny.

Atol na Pacyfiku

Anguilla to nie pierwszy przypadek małego kraju, którego budżet zasilają zyski ze sprzedaży domen. Wcześniej flagowym przykładem było Tuvalu – państwo wyspiarskie na Pacyfiku, w połowie drogi między Australią a Hawajami. Na 26 km² tego kraju znajdziemy jedno lotnisko, jeden bank, jeden szpital i jedną drogę, która biegnie przez cały atol. A także jedną domenę najwyższego poziomu, z której korzysta cały świat (.tv).

Pod koniec lat 90. XX w. domena ta była rozchwytywana przez stacje telewizyjne. W 1998 r. Tuvalu podpisało 10-letnią umowę z amerykańską firmą DotTV o wartości 50 mln dolarów, w ramach

DUTCH ANTILLES / ADOBE STOCK

Anguilla, Karaiby

której sprzedało prawa do dystrybucji domeny. Umowa potroiła dochód narodowy kraju – i pozwoliła Tuvalu dołączyć do ONZ. Pieniądze z transakcji poszły bowiem m.in. na opłacenie wymaganych składek członkowskich w ONZ.

Dziś, za sprawą nowej umowy z usługodawcą GoDaddy, państwo zarabia na sprzedaży domen 10 mln dolarów rocznie, a domena .tv przeżyła w międzyczasie drugą młodość. Tak jak Anguilla skorzystała na premierze narzędzia ChatGPT, tak końcówka .tv stała się jeszcze bardziej pożądana dzięki Twitchowi – platformie streamingowej, która umożliwia oglądanie i udostępnianie transmisji na żywo. Transmituje się tam głównie rozgrywki e-sportowe i wszystko, co związane z grami komputerowymi. Każdego dnia stronę Twitch.tv odwiedza 30 mln użytkowników (w 2014 r. platforma została kupiona przez Amazon.com za prawie miliard dolarów).

Kabel na dnie oceanu

Niewielu spośród 11 tys. mieszkańców Tuvalu może pozwolić sobie na oglądanie transmisji na platformach typu Twitch. Krajowy internet, choć powszechnie dostępny, opiera się na połączeniu satelitarnym o ograniczonej przepustowości.

Wkrótce może się to jednak zmienić: USA planują poprowadzenie ogromnego światłowodu środkowopacyficznego między Guam a Samoa Amerykańskim. Podmorski kabel łączący oba terytoria należące do USA uzupełniałby trójkąt z Hawajami i obejmowałby także dwanaście wyspiarskich krajów Pacyfiku.

Waszyngton chce w ten sposób zwiększyć swoje wpływy w regionie i zacieśnić współpracę z narodami wyspiarskimi po tym, jak zauważył podobne działania ze strony Pekinu. Dwa lata temu USA zablokowały projekt budowy podmorskiego kabla internetowego na wyspach Pacyfiku, który miałby być wykonany przez chińską firmę.

Milion adresów internetowych

Zyski ze sprzedaży domen mogą się jednak stać także iskrą, która rozbudza stare konflikty. Przekonali się o tym Brytyjczycy.

Był rok 1965 i zimna wojna trwała w najlepsze, gdy na obszarze Wysp Czagos i kilku okolicznych wysepek Londyn utworzył Brytyjskie Terytorium Oceanu Indyjskiego. Następnie Brytyjczycy wysiedlili mieszkańców Wysp Czagos na Mauritius i Seszele – potrzebowali miejsca dla bazy wojskowej, wspólnej z Amerykanami. Powstała ona na największej wyspie archipelagu: Diego Garcia. Baza USA jest tam do dziś i ma duże znaczenie dla operacji na Morzu Południowochińskim. Nic dziwnego, że Brytyjczykom i Amerykanom nie uśmiecha się oddawać okolicznych wysp roszczącemu sobie do nich prawa Mauritiusowi, który jest sojusznikiem Chin.

W 2021 r. dyskusja nad suwerennością wysp odżyła, ale nie z powodów militarnych. Do Brytyjskiego Terytorium Oceanu Indyjskiego należy domena najwyższego poziomu .io, a rozszerzenie domeny .io jest najczęściej używane jako skrót od wejścia/wyjścia (*input/output*), przez co jest popularne wśród startupów technologicznych. Upodobały je sobie też firmy zajmujące się kryptowalutami. Obecnie końcówkę .io posiada ponad milion zarejestrowanych adresów internetowych.

Proces o domenę

Oznacza to spore zyski, choć nie dla rdzennych mieszkańców archipelagu. W 2021 r. grupa uchodźców z Czagos pozwała więc brytyjski rząd, argumentując, że jako naród nie uzyskała żadnego dochodu z domeny .io (wartej ok. 7 mln dolarów rocznie), choć jest ona powiązana z ich rodzimym terytorium geograficznym.

Prawa do domeny posiadała brytyjska firma Internet Computer Bureau, która po serii kontrowersji – w tym po przyznaniu, iż rząd Wielkiej Brytanii także czerpie zyski z domeny, czemu politycy zaprzeczali – została przejęta przez amerykańskiego giganta Afilias, dziś znanego jako Identity Digitals.

Obecnie suwerenność Wysp Czagos i kwestia tego, kto powinien otrzymywać zyski z domeny .io, nadal są przedmiotem sporów. W 2019 r. Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości zdecydował, że działania z lat 60. XX w. były niezgodne z prawem i Wielka Brytania powinna zwrócić wyspy Mauritiusowi. Rok później Zgromadzenie Ogólne ONZ przeważającą większością głosów (116 do 6) potępiło okupację wysp przez Wielką Brytanię.

W lutym 2022 r. lokalni urzędnicy podnieśli flagę Mauritiusu nad wyspą i odśpiewali hymn, dając do zrozumienia, że Wielka Brytania nie ma na wyspie czego szukać. Był to jednak tylko gest – w praktyce nic się nie zmieniło. Choć wobec międzynarodowych nacisków Brytyjczycy deklarują, że są skłonni do rozmów z Mauritiusem.

Gdy wszyscy zyskują

Na koniec historia domeny .tk, która należy do nowozelandzkiego archipelagu Tokelau. W 2016 r. domena ta posiadała ponad 31 mln zarejestrowanych stron internetowych. To więcej niż w przypadku jakiejkolwiek innej domeny państwowej.

Jak do tego doszło? W 2000 r. Joost Zuurbier, dyrektor Freenom (firmy zajmującej się rejestracją domen z siedzibą w Amsterdamie), obserwował sukces, jaki firma Hotmail odnosi w zakresie bezpłatnej usługi poczty internetowej. Pomyślał, że to samo można zrobić z adresami internetowymi. Wkrótce odkrył, że Tokelau ma własną domenę najwyższego poziomu, ale nic z nią nie robi. Poleciał więc na archipelag, by przekonać jego rząd, aby pozwolił mu z niej skorzystać.

„Musieliśmy im wyjaśnić, co mają i czym jest internet, żeby wszystko działało" – mówił Zuurbier telewizji CNN w 2012 r. Umowa polegała na tym, że Zuurbier bezpłatnie udostępniał adresy internetowe, a Tokelau czerpało część zysków z reklam.

W efekcie skorzystały na tym obie strony. Jak widać, można i tak. ©

Wędrowcy we mgle

MAGDALENA BARTCZAK Z PÓŁNOCNEGO CHILE

Chile jest dziś jednym z tych krajów Ameryki Południowej, do których przybywa najwięcej imigrantów. Wielu pieszo. Rozmawialiśmy z tymi, którzy przywędrowali tu z Wenezueli.

Najlepiej maszeruje się wczesnym rankiem. Upał jest jeszcze znośny, słońce nie praży tak mocno, jak w ciągu dnia (na półkuli południowej trwa teraz lato). Aż do świtu wyżyny w Andach, zwane *altiplano*, spowija *camanchaca* – gęsta i chłodna mgła. Według inkaskiej legendy unosi się nad tą częścią kontynentu za sprawą klątwy rzuconej przez bóstwa na hiszpańskich żołnierzy. Zasłaniając niebo, miała być karą za ich kolonialne podboje.

Istota zjawiska jest bardziej prozaiczna: to prąd Humboldta sprawia, że zimne masy powietrza napływają znad Pacyfiku i gromadzą się nad *altiplano*, zatrzymując na grani Andów.

Pustynne wyżyny rozciągają się na terenie trzech państw: północnego Chile, południowego Peru i zachodniej Boliwii. Leżą na wysokości 3-4 tys. m n.p.m. i są uważane za jedno z najmniej przyjaznych człowiekowi miejsc globu. Przypominają krajobraz kosmiczny: to kraina piasku, silnego wiatru i ekstremalnych temperatur.

Aż trudno uwierzyć, że wielu ludzi przechodzi ją pieszo, aby po tygodniach wędrówki dotrzeć do Chile. Kraju, który od kilku lat jest jednym z głównych celów migracji w Ameryce Południowej.

Długa droga z Caracas

Wśród nich była Josybeth Pérez. 34-letnia Wenezuelka dotarła tu wraz z mężem i dwojgiem dzieci z Caracas, stolicy Wenezueli. Ostatni etap pieszo: przez południowe Peru do chilijskiej granicy. Wcześniej korzystali głównie z lokalnych autobusów. Całą trasę, liczącą ponad 3,4 tys. km, pokonywali przez piętnaście miesięcy. Dziś żyją w portowej Arice. Josybeth pracuje w sklepie, mąż w warsztacie samochodowym.

– Opuściliśmy Wenezuelę, bo tam nie było perspektyw. A chcemy stworzyć lepszą przyszłość dla dzieci. W Wenezueli baliśmy się o ich i nasze bezpieczeństwo. Tu żyje się łatwiej niż w Caracas, możemy spokojnie spacerować po ulicach – opowiada Josybeth.

Drogą lądową przez Kolumbię, Ekwador i Peru dotarła także Roneldriz Peña, 27-letnia Wenezuelka z miasta Valencia w Górach Karaibskich. Wraz z mężem mieszkają dziś w Santiago, stolicy Chile.

Roneldriz: – Decyzję podjęliśmy w maju 2016 r., w sierpniu byliśmy już w drodze. W Chile mieszkała wówczas moja szwagierka. Inflacja w Wenezueli była tak wysoka, że nasze płace nie wystarczały na utrzymanie. Stawało się też coraz bardziej niebezpiecznie, rósł poziom rozbojów, porwań i morderstw.

Roneldriz była wtedy studentką: – Często wręcz bałam się jechać na uczelnię. Czara goryczy przelała się, gdy zaatakowano męża. Został dźgnięty parokrotnie nożem i okradziony. Wtedy zaczęliśmy poważnie planować przyszłość w innym kraju. Opuściliśmy Wenezuelę w poszukiwaniu bezpieczeństwa, lepszego życia. A także, by pomóc finansowo naszym bliskim, którzy tam zostali. Na razie jesteśmy z naszego życia w Chile zadowoleni.

Kryzys na północy

Powody, o których mówią Josybeth i Roneldriz, to najczęstsze motywy, jakie podają przybywający cudzoziemcy. Chile jest jednym z bardziej stabilnych gospodarczo i politycznie państw Ameryki Łacińskiej i dlatego atrakcyjnym zwłaszcza dla obywateli Wenezueli, Kolumbii czy Haiti.

– W ostatnich latach liczba przybywających cudzoziemców wzrosła mocno i nagle – mówi Roberto Guajardo, badacz ruchów migracyjnych z Universidad de Tarapacá w Arice. – Wcześniej fale migracji miały mniejszą skalę i były bardziej rozłożone w czasie. Teraz w krótkim okresie przyjechały tysiące ludzi, na co nasze społeczeństwo nie było gotowe ani pod względem rozwiązań prawnych, ani wydolności biurokracji. To doprowadziło do kryzysu migracyjnego, który jest odczuwalny głównie na północy kraju.

DIEGO REYES / AFP / EAST NEWS

– Od kilku lat większość migrantów to Wenezuelczycy. To największy ruch migracyjny w Ameryce Południowej. W niespełna dekadę ze względu na sytuację polityczną i gospodarczą ten kraj opuściło 7-8 mln ludzi, przemieszczają się po całym kontynencie – mówi Guajardo.

Stan zawieszenia

Według rządowego instytutu CASEN w 20-milionowym Chile żyje dziś ponad 1,8 mln imigrantów; większość w stolicy lub na północy kraju. Wielu badaczy i aktywistów twierdzi, że to liczba niedoszacowana.

Tak uważa również Guajardo: – W samym regionie Arica i Parinacota oficjalnie mieszka 32 tys. imigrantów. Realna liczba jest zapewne dwukrotnie wyższa. Większość tych, którzy przybyli od marca 2020 r. do listopada 2022 r., zrobiło to nielegalnie, bo w związku z pandemią granice Chile były zamknięte. Wielu migrantów przedostaje się na chilijskie terytorium w niedozwolonych miejscach, by uniknąć kontroli. Sprzyja temu geografia. Granica z Peru to prawie 170 km pustyni. Granica z Boliwią liczy 860 km i ciągnie się przez *altiplano* oraz pustynię Atakama. Pełne monitorowanie tych terenów graniczyłoby z cudem.

Szacuje się, że co roku 50 tys. ludzi przekracza granicę Chile nielegalnie, często bez dokumentów. Tymczasem zgodnie z obowiązującym od dwóch lat prawem obcokrajowcy, którzy wjechali bez wizy, nie mogą zalegalizować swojego pobytu.

Każdy starający się o pozwolenie na pobyt i pracę cudzoziemiec musi zdobyć wizę wcześniej, w kraju pochodzenia. Ponieważ bywa to trudne lub/i czasochłonne, wiele osób decyduje się na drogę nielegalną. A po zamieszkaniu już w Chile trafiają w stan zawieszenia: aby zalegalizować pobyt, musieliby najpierw stąd wyjechać.

Guajardo: – Jedyne, co można w tej sytuacji zrobić, to zgłosić się do odpowiednich organów, a następnie wrócić do ojczyzny i stamtąd starać się o wizę. Niektórzy nie decydują się na taki krok ze strachu, wstydu lub niewiedzy. A jeszcze częściej z braku środków. Tym samym wielu imigrantów żyje w zawieszeniu, co uniemożliwia im normalne funkcjonowanie.

Śmiertelne ryzyko

Sto dolarów: tyle ma kosztować „przymknięcie oka" przez peruwiańskiego policjanta, aby pozwolił przejść granicę bez odpowiednich dokumentów w Tumbes, na granicy Peru z Ekwadorem. Właśnie to przejście – jedno z najbardziej zatłoczonych na kontynencie – zwykle wybierają migranci wędrujący do Chile z Kolumbii lub Wenezueli.

To koszt dla osoby dorosłej. Dla dziecka peruwiańska Policia Fronteriza (Policja Graniczna) daje „zniżkę": 30-50 dolarów. Więcej, bo 150-200 dolarów za osobę, muszą płacić migranci, którzy korzystają z pomocy *coyotes*, przemytników ułatwiających przejście granicy i organizujących także transport z Boliwii lub Peru do Chile.

O tym, jak niebezpieczna to droga, głośno jest w chilijskich mediach. W 2023 r. pojawiło się wiele reportaży o zmarłych, których znaleziono na boliwijskim lub chilijskim *altiplano*: próbowali przekroczyć granicę pieszo i zmarli z wyczerpania.

Trudności towarzyszące takiej wędrówce badała Valentina Medina, mieszkanka Ariki i była wolontariuszka w organizacji World Vision, a obecnie naukowczyni. W 2023 r. prowadziła ankiety wśród 50 rodzin przebywających na peruwiańsko-chilijskim pograniczu. Wzięło w nich udział łącznie 230 osób.

– 46 proc. pytanych potwierdziło, że ich droga do Chile trwała dłużej lub znacznie dłużej niż rok. W tym czasie dzieci nie chodziły do szkoły. Ponad 55 proc. przyznało, że podczas wędrówki przez kontynent często brakowało im jedzenia i wody – wylicza Medina.

– Wśród członków pięciu rodzin pojawiły się zeznania o przemocy fizycznej lub psychicznej bądź molestowaniu seksualnym – dodaje Medina. – Zakładam jednak, że skala problemu jest większa. Taka przemoc, doświadczana najczęściej przez kobiety lub dzieci, rzadko jest zgłaszana.

Służba w terenie

Na chilijskich granicach nie ma pushbacków. Zgodnie z prawem, gdy obcy obywatel znajdzie się na terytorium Chile, odpowiedzialność za niego spoczywa na chilijskim państwie. Nie może deportować takiej osoby bez wcześniejszego sprawdzenia jej sytuacji.

Wsparcia migrantom udziela kilkanaście międzynarodowych i krajowych organizacji humanitarnych, w tym działająca w siedmiu miastach Jezuicka Służba Uchodźcom (Servicio Jesuita a Migrantes). Jej regionalną szefową w Arice jest Dayana Mares. W naszej rozmowie przyznaje, że pochodzi z częściowo migranckiej rodziny (jej mama jest Peruwianką) i ten temat jest dla niej także osobiście ważny.

Kierowany przez nią oddział świadczy pomoc socjalną, edukacyjną i prawną. Adresowana jest do całej społeczności imigranckiej, bez względu na kraj pochodzenia. ↦

Na granicy Chile z Boliwią. Colchane, 3 lutego 2022 r.

Mares: – Dostarczamy jedzenie, jeśli jest taka potrzeba. Pracownicy socjalni udzielają też informacji na temat legalizacji pobytu czy dostępu do służby zdrowia. Działa też noclegownia, projekt nazywa się *Noche Digna* (Godna Noc).

Pracują również w terenie, zwykle w miejscach najbardziej dotkniętych ubóstwem. Często w nielegalnych i niebezpiecznych osiedlach na obrzeżach miasta.

– Nasi edukatorzy zajmują się też uwrażliwianiem lokalnej ludności na tematy związane z migracją – mówi Mares. – Uczą większej tolerancji i otwartości. Ich praca opiera się głównie na warsztatach i szkoleniach, które prowadzimy w szkołach, firmach czy instytucjach.

W organizacji są też prawnicy: doradzają w zakresie prawa migracyjnego, pomagają w legalizacji pobytu, reprezentują w sądzie, świadczą pomoc prawną w przypadku ekstradycji.

Trzecia fala

Dayana Mares uważa, że zjawisko imigracji do Chile w ostatnich latach cechują trzy fale: – O ile pierwszą charakteryzowało to, że wielu obcokrajowców miało wyższe wykształcenie lub jakiś zawód i potrafiło szybko odnaleźć się w obcej rzeczywistości, o tyle teraz większość przyjeżdżających stanowią osoby niewykształcone, ubogie, od dłuższego czasu pozbawione środków do życia. Zwykle potrzebują pilnego wsparcia. I często nie mają świadomości przysługujących im praw, przez co są bardziej narażone na wyzysk lub przemoc.

Mares mówi, że do Chile zaczęły docierać też osoby z kryminalną przeszłością lub związane z grupami przestępczymi, jak wenezuelski gang Tren de Aragua. W przypadku wcześniejszych fal migracyjnych zdarzało się to rzadko.

MAGDALENA BARTCZAK

DAYANA MARES, *regionalna szefowa Jezuickiej Służby Uchodźcom*

– Niestety niekorzystnie wpływa to na ogólny wizerunek imigrantów, wzmacnia krzywdzące stereotypy – uważa Mares. – To zresztą złożony temat. Bo z jednej strony widać, że narracja medialna jest przesadzona: podkręca społeczne lęki, akcentuje negatywny przekaz, rzadko przedstawia imigrantów w pozytywnym świetle. Z drugiej strony trochę rozumiem, że obawy mieszkańców rosną. Sama jestem mamą dwójki dzieci i łapię się na tym, że boję się o nie częściej niż kiedyś.

Źródła niechęci

Na niechętny stosunek wielu Chilijczyków wobec przyjezdnych, który objawił się także w antyimigranckich protestach, wskazuje też Roberto Guajardo: – Chile zawsze było krajem imigrantów. Długo byli to głównie imigranci z Europy, a potem z sąsiednich państw, często podobni do nas. Do nowego kontekstu migracyjnego nasze społeczeństwo nie zdążyło się jeszcze przyzwyczaić.

– Chile ma poza tym problem z rasizmem i luki w pamięci – uważa Guajardo. – Widać zupełnie inne podejście wobec obcokrajowców o jaśniejszej skórze niż do tych czarnoskórych z Wenezueli, Kolumbii lub Haiti. Oni częściej cierpią odrzucenie.

Istotnym czynnikiem ma być też zakorzeniony wśród Chilijczyków strach przed biedą. Guajardo: – Chcemy o sobie myśleć jako o rozwiniętym kraju. Nie lubimy, gdy o takich problemach jak głód czy ubóstwo ktoś „obcy" przypomina swoją obecnością.

Roberto Guajardo podkreśla, że mówimy tu o migracji Południe-Południe: z jednego kraju Globalnego Południa do drugiego, trochę tylko zamożniejszego, a nie w stronę dużo bogatszej Europy czy USA.

W tym wypadku niechęć do przybyszów może wynikać także z poczucia zaniedbania przez własne państwo. – Na zasadzie, że skoro ja nie mam dobrego dostępu do usług, skoro mnie jest ciężko, to czemu mam się jeszcze z kimś dzielić – dowodzi Guajardo.

W drogę dalej

W ostatnich miesiącach na granicy można zauważyć też ruch w przeciwną stronę: wielu migrantów zaczyna opuszczać Chile. Najczęściej wskazywane powody to tęsknota za ojczyzną, rozczarowanie, złe warunki pracy czy problemy z uregulowaniem pobytu.

Tendencję tę potwierdzają ankiety, które prowadziła Valentina Medina: – Wiele osób przyznało, że Chile nie jest ich ostatecznym celem. Że myślą o wyjeździe dalej, zwykle do Meksyku lub USA. Niektórzy z kolei chcą wrócić do ojczyzny, najczęściej do Wenezueli. Mówią, że odłożyli dość pieniędzy, by tam zacząć na nowo.

– Wśród motywów powrotu ci ostatni wymieniali zwykle tęsknotę za swoją rodziną – dodaje Medina. – Chęć powrotu do korzeni, pragnienie bycia znów u siebie.

© MAGDALENA BARTCZAK

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

WROCŁAW, czwartek 29 lutego, godz. 18:00
„Jak świetować naszą wolność". Dyskusja o tekście z książki kard. Grzegorza Rysia „O rzeczach ważnych", Tajne Komplety, u.l Przejście Garncarskie 2

POZNAŃ, środa 6 marca, godz. 19:00
spotkanie z Adamem Kusio, „Porozumienie bez przemocy. Rozmowa ze specjalistą od porozumienia bez przemocy" / online /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ELIZA

Kącka:
Wąż nad Polską

Skwer Chorwacki, siedzę sobie na ławce, obok dwie starsze rozmawiają z przejęciem. Piję sobie sok z gwinta, a tu słyszę: „Śnił mi się wąż nad Polską”. Druga starsza: „O mój Boże, co to znaczy?”. Pierwsza starsza: „No chyba wiadomo”. Druga: „O Boże, nie wiem”. Pierwsza: „Miałam też przekaz: smok ma trzy węże”. Starszy z sąsiedniej ławki, spod klombu: „Pani Halinko, niech pani to omówi z księdzem Romkiem”. Pani Halinka: „Telewizję Republikę oglądam i potem mam sny”. Druga: „Smok to diabeł, tak jest w Biblii”. Pani Halinka: „Wężem był Tusk, leciał nad Polską. Obok niego latał Putin”. Starszy: „Patrz pani, jak wszystko się zgadza”. Pani Halinka: „Jak mówię, dostałam przekaz”. Druga: „O tym powinni mówić w wiadomościach”. Pani Halinka: „Jeszcze powiedzą”. Kobieta z przeciwnej strony skweru: „To ma coś wspólnego z horoskopem chińskim?”. Antrakt niesmaku. Pani Halinka, na ciężkim zgorszeniu: „Nie”.

Autobus 119, nastolatka w telefon: „Aaa, zapraszasz mnie!”. Pauza. „Ok, słuchaj, mogę po kościele”. Pauza. „No przestań, dziś jest Popielec, matka mnie nie puści bez tego”. Pauza. „Oj, nie marudź, idę się posypać i pląsamy”. Pauza. „Wiem, że dziś walentynki, no ale co z tego, dla mojej matki Popielec, ona się jara popiołem, rozumiesz?”.

Instytut Onkologii, gapienie się w sufit. Na sąsiednim stanowisku pani podpięta i podrurkowana na każdym wolnym centymetrze. Pyta: „Ma pani coś poważnego?”. Odpowiadam: „Nie, nic” – nie tylko z przyzwoitości. Ona: „Czasem nie mam, wie pani, warunków, by śledzić wiadomości. Ale wpatruję się w łunę nad Warszawą. Nie wiem, czy pani wie, że nad Warszawą stale utrzymuje się łuna. Widać to z naszego piętra”. „Naszego piętra” – przytakuje staruszka spod ściany. „Ano – ciągnie moja rozmówczyni – nasze piętro jest naszą wyspą. Więc kiedy pani stąd wyjdzie, będzie pani wiedzieć, że nad Warszawą jest łuna”. „Nigdy jej nie widziałam”. „Ja też wcześniej nie. Ale tu tak. Z naszej perspektywy widać lepiej”. Pauza. „Już pani wie”. „I co mam z tym zrobić?”. „Jak to co? – obrusza się. – Widziała pani ból?”. „Widziałam”. „Widziała pani zorzę?”. „Widziałam”. „To niech pani wróży, ma pani kompetencje”. Sprawdzę.

Pałac Staszica, krążę z plecakiem górskim. W plecaku książki, transport biblioteczny. Schodzę do holu, do półek szatniarskich. Z przedsionka wychyla się wyczekująco gość po sześćdziesiątce. Na konspirze: „Pssst, paniii”. „Tak?” – pytam. Przestraszył się: „Ciiiszej. Mają tu kibelek?”. „Jasne”. „Ale publiczny?”. „Hm, nikt pana chyba nie...”. Gość z nadzieją: „Umie pani odwrócić uwagę? Że pani słabo albo że kradzież? Bo ja tu ochronę widzę”. „Hehe, kradzież. A jak na pana wezwą policję?”. Zmartwił się: „Racja”. Po chwili: „No ale jak pani się udało, to mnie też, nie?”. „Byłam już na siku, owszem”. Gość na rozochoceniu: „I git, zuch dziewczyna! Zostawię panią z plecakiem, szybko skoczę i z głowy. Nikt nas nie złapie, no nie”.

Autobus 131, jazda na Mokotów. Dosiada się do mnie duet starszych. Rozkładają się w pakamerze siedzeniowej z siatami. „Ty słyszałaś, jest taki poeta Wencl?”. „Eee, to Niemiec albo Żyd”. „Anienie, to Polak, patriota. Właśnie go wycięli z listy lektur”. „Kto?! Za co?”. „To nasz człowiek, popiera Prezesa”. „Wencl, mówisz?”. „Jakoś tak”. „Są lody Wencl, może firma rodzinna od pokoleń: „Oj, nie wiem, pisowcy nie potrafią zarabiać”. „Prawda! To nasz Antoś już nie poczyta tego Wencela?”. „Wencla. Ale my jeszcze wygramy i będzie go miał na maturze”. „!”. „Ja myślę, Joanka, że czas na bibuły. Musimy Wencla odbić i skolportować”. „Tak!”. „Norwida też wywalili”. „Niech idą razem!”. „Damy w bibułę jeden wiersz Cypriana Kamila, jeden Wencela, orędzie ostatnie Prezesa i wers z Biblii. I się to powieli u Mietka”. „Trzeba”. „Kamil Norwid nam będzie z nieba błogosławił”. „A ten Wencl jeszcze żyje?”. „Jeśli go nie zabili, żyje. Ale to klasyk. Może zaraz przestać”.

Biblioteka Narodowa, wycieczka w rezerwacie książek na wymarciu. Wchodzi przewodniczka, za nią naście osób w wieku późnoszkolnym. „Na razie pochodźcie sobie swobodnie. Rozejrzyjcie się. Tylko cicho”. Młody w dresie à la piżama do koleżanki: „Ty wiesz, co mamy robić?”. „Rozejrzeć się swobodnie”. „No ale gdzie?!”. „Nie jęcz, udawaj”. Chyłkiem obserwuję, jak błąkają się między regałami, patrząc to na nas, to w sufit, to w okna. Swobodnie. Przewodniczka: „Koniec pracy samodzielnej, teraz szkolenie”. Wskazuje na mnie: „Teraz nawiążę do stolika tej pani. Oto przeciętny warsztat pracy w bibliotece. Pani siedzi z wodą, można mieć wodę. Posiada w uszach słuchawki. Chodźcie państwo bliżej”. Nu dobrze, siedzę spokojnie, zdjęć mi nie mogą zrobić, pora karmienia jeszcze nie nadeszła. Przewodniczka: „Pani ma książki z magazynu, prawda?”. „Prawda” – odpowiadam, iskając się nerwowo. Ta na zakłopotaniu: „Pytałam dzieci, by nauczyły się rozpoznawać, ale dziękuję za aktywność”. Dzieci wgapiają się we mnie z rozbawieniem. „Zaraz sobie idziemy i będzie pani mogła pogrążyć się w lekturze”. Poszli pod sąsiedni regał. Młody w piżamie do koleżanki, tonem autodopieszczenia: „Jestem głodny, wyjmę baton”. „Tu chyba nie wolno”. „To mnie dołuje, muszę jeść”. Wskazał na mnie: „Myślisz, że ta babka jest prawdziwa?”. „W sensie?”. „Nie wiem, matka mi mówiła, że jak są wycieczki, to się opłaca statystów”. ©

HISTORIA

REKONSTRUKCJE HISTERYCZNE

„Targowica!", „13 grudnia!", „kolaboracja!" – politycy pełnymi garściami czerpią z repertuaru historycznych skojarzeń. Jakim kosztem?

AGNIESZKA HASKA

Panie pośle, to nie przystoi! Panie pośle, może już wystarczy!" – krzyknął ktoś do jednego z posłów PiS, którzy 7 lutego przepychali się ze strażą marszałkowską, próbując wprowadzić do Sejmu Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Szarża na strażników była kolejną sceną w spektaklu politycznym, w którym chodzi nie tylko o odzyskanie władzy, ale przede wszystkim o to, którą opowieść głosujący wybiorą przy następnej okazji. Czy będzie to opowieść nowego rządu o tym, jak rozlicza lata panowania autorytarnej władzy, czy może opowieść nowej opozycji o toczącym się właśnie zamachu stanu i dyktaturze?

Otóż w tych opowieściach nie ma niczego nowego. Choć aktualny spektakl wydaje się nie mieć precedensu, to polski parlamentaryzm nie takie sceny przez ostatnie 105 lat widział.

Nie bić w mur głową przeciwnika

Wbrew słynnym słowom Andrzeja Leppera sprzed ponad dwóch dekad, że Wersal się skończył, gdy do Sejmu weszła Samoobrona, zachowanie powagi, wysoki poziom debaty publicznej czy po prostu spokój były w historii naszej niższej izby parlamentu raczej wyjątkiem niż regułą. Już w Sejmie Ustawodawczym, działającym w latach 1919-21, na porządku dziennym były wrzaski, gwizdy, krzyki i walenie w pulpity, a także granie na trąbkach i piszczałkach. Wyzywano się od chuliganów, tchórzy, sprzedawczyków czy szuj, a na sali sejmowej zdarzały się bójki między posłami.

Czuwająca nad bezpieczeństwem podczas posiedzeń Milicja Ludowa nie dawała sobie rady z niesfornymi i hałasującymi parlamentarzystami, w związku z czym po jednej z awantur sejmowych, która miała miejsce w styczniu 1921 r., zapadła decyzja o powołaniu straży marszałkowskiej. Ale zadymy w parlamencie się nie skończyły, a wręcz przybrały na sile. W Sejmie I kadencji przerywano sobie nagminnie wrzaskami i obelgami (w tym wyzwiskami od zbirów i morderców), odśpiewywano pieśni, a awantury – jak podczas uchwalania w 1925 r. reformy rolnej – były tak gorące, że przerywano posiedzenia.

Po przewrocie majowym, a zwłaszcza po wprowadzeniu autokracji przez Józefa Piłsudskiego pod hasłem sanacji i po procesie brzeskim w 1930 r., awantury polityczne nie ustawały – były brutalniej tłumione. W 1928 r., podczas inauguracyjnego posiedzenia Sejmu II kadencji kilku posłów, którzy podczas przemówienia Piłsudskiego wznosili okrzyki „Precz z faszystowskim rządem!", na polecenie ministra spraw wewnętrznych generała Felicjana Sławoja Składkowskiego zostało wyniesionych z sali sejmowych przez policję i poturbowanych. Pytanie Brunona Jasieńskiego z wiersza „Rząd czy nierząd" zadawane było w II RP często i przez wszystkich, a winą za chaos i ówczesny spektakl polityczny każda ze stron obwiniała przeciwników.

Gazety pisały o „grach i zabawach dziecinnych", nierzadko wyśmiewając kolejne zajścia – w 1927 r. satyryczny „Cyrulik Warszawski" wydrukował propozycję nowego regulaminu sejmowego, według którego rozwiązaniem problemów byłby zakaz mówienia czegokolwiek podczas obrad, wygrywania na instrumentach i urządzania bójek. „Poseł o wyjątkowo wojowniczym temperamencie może się bić z myślami lub głową o mur nie dłużej jak 5 minut, co nikomu nie przeszkadza i znakomicie wpływa na odzyskanie równowagi umysłu poselskiego, jednakże zaznacza się i podkreśla, że do bicia głową o mur nie wolno używać głowy swego przeciwnika politycznego" – pisał „Cyrulik". Jako kary zaś dla krnąbrnych posłów proponowano m.in. „przepisanie do 5000 razy kaligraficznie mądrych sentencyj", marszobiegi dookoła Sejmu, przysiady albo areszt z twardą pryczą i głodówką.

Robot podpisuje bez zmęczenia

Motyw prezydenta sterowanego z tylnego siedzenia i podpisującego wszystko, co pasuje wybranej opcji politycznej, też nie jest odkryciem ostatnich lat. W 1931 r. ukazała się powieść satyryka, a zarazem ówczesnego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jana Karczewskiego pt. „Rok przestępny". Była wymierzona w Ignacego Mościckiego postrzeganego przez niektóre kręgi jako marionetka w rękach Piłsudskiego.

Oto w krainie zwanej Platanią po obaleniu despotycznego króla Mściwoja XI walczą ze sobą dwie siły polityczne: liberalni republikanie i konserwatywno-ludowi członkowie partii agrarnej. Rozwiązaniem konfliktu i jednocześnie ciągłej obstrukcji w rządzeniu jest powołanie na prezydenta specjalnego robota. „Automaty sprzedają nam butersznyty, piwo, segregują listy na poczcie, pilnują drzwi od złodziei (...) dlaczego powiadam, jeśli wola ludu wymaga od swego reprezentanta właściwie tylko i jedynie automatycznego wykonania ustaw, dlaczego funkcji tej nie ma spełnić automat?".

Robot, nazwany Platanusem, potrafi „podpisywać akty, wygłaszać przemówienia, nagrane uprzednio przez ministra spraw zagranicznych lub jakiegoś innego", pracuje „bez omyłki, zmęczenia", a co najważniejsze „bez żadnych kosztów prócz ceny prądu i minimalnych wydatków na konserwację". Propozycja zostaje przyjęta z entuzjazmem przez wszystkie partie, choć dochodzi do małego sporu na temat wyglądu roboprezydenta: uzgodniono w końcu, że będzie zmieniał twarz w zależności od tego, która opcja wygra wybory parlamentarne. I rzeczywiście, układ polityczny się sprawdza – Platanus podpisuje wszystko, czego chce premier o nazwisku Siwiec.

Ale do czasu – w tytułowym roku przestępnym przy składaniu autografu pod ustawą budżetową prezydentowi zawiesza się oprogramowanie. Okazuje się, że do robota brakuje też części zapasowych, bo ukradli je agenci sąsiedniego mocarstwa. Rząd kłamie, opozycja rozsiewa plotki – w końcu sytuację ratuje syn byłego króla, który przejmuje władzę.

Echo Gerwazego

Dzisiejsza opowieść Prawa i Sprawiedliwości o rządach bezprawia sięga pełnymi garściami do całego repozytorium kulturowych i historycznych skojarzeń. Ulubiony arsenał insynuacji Jarosława Kaczyńskiego, że za nową koalicją stoją tak naprawdę Rosja i Niemcy, że „mamy tu do czynienia z rozgrywką sił zewnętrznych", że „nastąpi anihilacja polskiego państwa, bo na czele tej koalicji stoi partia nie polska, a niemiecka" i wszelkie oskarżenia przeciwników politycznych o zdradę, też nie są niczym nowym. Okrzyk klucznika Gerwazego z „Pana Tadeusza": „Znam! znam głos ten! to jest Targowica!", niesie się w polskim dyskursie publicznym od końca XVIII wieku i jest jednym z podstawowych narzędzi nie tylko do walki o władzę, ale właśnie walki o rząd dusz. ↦

Obrady Sejmu, lata 30. XX w.

DOMENA PUBLICZNA / NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

MACIEJ MACIERZYŃSKI / REPORTER

Andrzej Lepper zakłóca obrady Sejmu. Warszawa, 25 stycznia 2002 r.

Postać zdrajcy jak żadna inna ustala linię konfliktu, wskazuje granicę pomiędzy „nami" – honorowymi, prawymi, dbającymi o dobro ojczyzny patriotami, a „nimi" – wrogami, którzy chcą nas zniszczyć. Gry w zdradę za podstawowy cel mają władzę i kontrolę nad wspólnotą, a chodzi w nich nie tylko o kształtowanie rzeczywistości, ale przede wszystkim tożsamości grupowej. Ustala ona biało-czarną wizję świata, gdzie wciąż zagrażają wspólnocie podstępni zdrajcy, którzy są wszystkim, czym „my" nie jesteśmy. Nie chodzi nawet o to, czy ktoś faktycznie zdradził – samo oskarżenie wystarczy; jeśli wspólnota uzna, że ktoś współpracował z wrogiem, może zostać napiętnowany i wykluczony.

Po *de facto* przegranych przez PiS wyborach zdrajca stał się w tej opowieści jeszcze bardziej potrzebny, bo jest kogo oskarżyć o polityczne niepowodzenia. Ale motyw zdrady nie jest tylko narzędziem tej partii: przecież różne osoby w wypowiedziach publicznych mówiły o agenturze Putina w szeregach dawnego obozu władzy. I tu znów – z pewnego punktu widzenia nie jest istotne, czy to prawda, czy tylko insynuacja. Chodzi o grę w zdradę i kto kogo o nią oskarża.

Oskarżeń z repozytorium kulturowych skojarzeń jest więcej. Gdy Kaczyński porównał przymusowe dokarmianie Kamińskiego do historii swojego wuja, Stanisława Miedzy-Tomaszewskiego, ps. „Miedza", aresztowanego w 1941 r. przez gestapo i katowanego na Szucha, po drugiej stronie politycznej barykady wybuchło oburzenie tą analogią. Ale po najczarniejsze karty polskiej historii sięga się po to, żeby wpisać się w narrację o prześladowaniu polskich patriotów.

Jeden mi tylko przystoi strój

Narrację, dodajmy, rodem z XIX wieku. Dzień po wyprowadzeniu Kamińskiego i Wąsika z pałacu prezydenckiego Przemysław Czarnek zaapelował o pomoc finansową dla rodzin aresztowanych, dodając: „dzieci dziś płaczą, żony się modlą na różańcach o ludzi, którzy zostali bezprawnie osadzeni w areszcie". To obraz prawie żywcem wyjęty z patriotycznych rysunków o powstaniach listopadowym i styczniowym; kobiety rozpaczają za mężami-patriotami nocą pojmanymi przez wroga (i wywiezionymi na Sybir), a wśród płaczu dziatek rodziny wznoszą modlitwy do Boga o ocalenie ukochanych i Ojczyzny.

Owszem, żony skazanych nie do końca wpisały się w tę romantyczną narrację, bo podczas występów publicznych nie ubierały się na czarno (recytując przy tym „Czarną sukienkę" Konstantego Gaszyńskiego z 1832 r.: „Lecz gdy nas zdrady wrogom przedały / Gdy zaległ Polskę najezdzców rój, / Gdy w więzach jęczy naród nasz cały / Jeden mi tylko przystoi strój"), ale manifestacje pod więzieniami w Przytułach Starych i w Radomiu czerpały z niej pełnymi garściami. Uzupełniając ją o dosłowne odniesienia do stanu wojennego.

Bo właśnie stan wojenny wykorzystywany jest najczęściej. PiS przy udziale prezydenta tak układał kalendarz procedur, żeby rząd koalicji 15 października stał się w opowieści opozycji „koalicją 13 grudnia". Aresztowanie Kamińskiego i Wąsika tę narrację uzupełniło – oto mamy pierwszych internowanych czy więźniów politycznych. Na plakacie wyrażającym solidarność z nimi wykorzystano solidarycę, a pod celą śpiewano im piosenki Kaczmarskiego oraz pieśń „Ojczyzno ma" z mszy odprawianych w kościele Stanisława Kostki przez ks. Jerzego Popiełuszkę.

Przejęcie TVP i przerwanie nadawania TVP Info zostało nazwane „zamachem jak Jaruzelskiego" oraz „metodą faktów dokonanych, komunistyczną, bolszewicką" (Przemysław Czarnek), „stanem wojennym w Polsce" (Arkadiusz Mularczyk) i atakiem nie tylko na wolne media, ale i wolną Polskę. Nawiasem mówiąc, przy tej okazji widać też było korzystanie bez ceregieli z symboli dawnej opozycji i odwracanie znaczeń – zaledwie dwa lata wcześniej hasła „Wolne media, wolna Polska" skandowano na protestach przeciw Lex TVN. A posłowie i posłanki PiS podczas protestów w obronie Trybunału Konstytucyjnego krzyczą „Kon-sty-tu-cja". „Donoszenie do Brukseli" przestało być zdradą – PiS teraz informuje Unię, że w Polsce źle się dzieje.

Jest jednak coś, co odróżnia dzisiejszy polityczny spektakl od wszystkich wcześniejszych: nowy obóz rządzący w swoją opowieść wpisuje rozliczenia poprzedniej władzy. Do tej pory dominowały raczej „grube kreski" – skupiano się na zmianach i odbudowaniu tego, co miało być zniszczone, a ewentualne porachunki z poprzednikami pozostawiano w sferze wypowiedzi publicznych. Tym razem w nowej opowieści łączą się wątki rozliczeń i naprawiania państwa oraz doznanych krzywd.

Bo rachunki krzywd w sferze publicznej są naprawdę spore. Choć obóz rządzący deklaruje, że jego celem jest znów nowoczesna, otwarta Polska w zjednoczonej Europie – co kieruje w stronę opowieści o tolerancji, solidarności i poszanowaniu prawa – to oczekiwania jego wyborców są o wiele wyższe. Tak zwana deprywacja kontroli, którą odczuwali przez osiem lat rządów PiS, skutkuje wołaniem o szybkie i skuteczne rozprawienie się z głównymi postaciami dawnej władzy i jej poplecznikami, w X-owych (dawniej twitterowych) wojenkach określanych... znów za pomocą tych samych, historycznych formuł: „pisowskimi kolaborantami", „funkcjonariuszami propagandy".

Opowieści z podręczników

Aktualny spektakl polityczny oglądamy z satysfakcją, rozczarowaniem, złością czy rozbawieniem, a na jego medialności różne figury życia publicznego próbują budować kapitał polityczny. Problem w tym, kto właściwie zasiada na widowni. Czy uda się utrzymać jej zainteresowanie sceną polityczną? I za jaką cenę? Otóż demograficzna prawda jest taka, że ponad 1/3 dzisiejszej ludności Polski urodziła się po 1989 r. Dla tych osób nie tylko II wojna światowa, ale i stan wojenny to nierzadko opowieści wyłącznie z podręcznika szkolnego. Mają z nimi taki sam związek emocjonalny jak z bitwą pod Grunwaldem, a czasy PRL postrzegają jak filmy Stanisława Barei.

Ba, w zeszłorocznych wyborach mógł głosować rocznik 2005, czyli osoby, które urodziły się już w Unii Europejskiej. Do nich narracja o tym, że nie ma Polski poza zjednoczoną Europą, może nie trafiać – nie znają innej rzeczywistości i mogą chcieć ją zmienić, jeśli ktoś postanowi zbić na tym kapitał polityczny – zwłaszcza angażując do tego wypróbowany dyskurs zdrady.

Jak pisał Guy Debord w klasycznej książce „Społeczeństwo spektaklu" z 1967 r. – spektakl, będący mechanizmem jednoczenia społeczeństwa, wywraca rzeczywistość na opak, jest afirmacją pozoru, a faktycznie oddziela od obrazu świata. Trwająca właśnie walka na opowieści i rząd dusz kompletnie zakrywa to, co dzieje się naprawdę, choćby tuż za naszymi granicami, gdzie koszmarne obrazy z historii niebezpiecznie zlewają się z tymi z teraźniejszości. Więc może faktycznie już wystarczy? © AGNIESZKA HASKA

DR AGNIESZKA HASKA *jest kulturoznawczynią i socjolożką, członkinią zespołu Centrum Badań nad Zagładą Żydów, a także badaczką historii i kultury popularnej Dwudziestolecia. Autorka książki „Hańba! Opowieści o polskiej zdradzie" (WAB, 2018), razem z Jerzym Stachowiczem napisała także książki „Śniąc o potędze" (o przedwojennych historiach alternatywnych, NCK, 2013 r.), „Bezlitosne. Najokrutniejsze kobiety dwudziestolecia międzywojennego" (Muza, 2015) oraz „Jasnowidze i detektywi" (Post Factum, 2019).*

Fundacja Tygodnika Powszechnego

Mamy się czym pochwalić: od piętnastu lat współorganizujemy **Conrad Festival** i od dziesięciu – **Copernicus Festival**. Wyprodukowaliśmy dwa filmy dokumentalne: **„xABo: Ksiądz Boniecki"** i **„Ukos światła"**. Prowadzimy akcję **„Lekcje czytania"** i pomagamy rozwijać **„Podkast Tygodnika Powszechnego"**.

Nasz nowoczesny projekt technologiczny **rE-medium** wspiera suwerenność wydawniczą „Tygodnika Powszechnego", a niedługo będzie wspomagać inne niezależne polskie media.

Wspólnie z Tobą chcemy krok po kroku zmieniać świat na lepsze. Naprawdę

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

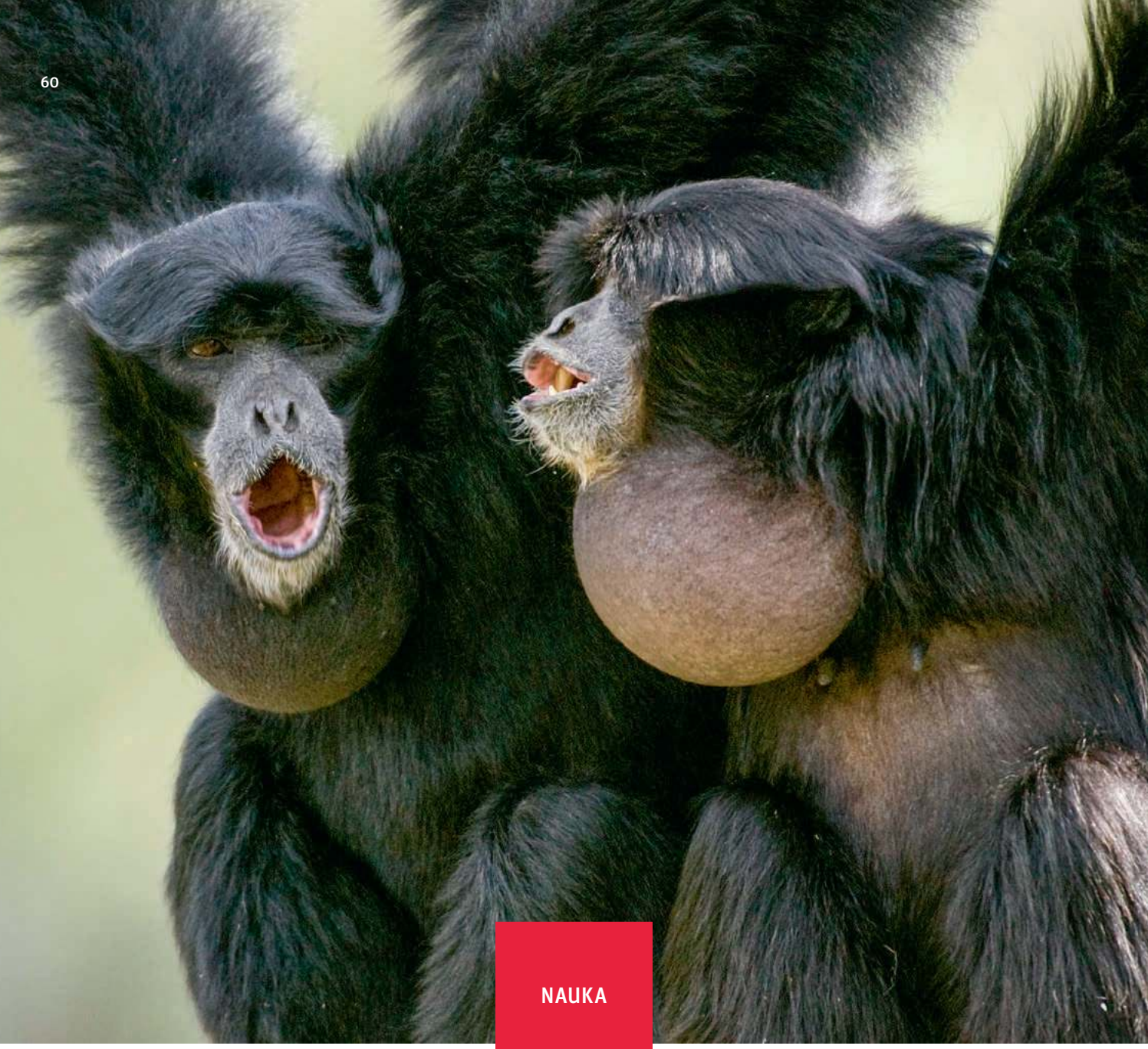

NAUKA

NIKT LEPIEJ NIE ŚPIEWA O MIŁOŚCI

JUSTIN D'AGOSTINO, PRYMATOLOG:

Pieśni siamangów są bardzo głośne. Samiec i samica występują w duecie, jakby komunikowały: „Zobaczcie, jak świetnie umiemy razem śpiewać! Jak dobrze zgraliśmy się w rytmie, jak dobrze opanowaliśmy tę melodię. To nasz teren!".

MARIA HAWRANEK: Kim są siamangi?

JUSTIN D'AGOSTINO: Siamangi to wielkie ssaki naczelne, należące do rodziny gibonowatych. Są spokrewnione z orangutanami, razem z nimi żyją na Sumatrze. Siamangi są największe wśród gibonów. Najbardziej fascynują mnie ich pieśni wykonywane w duecie przez samca i samicę. Najdłuższa, jaką udało mi się nagrać, trwała prawie 36 minut.

Ich nadęty worek wokalny wygląda jak obcy albo druga głowa.

Tak, kiedy widzisz go po raz pierwszy, możesz pomyśleć, że coś z tym osobnikiem jest nie tak. Ten worek wypełnia się powietrzem i pozwala wykonywać różnorodne nuty w pieśniach. Mogą śpiewać trochę tak, jakby grały na akordeonie.

Dlatego wybrał je Pan jako obiekt badań?

W lesie deszczowym można badać wiele rzeczy: ekologię, zachowania zwierząt, ale pieśni siamangów są jak wielki wykrzyknik. Gdy do twoich uszu dojdzie ta pieśń, to zapiera dech w piersiach. Pieśń jest głośna, złożona, składa się z różnorodnych nut – byłem ciekawy, jaką pełni funkcję.

Jak wcześnie zaczyna się dzień w terenie?

Jeśli poprzedniego dnia byłeś w stanie podążać za badaną grupą aż do momentu dotarcia na miejsce spoczynku, to kolejny dzień zaczyna się wcześnie. Budzisz się o 3.40, może 4 rano, pakujesz sprzęt: GPS-a, lornetkę, notatnik, maczetę, aparaty fotograficzne i urządzenia nagrywające oraz baterie. Przygotowujesz prowiant, ubierasz skarpety chroniące przed pijawkami, ok. 4.45-5.00 ruszasz w drogę. Chcesz dotrzeć do drzewa, na którym spędziły noc. Jeśli odejdą przed twoim przyjściem, możesz ich szukać przez cały następny dzień.

No to mam już swoją grupę siamangów. Co dalej?

Spędzasz z nimi cały dzień. To łatwiejsze w przypadku zwierząt przyzwyczajonych do obecności człowieka – wówczas jesteś dla nich obojętnym obserwatorem, częścią codziennej rutyny. Zachowują się jak zwykle. Jeśli grupa nie jest oswojona, starasz się nie rzucać w oczy i zachowywać jak najciszej – mogą się wystraszyć trzasku gałązki i już ich nie ma. W czasie badań zdarzyło mi się to tylko dwa razy. Indonezyjczycy kochają puszczać muzykę na telefonach i chociaż wiele razy prosiłem moich lokalnych asystentów, by tego nie robili, to gdy tylko zaczynali się trochę nudzić, nie mogli się oprzeć. I siamangi pierzchały.

Często trzeba notować, co robią?

Każdy z pobytów badawczych to od 8 do 12 tygodni w stacji. Pomiary zwykle robi się co 5, 10 lub 15 minut – starasz się ustalić, co dokładnie robią, jakbyś robiła zdjęcie aparatem lub swoim umysłem. Wyobraźmy sobie, że jeden ze siamangów odpoczywa. Czy ma oczy otwarte, czy zamknięte? W jakiej jest pozycji – leży, siedzi? Co robią pozostałe? Spółkują? Iskają się? Śpiewają? Próbujesz je też zidentyfikować – po imionach, które im nadałaś, albo chociaż czy to jest dorosły osobnik, czy młode. Jeśli gałęzie utrudniają identyfikację i obserwację, to zapisujesz: „niezidentyfikowany naczelny poza zasięgiem wzroku". Ale nadal obserwujesz i to wszystkimi zmysłami – może usłyszysz szelest gałęzi, który wskaże, że się porusza? Albo, że sika? Oczywiście zawsze próbujesz zająć jak najlepszą pozycję obserwacyjną. Jeśli masz asystentów i dobrze się z nimi zgrasz, możecie ustawić się w różnych punktach i potem zweryfikować wasze obserwacje. I tak przez cały dzień – obserwujesz i notujesz.

A jeśli grupa zacznie się poruszać?

No to przed nami jest wyzwanie, by za nimi nadążyć. Siamangi są doskonale zaadaptowane do poruszania się w koronach drzew, szybko przeskakują z jednej gałęzi na drugą. My musimy najpierw zebrać ekwipunek, a potem się czołgać albo wycinać drogę maczetą. Czasem mija 45 minut od czasu, kiedy je ostatnio widziałaś: zapisujesz więc w notatkach: „relokacja". A potem znów ustawiasz się na pozycji i obserwujesz.

Jak się nie zgubić w lesie deszczowym o 5 rano, gdy jest całkiem ciemno?

Jest niezawodny sposób – trzeba ufać Indonezyjczykom. Jestem zafascynowany ich orientacją w terenie. Potrzebowałem 3-4 tygodni, by poczuć się w tym lesie komfortowo i poruszać się samodzielnie. Indonezyjczycy świetnie go znają. W tym lesie mieszka wiele gatunków węży, pojawiają się też – choć niestety rzadko – tygrysy, niedźwiedzie i słonie. Lepiej nie zostawać samemu na noc.

Wyobrażam sobie, że czasem trudno dostrzec siamangi nawet z lornetką. Przecież większość czasu spędzają w koronach drzew.

Najłatwiej podążać za dźwiękiem – drżeniem gałęzi, którymi poruszają, kiedy skaczą albo lądują. Zwykle najpierw je słyszysz, a potem szukasz dogodnej pozycji obserwacyjnej. Zajmuje to chwilę, zanim nauczysz się odróżniać w gęstwinie lasu gałąź od nogi albo ręki naczelnego, a także czym różnią się jedne gatunki naczelnych od innych.

Wie pani, jakie zwierzę przyprawia prymatologa o największą frustrację?

Nie wiem.

Wiewiórka! Ona też żyje w koronach drzew, też skacze z jednego na drugie i wywołuje ruchy oraz szelesty liści. Kiedyś przez trzy godziny śledziłem wiewiórkę przekonany, że idę za grupą siamangów, które zostawiłem poprzedniego dnia w podobnym miejscu, gdzie rano usłyszałem obiecujący szelest. Byłem pewien, że to one!

Jeśli idziesz przez las, musisz skupiać się na podłożu – gdzie postawić stopę, żeby się nie poślizgnąć czy potknąć. Kiedy idziesz pod górę, ręce masz zajęte trzymaniem się drzew i gałęzi dla asekuracji. W takich chwilach trudno zobaczyć zakamuflowane w górze naczelne, które się nie poruszają. Możesz usłyszeć je tylko, gdy śpiewają.

Ale nie śpiewają zbyt często? Przeczytałam, że poświęcają na to tylko 1-2 proc. dnia.

To, ile śpiewają, zależy od liczby grup na danym terenie i być może również od pory roku. Początkowo sądziłem, że to częsta aktywność. Zaskoczyło mnie, że pierwsza śledzona przeze mnie grupa śpiewała raz na tydzień. To było dość frustrujące odkrycie – pojechałem zbierać dane do badań wokalizacji siamangów, udało mi się znaleźć i skutecznie śledzić ↦

Na zdjęciu: para siamangów wielkich (Symphalangus syndactylus) we wspólnym śpiewie. Nowa Zelandia.

ANDREW WALMSLEY / B&EW

↦ grupę, a tymczasem one nie śpiewają przez cztery dni z rzędu.

Jednak w innym miejscu, gdzie pracowałem, grupy śpiewały częściej – trzy lub cztery razy w tygodniu. Zresztą tam było więcej grup. Nawet jeśli nie śpiewała ta moja, robiła to jakaś inna.

Śpiewają, by oznaczyć terytorium?

Pieśń ma wiele funkcji. Jedną z pewnością jest komunikowanie zajęcia terytorium – nie tylko innym grupom siamangów, ale też innym gatunkom zwierząt, z którymi je dzielą: orangutanom, makakom, langurom. Siamangi śpiewają bardzo głośno, czasem chodzą wokół korony drzewa, by wyśpiewać pieśń na wszystkie strony świata i w ten sposób dotrzeć z wiadomością jak najdalej: „hej, jesteśmy tu, tu są drzewa, na których żerujemy i śpimy". Pozwala im to opisać i obronić teren bez narażania się na fizyczne zranienia.

Inna teoria, która mnie pociąga bardziej, to śpiewanie w celu zacieśniania więzi w parze. Samiec i samica śpiewają w duecie, by – pozwolę sobie na antropomorfizację – oznajmić, że są w relacji: „zobaczcie, jak świetnie umiemy razem śpiewać! Jak dobrze zgraliśmy się w rytmie, jak dobrze opanowaliśmy tę melodię! To my jesteśmy dominującą parą na tym terytorium".

Różne funkcje pieśni można badać, analizując długość ich trwania, nuty, jakie się w nich pojawiają, ale także głośność. Bo gdyby pieśń służyła wyłącznie budowaniu i wzmacnianiu więzi, wówczas samiec i samica śpiewaliby ją do siebie. Ale jeśli wykonują ją tak głośno, to znaczy, że wysyłają komunikat również do innych zwierząt.

Są sobie wierne przez całe życie?

Strategie rozrodcze siamangów badają m.in. Susan Lappani i Ryne Palombit – oni jako pierwsi podważyli teorię, że siamangi pozostają w ściśle monogamicznych związkach przez całe życie. Zdrady się zdarzają, a to, czy tak się dzieje, prawdopodobnie zależy od struktury grupy. Zazwyczaj, jeśli do tego dochodzi, to samica kopuluje z kilkoma samcami, nie odwrotnie. W grupach, gdzie jest więcej niż dwóch samców, kopulacje z innymi samcami trwają krócej i zdarzają się rzadziej niż wtedy, gdy w grupie jest jeden lub dwóch samców.

Kiedyś przez trzy godziny śledziłem wiewiórkę przekonany, że idę za grupą siamangów.

Z ilu osobników może się składać grupa? To są rodziny?

Najmniejsza grupa, jaką śledziłem, to była para z młodym, a największa liczyła pięć siamangów – parę dominującą, innego dorosłego samca, niedojrzałą samicę i młode, którego płci nie potrafiłem rozróżnić. Kiedyś śledziłem też samotną samicę.

Jak długo żyją? W trakcie życia osobniki zmieniają grupy?

Siamangi w niewoli żyją długo, 40-50 lat. Szacowałbym, że w dziczy znacznie krócej: 20-30 lat. W wieku 7-9 lat młode osiągają dojrzałość płciową i odchodzą. Przez jakiś czas żyją same, dołączają do innych grup młodych samców lub samic albo próbują zająć dominującą pozycję w innej grupie.

Dlaczego starają się tworzyć trwałe więzi?

Próbuję patrzeć na przyrodę systemowo i wydaje mi się, że najbliższym podobnym przykładem takiej relacji są ptaki śpiewające w duetach. Wśród nich zwykle samice są bardzo wybredne, jeśli chodzi o dobór partnerów. Samce muszą mieć najpiękniejsze piórka, najlepiej tańczyć lub śpiewać. Kiedy już samica się zdecyduje na samca, u wielu gatunków więź między nimi pozostaje silna przez lata. Wydaje mi się, że wśród wielu gibonów, w tym siamangów, dzieje się podobnie. Jeśli nawiązanie więzi zależy od skoordynowanej wokalizacji, to samica na podstawie pieśni może analizować kondycję samca – np. jak głośno jest w stanie zaśpiewać nutę, co niesie informację o wydolności jego płuc i ogólnej kondycji fizycznej.

Jeśli spojrzysz na wysiłek i czas, jaki siamangi poświęcają na skoordynowanie swoich pieśni, wydaje się sensowne, że wolą pozostać w tym samym duecie, niż przechodzić przez ten kosztowny proces jeszcze raz. No chyba że są inne samce w pobliżu.

Śpiew to gra wstępna do kopulacji?

Sam nie badałem strategii rozrodczych siamangów, ale czytałem, że siamangi potrzebują czasu na zbudowanie więzi. Zanim dojdzie do kopulacji, odbywają się konkury. Może to trwać kilka tygodni, a nawet i dwa miesiące. W tym czasie pracują nad wspólną pieśnią.

To zawsze jest pieśń na dwa głosy?

Nie zawsze. Czasem pojawiają się wtręty innych osobników. Być może to momenty, kiedy młodsi mogą się uczyć pieśni od rodziców, wujków albo cioć, by później zróżnicować własną. Ale główna struktura pieśni, z jej różnymi częściami składowymi, należy do dwóch dorosłych osobników. Zwykle są parą.

Nie jest jasne, na ile ta pieśń jest uwarunkowana genetycznie. Z pewnością geny warunkują to, jakie nuty siamangi są w stanie zaśpiewać. Okazuje się jednak, że już to, w jakim porządku są śpiewane i jak długo są wyśpiewywane, jest u siamangów dość zróżnicowane i elastyczne. Wierzę, że wynika to z procesu uczenia się od śpiewającej pary.

O jakich dźwiękach w ogóle mówimy?

Jednym z nich są tzw. bumy na niskich częstotliwościach, które mogą być płaskie lub wznoszące – wtedy na spektrogramie, czyli wykresie pokazującym częstotliwość i intensywność dźwięku, układają się w łuk. Wydają z siebie również szczeknięcia o różnej długości, nazywane zwyczajowo szybkimi i długimi szczeknięciami. Są też krzyki, które pojawiają się w różnych częściach tzw. wielkiego zawołania między samcem a samicą. Albo we frazie US2, na której skupiam się w moich badaniach.

A czym jest wielkie zawołanie? To kulminacja?

Trochę się zagalopowałem. Zatem bumy, szczeknięcia i krzyki to główne nuty, które pojawiają się w różnych segmentach pieśni. Czasami, choć nie zawsze, zanim dojdzie do wykonywania pieśni, pojawiają się pomruki.

Intro?

Jeszcze przed intro. Możemy to nazwać rozgrzewką. Później jest intro – wprowadzenie. I to jest prawie jak jazz – pojawia się sekwencja bumów, krzy-

ków i szczeknięć, które następują po sobie, potem nagle się zatrzymują, by znów powrócić.

Następnie pieśń zaczyna się robić bardziej zorganizowana, szczególnie w sekwencjach między wielkim zawołaniem a interludium. Najlepiej opisał to Thomas Geissman, który określił, że wielkie zawołanie występuje w 32 wariacjach i dzieli się na kilka segmentów. Jeden z tych segmentów to fraza US2 – skrót pochodzi od słów: *ullulating scream* – zawodzący krzyk. W wykonaniu siamangów to seria bumów i szczeknięć z odrobiną krzyku, która kończy się na bumach. Geissman twierdzi, że pojawia się w stałych momentach wielkiego zawołania, kiedy oba siamangi są u szczytu koordynacji. Faza US2 zaczyna i kończy wielkie zawołanie. To zaledwie kilka sekund z mogącej trwać i 36 minut pieśni.

Samiec i samica mają swoje ulubione kawałki?

Wyraźnie słychać dwa głosy, w niektórych momentach samica i samiec śpiewają te same nuty, w innych nie. Geissman, który badał siamangi w niewoli, zauważył, że niemal zawsze to samiec wydaje zawodzący krzyk. Samicy też się to zdarza, ale głównie robi to samiec. Moje obserwacje w terenie są podobne. Są więc jakieś zasady dotyczące tego, który śpiewak wykonuje konkretny fragment.

Jak bada Pan zróżnicowanie frazy US2?

Posługujemy się metodami matematycznymi. Badam każdą nagraną pieśń na spektrogramie, wydzielając w specjalnym programie fragment, którego parametry mnie interesują – czas, częstotliwość, wysokość decybeli. To może być bum, szczeknięcie, krzyk. Potem te dane eksportuję do programu, który analizuje je przez matematyczne równanie, mierzące zróżnicowanie dźwięków.

Zebrane wyniki wspierają hipotezę, że chociaż częściowo pieśń siamangów zależy od genów – produkcja nut czy generalna organizacja pieśni – to kiedy partnerzy śpiewają razem, robią to po swojemu.

Różnorodność pieśni wśród par może być efektem osobistej ekspresji?

W ewolucji zmienność jest kluczowa. Jeśli jakaś cecha jest bardzo sztywna, może uniemożliwiać adaptację w sytuacji, gdy natkniesz się na wyzwanie. Często im bardziej możesz być elastyczny, tym lepiej. Posiadanie umiejętności adaptowania nut, czasu ich wykonywania, zapewnia lepsze szanse na budowanie więzi i spółkowanie z partnerem. Jeśli to jest umiejętność zakorzeniona genetycznie, przekazywana z pokolenia na pokolenie, twoje młode też będą potrafiły to robić dobrze. I będą mogły się uczyć od dobrze śpiewającej pary.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR JUSTIN D'AGOSTINO jest antropologiem i prymatologiem, badaczem pieśni siamangów żyjących na wolności. Wykładowca Southern Illinois University, stypendysta Fulbrighta.

Można by powiedzieć, że mama mówi do swojego dziecka tak: „Hej, mały, ja i tato mamy taką super pieśń miłosną, pracujemy nad nią od lat. Naucz się jej, ale posłuchaj też wujka i ciotki, dodaj coś swojego, i śpiewaj, a znajdziesz miłość swojego życia"?

To byłoby coś w ten deseń. Choć gdyby to mówiła ludzka matka, mogłaby poszerzyć repertuar o granie na fortepianie, perkusji i wielu innych instrumentach.

Widziałam niedawno wystąpienie w ramach TED nieżyjącej już Karen Bakker „Could an orca give a TED talk", w którym opowiadała o wykorzystaniu sztucznej inteligencji w badaniach bioakustycznych. Czy sądzi Pan, że AI pomoże nam odcyfrować sens złożonej pieśni siamangów?

Jako naukowiec lubię myśleć, że wszystko jest możliwie. Jako badacz komunikacji skupiam się na informacji, jaką pieśń może przekazywać. By to zrozumieć, ważne jest obserwowanie tego, co dzieje się przed i po jej wykonaniu. Jest takie słynne badanie z lat 80., w którym badacze nagrali sygnały alarmowe oznaczające – jak sądzili – pojawienie się drapieżnika. Jedne dźwięki zdawały im się sygnalizować pojawienie się węża, drugie – orła.

Puścili grupie małp znajdującej się na ziemi dźwięki, które, jak sądzili, oznaczały pojawienie się węża. Naczelne wdrapały się na szczyt. Następnie puścili grupie znajdującej się w koronach drzew dźwięki mające sygnalizować orła – i małpy uciekły na ziemię. Dostosowywały swoje strategie obronne do rodzaju drapieżnika. Gdyby AI miała przetłumaczyć te przekazy na nasz język, powiedziałaby: „wąż, wąż, do góry na drzewo!". Albo: „Orzeł, orzeł, kryć się, w dół!".

Najciekawsze jest dla mnie to, że nie tylko naczelne kierowały się tymi sygnałami – posłuchały ich również inne gatunki, żyjące na tym terytorium. Więc jest to komunikat zrozumiały międzygatunkowo. Jeśli będziemy budować algorytmy AI wokół tego, co zaobserwowaliśmy, być może będzie mogła tłumaczyć zwierzęce komunikaty lepiej niż człowiek.

Jaką ciekawość chciałby Pan jeszcze zaspokoić w badaniu wokalizacji siamangów?

Dwie. Po pierwsze, chciałbym być lepszy w automatycznej interpretacji ich pieśni. Gdybym miał całą pieśń nagraną i mógł mieć algorytm, by ją skanować i analizować cokolwiek, co bym uznał za stosowne, to byłby przełom. Oszczędziłbym setki godzin, które zajęła mi analiza każdej jednej pieśni. Do tej pory mogłem spojrzeć tylko na kilka sekund frazy US2, tak wiele informacji mnie ominęło!

A druga rzecz, którą chciałbym zrozumieć – skoro już się udało ustalić, że pieśni siamangów są różnorodne – to jak wpływają na tę różnorodność rozmaite czynniki, np. to, jak długo para jest ze sobą. Jestem również w trakcie badania wpływu ludzkiej aktywności na pieśni siamangów. Puszczam im hałasy „przedludzkie" i „poludzkie": motocykle, piłę łańcuchową – i obserwuję, jak szybko uciekają, by zobaczyć, jak nasza obecność na terytorium wpływa na ich wokalizację. Czy będą śpiewać głośniej? O innych porach? Częściej czy rzadziej? To się okaże.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

JA, HERETYK

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI, PISARZ:

Zbliża się koniec świata,
więc trzeba podjąć decyzję, mówi Jezus.
A kto uważa, że już wybrał, ten jest zgubiony.
Dlatego Ewangelie to nadzwyczajna literatura
i dlatego, choć jestem niewierzący, je czytam.

TYMON MARKOWSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ SOWIŃSKI: Tobie, który napisałeś tyle o książkach, lektura nie sprawia już przyjemności. Jak to?

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI: Nie tyle lektura, co interpretacja. Bo w interpretacji w ogóle nie chodzi o przyjemność.

A o co?

Czyta każdy, ale interpretuje już niewielu. Bo interpretacja to ciężka robota: trzeba dużo wiedzieć, dużo przeczytać, ale też dużo doświadczyć, trzeba znać języki, konwencje, różne kultury i trzeba także umieć się przyznać, że się czegoś nie rozumie, czasem zmienić zdanie albo wejść w ostry spór. A to wymaga czegoś więcej niż oddania się przyjemnościom, które są zasadniczo pasywne, nierefleksyjne. Interpretacja to nie jest kraj dla letnich ludzi. Mało tu przyjemności, mnóstwo wymagań.

Czym jest zatem lektura?

Tworzeniem filiacji między ludźmi i tekstami. Nie chodzi o same teksty. Chodzi o świadomość, że dzięki tekstom ludzie mogą się jakoś ze sobą porozumieć, choćby na chwilę, co daje nadzieję, bo świat raczej spędza czas na tępych kłótniach. To właśnie staram się robić ze studentami. Nie przekazuję im żadnej wiedzy, ale przez trzy godziny staram się zawiązać wspólnotę porozumienia – niemal od podstaw, bo każdy skądinąd pochodzi, z innego języka, z innej kultury, z innej klasy.

I co, jeśli się uda?

To jest budujące: widzieć, że ludzie słuchają ze zrozumieniem, że podążają za argumentem, że wyciągają wnioski, że się nie zgadzają, ale potrafią swoją niezgodę uzasadnić. Tym się właśnie interpretacja różni od lektury: domaga się wysiłku składania argumentu, obrony stanowiska, a nie ślepego trwania przy swoim. A tyle jest tekstów niedoczytanych, niedomyślanych, niewyjaśnionych, że gdzie nie spojrzeć, to okazja do dyskusji. Zapominam ciągle, co Luter napisał albo Kierkegaard, dlaczego więc mam pamiętać, co kto nowego napisze?

Czyli jesteś konserwatystą?

W głębokim sensie tak, bo uważam, że przeszłość jest wciąż otwarta i przebogata i nie ma lepszego sposobu na jej konserwację niż reinterpretacja.

Jak to się ma do tego, że od ośmiu lat jesteś jurorem Nagrody Conrada, przeznaczonej dla literackich debiutantów?

To całkiem inna historia, instytucjonalna. Umiem czytać i wiem, co dobre, a co niedobre. Potrafię oddzielić ziarno od plew i własną satysfakcję od społecznej potrzeby. Jestem przecież od 12 lat szefem polskiej katedry na uniwersytecie oraz wydziału polskich studiów i wiem, jak skutecznie zajmować się polską kulturą, żeby ktoś inny znajdował w niej satysfakcję, i jak obronić polską kulturę przed zakusami bezwzględnych technokratów. Ale literaturze polskiej poza obowiązkami nie poświęcam wiele czasu.

Czyli ile?

Czytam, przeglądam, przerzucam, skubię, wydaję werdykt i tyle. Jakoś to wszystko za łatwe, za proste, zbyt się przewidywalnie układa. Jak ktoś przeczytał w życiu wagon różnych książek, to trudno mu dogodzić, niestety. Ale jako człowiek obowiązkowy i odpowiedzialny wiem, że moja obecność w jury Nagrody Conrada ma sens: moja rola okazjonalnego, lecz profesjonalnego czytelnika polskiej literatury pomaga osiągnąć porozumienie jej zagorzałym miłośnikom. To dla mnie spore wyzwanie.

Jak sobie z nim radzisz?

Czytam książki zawodowo od lat, więc mam w tym ogromne doświadczenie. Ale muszę się przyznać bez bicia: nie jestem wielkim fanem literatury. Nie przepadam za literaturą. Nie kocham literatury. Albo: przepadam, kocham, tyle że inaczej. Nie cierpię takiej literatury, która polega wyłącznie na opowiadaniu historii. Jak chcę historii, to włączam telewizor, bo wtedy nie muszę myśleć. Literatura opowiadająca jest piekielnie nudna, a do tego szantażuje odbiorcę, przekonując go, że ma coś szalenie ciekawego do przekazania, tylko trzeba uważnie podążać za narracją. Nie mam cierpliwości do opowieści, w których ktoś rozkoszuje się własnym opowiadaniem i stara się mnie przekonać, że muszę koniecznie dotrwać do końca, że muszę go do końca wysłuchać, bo inaczej stracę coś piekielnie ważnego.

Ja do literatury mam stosunek przerywany: lubię, jak się narracja rwie, jak się zawiesza, jak wykrawa dla mnie kawałek miejsca, z którym coś na własny rachunek zrobię.

I kto tak ma?

Proust, Musil, Kafka – oni mieli taki sam kłopot z narracją jak ja. Składali te swoje potworne, zakalcowate powieści z trudem do kupy, bo tak naprawdę nie byli w stanie ich ciągnąć na jednym oddechu. Frapuje mnie ta narracyjna astma, ten bezdech, w którym się pojawia szansa na interpretację. Nie cierpię więc, gdy ktoś redukuje rzeczywistość do opowieści, bo przecież istnieją – jest ich cała masa! – nienarracyjne sposoby istnienia, nienarracyjne sposoby doświadczania rzeczywistości. Ciągłość to sztuczka, po którą sięga się po to, żeby pokazać, jak doskonale panujemy nad rzeczywistością, w której nie ma dziur. A dziury są, i to ogromne, nie do zapełnienia.

Czy to jest odpowiedź na pytanie o Twój stosunek do polskiej literatury współczesnej? ↦

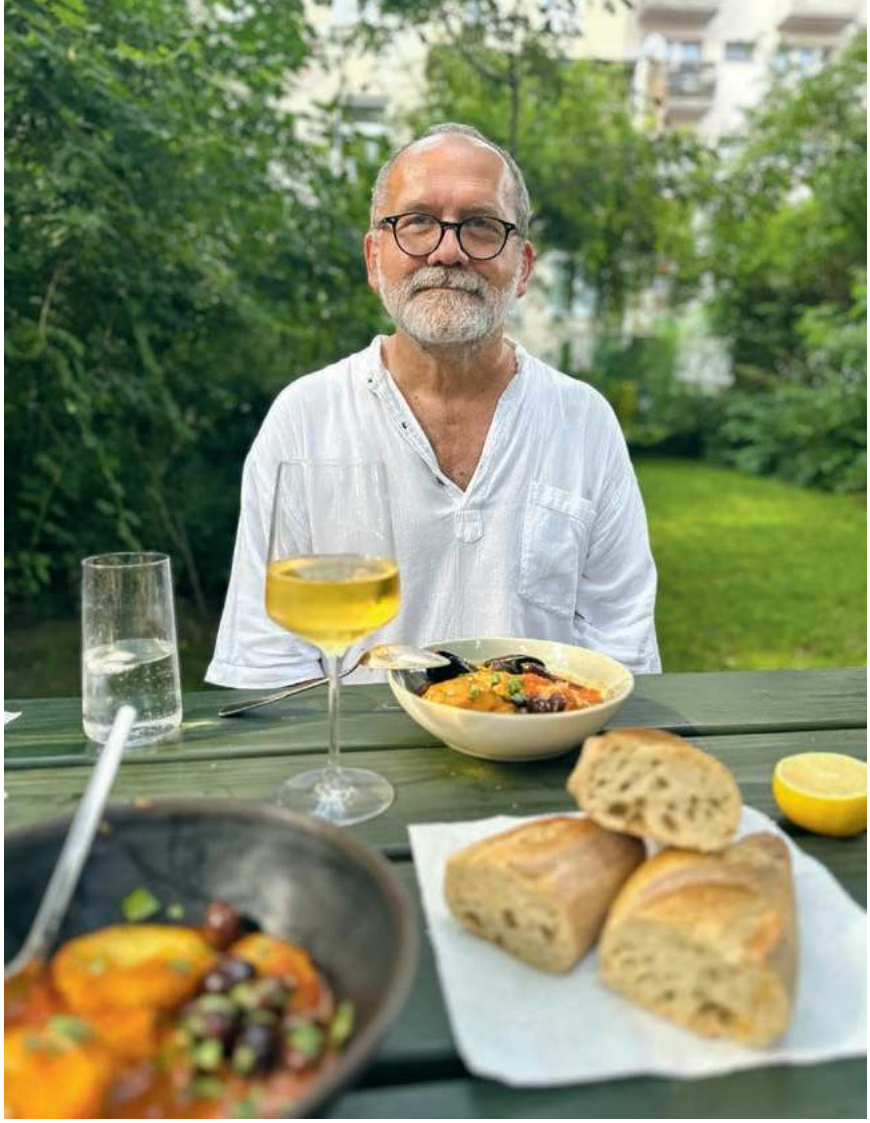

ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI
(ur. 1962) jest wykładowcą akademickim, krytykiem literackim, eseistą, tłumaczem i publicystą. Profesor wizytujący na Uniwersytecie Jagiellońskim, kierownik Katedry Międzynarodowych Studiów Polonistycznych UJ, Stefan and Lucy Hejna Family Chair in Polish Language and Literature na University of Illinois w Chicago. Dyrektor artystyczny Festiwalu Conrada i przewodniczący jury Nagrody Conrada. Właśnie ukazał się pierwszy tom jego „Tekstów zebranych".

Na zdjęciu:
Rodzinny lunch w ogrodzie na Helclów. Kraków, lipiec 2023 r.

↦ Jako juror co roku czytałem kilkadziesiąt książek i co roku doświadczałem rozczarowania narastającą konwencjonalizacją nadsyłanych tekstów. Najczęściej są to opowieści, które mnie zdumiewają swoją pretensją do utożsamienia rzeczywistości ze sposobami jej przedstawiania. Fiksowanie się na opowieściach to jedynie pretekst, żeby nie wsłuchiwać się w nieciągłość własnego życia. Wystarczy spojrzeć, jak ludzie na co dzień nawiązują ze sobą relacje – wcale nie przez opowiadanie, ale raczej przez montowane naprędce strzępki różnych dyskursów, przez jakieś zaczepki, jakieś monosylaby, jakieś niedokończone zdania, jakieś mamrotanie, jakieś burczenie. Wystarczy poczytać Białoszewskiego, żeby to zrozumieć.

A opowiadacze?

Ludzie, którzy mówią od razu pełnymi zdaniami wielokrotnie złożonymi, i ludzie, którzy nie mogą się powstrzymać od opowiadania jakichś historii, budzą moje najwyższe zdumienie i przerażenie. Sytuacje intymne nigdy nie są sytuacjami narracyjnymi i dlatego powieść tak sobie nie radzi z opisywaniem seksu. Historia ze swoim początkiem, rozwinięciem i zakończeniem sprawia, że czujemy się bezpiecznie, ale odgradza nas od nieprzewidywalnego biegu świata.

Ameryki nie da się objąć egzystencjalnie i intelektualnie, w przeciwieństwie do Polski, która jest szybko obejmowalna dla kogoś, kto przeżył w niej rozumnie spory kawał czasu.

To co tak naprawdę interesuje Cię w literaturze?

Wyzwanie intelektualne, polegające na poszukiwaniu takiego zbioru liter, z którego zrodzić się może jakiś nieoczywisty fragment myśli. Albo – o czym piszę często w pierwszym tomie moich tekstów zebranych – zamach na całość, który domaga się ode mnie ogromnie pracochłonnej roboty rekonstrukcyjnej. Moi studenci śmieją się ze mnie, że podczas seminarium zarysowuję wykresami ogromne tablice, ale pilnie te wykresy przepisują. Rozpisać Senekę na przykład, albo św. Pawła, albo Hegla, albo Brzozowskiego czy Gombrowicza, o, to jest zadanie, które lubię. Ale nie chodzi mi o reguły systemu, lecz o reguły, jakimi posługuje się jednostkowość. W czytaniu literatury pasjonuje mnie to, jak pokazać relacje między pojęciami, między słowami, między językami. Oczywiście odbiega to od potocznego rozumienia literatury i dlatego wykracza poza *belles lettres*, beletrystykę. Literatura jest tam, gdzie ktoś w obliczu świata manipuluje literami, by go pojąć.

Czyli bardziej forma?

Sama forma nie. Raczej zamiar, pragnienie, konieczność, obsesja, kompensacja. Po co ktoś używa takich znaków, jak litery? Dlaczego je tak, a nie inaczej składa do kupy? Aby się spoufalić z innymi czy przeciwnie, żeby się odciąć od innych? Może lęka się bezkształtności życia, która jest nie do zniesienia? Albo stara się narzucić komuś swój sposób rozumienia i porządkowania świata? Albo naśladuje innych, bo sam w sobie nic nie ma? Albo uważa, że jego wizja świata jest najwspanialsza? Literatura zrobiona

z samych słów, bez żadnej jednostkowej podszewki, mnie nie obchodzi. Natomiast pytanie, dlaczego ludzie nie przestają jej pisać – ogromnie.

Dają znaki?

Właśnie. Heraklit twierdził, że wyrocznia delficka ani niczego nie mówi wprost, ani niczego specjalnie nie ukrywa, tylko po prostu daje znaki. My te znaki mamy wszędzie wokół siebie i musimy je jakoś zinterpretować. Zagmatwana historia ludzkiej konfrontacji ze znakami, które są nam dane do interpretacji, nie przestaje mnie intrygować. Mnie pasjonuje pragmatyka ich użycia. Raczej jestem filologiem niż semiologiem. Filologia to nie, jak się powiada, umiłowanie słowa, ale rozumienie powinowactw, filiacji, relacji. Moją obsesją jest to, jak ludzie używają znaków, żeby się jakoś ze światem ułożyć i jak to ma się do tego, co robią inni.

Każde użycie jest ciekawe?

Skąd! Jedni używają znaków w ciekawy sposób, inni w mniej. Jedni pisarze dają wiele do myślenia, inni nic. Każdy ma tu inne potrzeby, ja mówię o swoich, dajmy spokój iluzjom, że możemy się z każdym zbratać. Skoro w literaturze współczesnej odnajduję to, co już znam z czytania Balzaka na przykład, albo Dickensa, to czy muszę piać z zachwytu, że właśnie mamy nowego Balzaka albo Dickensa? Swoje w Polsce przeżyłem, znam ją na wylot. Każda epoka ma swój prekariat, swoje traumy, swoje psychozy, mnie ciekawią te, których jeszcze nie znam. Ktoś nie ma pracy, nie dogaduje się z żoną, mężem albo dzieckiem. Albo nie może czy nie chce mieć żony, męża, dziecka, z łóżka nie może wstać, bo ma depresję, kapitalizm jest okropny, świat jest okropny, niesprawiedliwy, brzydki.

Nie o tym ma być literatura?

Cóż, wiem to bez czytania. Przeżyłem życie bez pieniędzy, przeszedłem głęboką żałobę, pamiętam nędzę i drobne przyjemności PRL-u, żyłem z kilkoma kobietami, znam udręki zazdrości, smutku, frustracji, wiem, co to niezrozumienie i co euforia, wiem, czym jest lęk przed śmiercią, czym obsesja, wiem niemało o dzieciach. To, że młodsi ode mnie powiedzą mi coś o Polsce, co przeora moją świadomość, jest mało prawdopodobne. Bardzo za to prawdopodobne jest to, że młodzi te zrzędzenia starucha obśmieją. Ich święte prawo. Ja też obśmiewałem starców. Więc niech się młodzież nie łudzi. Ją też obśmieją.

Czyli już nie czytasz po polsku?

Wciąż wracam do Krasińskiego, Irzykowskiego, Witkacego, Schulza, Gombrowicza, Leca, Lipskiego, Wata. Literatura polska to dla mnie ledwie kilka osób, których jeszcze nie całkiem pojąłem i które wciąż na nowo przyszywają mnie do polszczyzny. W życiu codziennym jestem wrzucony w kilka obcych języków, z których wymykam się do języka polskiego w pisaniu. Swojskość już dawno utraciła dla mnie atrakcyjność.

Kiedy?

Kilka razy. Pierwszy raz, gdy z prowincji przyjechałem na studia do Krakowa. Drugi raz, gdy pojechałem do Sztokholmu na cały miesiąc wykładów, słabo jeszcze mówiąc po angielsku. Trzeci raz, gdy zdecydowałem się przenieść do Ameryki na stałe. Ameryki nie da się objąć egzystencjalnie i intelektualnie, w przeciwieństwie do Polski, która jest szybko obejmowalna, łatwo oswajalna dla kogoś, kto przeżył w niej rozumnie spory kawał czasu. To oswojenie sprawia, że myśl o radykalnej emigracji wprawia kogoś, kto umocował w Polsce swoje emocjonalne czy symboliczne interesy, w niemały dyskomfort. Zawsze myślę tu o Słonimskim, który wrócił do Polski, bo nikt jego dowcipów za granicą nie rozumiał.

Dlaczego? Bo Polska zbudowana jest na prostszym systemie znaków?

Weźmy nacjonalizm i katolicyzm, dwa fundujące polskość paradygmaty symboliczne, które w dużej mierze polegają na ujednolicaniu rzeczywistości. W Polsce nigdy nie rozwinęła się żadna herezja, a kiedy się rozwijała, jak polskie luterstwo, to nie w centrum, lecz gdzieś na marginesach. W gruncie rzeczy chodziło zawsze o to, żeby myśleć tak samo jak inni, bo o tożsamość się zawsze Polacy bili. Ma to solidne podstawy historyczne, niemniej myślenie w Polsce o wspólnocie odbywa się pod nieobecność innowierstwa. W rzeczywistości Polska jest krajem skrajnie zatomizowanym i ta niespójność jest nieustannie maskowana zbiorowymi fałszywkami typu narodowego, katolickiego czy kulturalnego. Tak jak PiS ↦

Markowski wybrany

▪ NIETZSCHE. FILOZOFIA INTERPRETACJI (1997)
Pierwsza napisana po polsku monografia dorobku kluczowej dla nowoczesności postaci, a przy okazji prezentacja najważniejszych kontekstów filozoficznych XIX i XX wieku – szczególnie związanych z problemem interpretacji tekstu. Otwierająca „Horyzonty nowoczesności", najważniejszą serię książek humanistycznych w Polsce.

▪ ANATOMIA CIEKAWOŚCI (1999)
Jak (i czy w ogóle) możemy tworzyć obrazy i inne przedstawienia otaczającego nas świata? Zawarta w tytule „ciekawość" to przede wszystkim krytyczna metoda, dzięki której trzeba wciąż na nowo opowiadać dzieje naszej cywilizacji.

▪ ŻYCIE NA MIARĘ LITERATURY (2009)
Szekspir, Krasiński, Proust, Conrad, Kafka, Bieńczyk i wielu innych. Dzieła przez nich tworzone obsesyjnie negocjują relację między życiem i literaturą. Życie pozostawione samo sobie jest nieme i pozbawione sensu. Czysta literatura z kolei jest bezużyteczną wydmuszką. Dlatego konieczne jest nieustanne zaplatanie jednego z drugim.

▪ WOJNY NOWOCZESNYCH PLEMION (2019)
Ostatnia dekada to politycznie burzliwy okres na całym świecie. Zestawiając rzeczywistość USA i Polski, Markowski wskazuje przyczynę gwałtownej zapaści życia publicznego i myślenia wspólnotowego. Odpowiedzi szuka u Hegla, wynalazcy niemalże wszystkich języków nowoczesnej polityki. Stawką są przede wszystkim rozwiązania, dzięki którym powstanie płaszczyzna do racjonalnego dialogu. © MS

↦ potrzebuje Kościoła i Narodu, tak pisarze potrzebują Literatury.

Dziś, nie tylko w Polsce, języki tożsamościowe dominują nad innymi próbami opisu świata.

Potrzeba posiadania wyrazistej i spójnej tożsamości to przejaw słabości egzystencjalnej, lęku, że nie damy sobie rady sami, więc potrzebujemy pomocy innych. To psychologia oblężonej twierdzy, w której wszyscy ze strachu trzymają się za ręce. Cel takiego działania przynosi oczywiste korzyści – daje poczucie siły i bezpieczeństwa. Rozumiem to. Ale jednocześnie taka nieposkromiona potrzeba przynależności ma w sobie coś niepokojącego. Bo właściwie dlaczego na pytanie „kim jesteś?" musimy od razu udzielać jasnej i spójnej odpowiedzi? Tego oczywiście wymaga od nas dzisiejszy świat, a kto się przed tym obowiązkiem uchyla, siłą rzeczy staje się outsiderem. Taka pozycja wiąże się z wieloma nieprzyjemnościami, ale jednocześnie wydaje się niezwykle pociągająca.

Bo?

Bo chodzi o to, żeby nie dać się uwieść żadnemu językowi, który przyniesie ostateczną odpowiedź na pytanie „kim jestem". Ale jak ktoś komuś taką jednoznaczną odpowiedź da, to jest traktowany jako zbawca. Takie są wszystkie populizmy, od lewej strony do prawej.

Chodzi o rozszczelnianie systemu?

Raczej o czujność wobec powodów, dla których podejmuje się takie, a nie inne życiowe decyzje. Ostatnio cały semestr spędziliśmy ze studentami, czytając Ewangelie i całą protestancką teologię decyzji od Kierkegaarda do Bultmanna i jej żydowskie wykładnie, od Kafki do Derridy. Katolicyzm raczej zajmuje się zbiorowym zbawieniem, a nie jednostkowością wyboru, choć po prawdzie to Jezus o niczym innym nie mówi, jak właśnie o tym: zbliża się koniec świata, trzeba wybierać, trzeba podjąć decyzję, a kto uważa, że już wybrał, ten jest zgubiony. Ewangelie to nadzwyczajna literatura i dlatego, choć jestem niewierzący, je czytam, bo dla mnie sam moment podejmowania decyzji jest fascynujący. Tym bardziej że rozumiem własne życie jako serię nieoczekiwanych wyborów, które są trudne do pojęcia. Jak widać, mało mnie zajmuje literatura, która mi czegoś ważnego o mnie nie mówi.

Potrzeba spójnej tożsamości to przejaw lęku, że nie damy sobie rady sami,
więc potrzebujemy pomocy innych. To psychologia oblężonej twierdzy, w której wszyscy ze strachu trzymają się za ręce.

Ktoś mógłby nazwać to narcyzmem..

I nazywa. Istnieje jednak zasadnicza różnica między narcyzmem, który jest samouwielbieniem, i takim, który polega na autorefleksji. Pomieszanie tych porządków to poważny problem w polskiej kulturze i jej patologicznym myśleniu o wspólnotowości. Bo zakłada się, że każdy, kto chce powiedzieć coś o sobie, kto się nad sobą zastanawia, ten wybiera siebie przeciwko światu – a to z gruntu fałszywa opozycja. To paradygmat z ducha kościelny, w którym wszystkim trzeba się dzielić, jak komunią. Jeżeli ktoś chce cząstkę własnego doświadczenia zrozumieć, jest z automatu osobnikiem podejrzanym. Narcyzm to zdrada wspólnoty rozumianej w sposób eklezjalny.

Dlaczego to akurat kościelny paradygmat? Może raczej komunistyczny?

Jak wiadomo – poza Kościołem nie ma zbawienia, trzeba więc od świata odgrodzić się wysokim murem, zachowując wewnątrz nienaruszalną spójność. Integralność wspólnoty jest najważniejsza, a każde odstępstwo to zdrada, herezja, której trzeba się pozbyć. Dogmatyka Kościoła – co widać jak na dłoni, jak się czyta oficjalne dokumenty – powstała przez wykluczanie innowierców, żeby tylko ktoś nie pomyślał inaczej o naturze osób boskich, istocie sakramentów czy nowoczesności. Trzeba mieć jakiś wspólny system wartości, bo w innym przypadku wszystko się zawali, wpadnie w chaos, zrelatywizuje.

W wydanym teraz pierwszym tomie Twoich „Tekstów zebranych" zamieściłeś teksty, które nazywasz „resztką" – tym, czego nie da się łatwo wykorzystać na przykład w ramach rozwijania kariery akademickiej.

Uniwersytet jest pewną korporacją. Wszystko, co ściśle nie przylega do całościowej strategii, do totalnej ekonomizacji aktywności, musi zostać unieszkodliwione albo odcięte. A ja lubię negocjować z rzeczywistością, poszerzać obszary nieprzynależności. W „Tekstach zebranych" nie utylizuję tekstów, żeby się, broń Boże, nie zmarnowały, tylko podaję je w formie nieselekcyjnej, żeby przyjrzeć się na własnej skórze, jak się polska humanistyka rozwijała przez ostatnie 35 lat. Nie chodzi mi o spójność – wręcz przeciwnie, ta pstrokacizna jest wymierzona świadomie przeciwko myśleniu wedle wartości: że tylko najlepsze rzeczy trzeba światu pokazać, bo inaczej to wstyd. A przy okazji jest to próba uwolnienia się od przeszłości poprzez jej rozumienie, co jest interesujące zwłaszcza wtedy, gdy już dawno nie myślę, jak niegdyś.

We wstępie piszesz też o ciekawości jako jednej z podstawowych kategorii myślenia o świecie. A chyba nie ma ona zbyt wysokich notowań wśród współczesnych intelektualistów.

Nie tylko współczesnych. Ciekawość była zawsze podejrzana i zawsze była – zwłaszcza dla potulnych chrześcijan – „pierwszym stopniem do piekła". Św. Tomasz stawiał ją w jednym rzędzie z łakomstwem i rozwiązłością. A jednak stanowiła podstawowy katalizator narodzin nowoczesności. Bo ciekawość jest zawsze ciekawością „czegoś innego" – w odróżnieniu od wiedzy, która dąży do stabilizacji własnych wyników, a także wiary, polegającej na przedustawnej zgodzie, że wszystko jest, jak Bóg chciał. Ciekawość to trzecia droga, o której rzadko się wspomina w opisach nowoczesności. Akcentuje się przede wszystkim konflikt dwóch stanowisk, konserwatyzmu i liberalizmu, komunizmu i kapitalizmu, nauki i wiary, i tak dalej, a ciekawość wymyka się łatwym kwalifikacjom, bo rozsadza opozycje. Dlatego tak jej dziś mało. Świat się dramatycznie upraszcza i nie chce, żeby ktoś mu zadawał kłopotliwe pytania, typu „po co?" czy „dlaczego?". A mnie te właśnie pytania interesują najbardziej.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

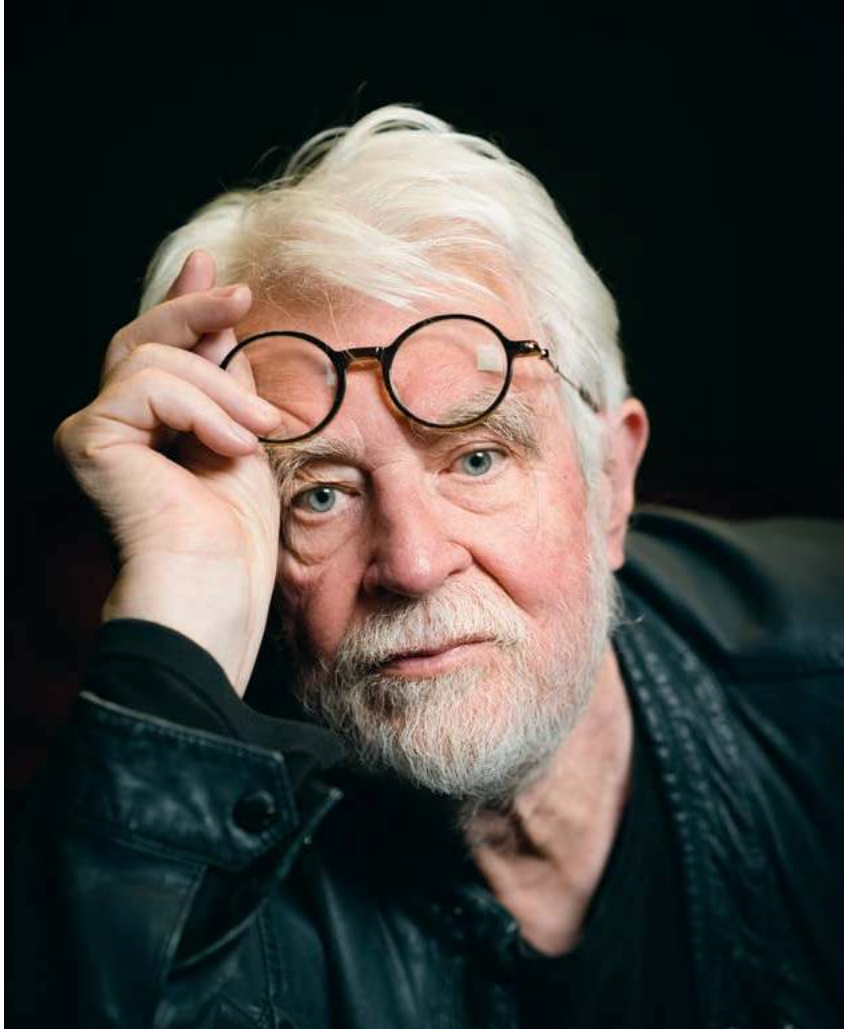

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

Krystian Lupa

Niespodziewany gość

DARIUSZ KOSIŃSKI

Krystian Lupa przestał być niekwestionowanym autorytetem i mistrzem polskiego teatru. Dzięki temu stworzył właśnie przedstawienie tak poruszające, bezpośrednie i liryczne.

W listopadzie 2022 r. ogłoszono, że Krystian Lupa rozpoczął z zespołem Teatru Polskiego w Podziemiu próby „Elżbiety II" Thomasa Bernharda. Premiera miała się odbyć na przełomie listopada i grudnia 2023. „Chcesz rozśmieszyć Pana Boga? Powiedz mu o swoich planach". W grudniu 2022 r. odbyły się pierwsze pokazy, a niedawno oficjalna premiera zupełnie innego przedstawienia, zrealizowanego przez artystę znajdującego się już w zupełnie innej sytuacji niż rok temu.

Po głośnej aferze genewskiej, gdy szwajcarska ekipa techniczna odmówiła kontynuowania pracy nad przedstawieniem „Les Emigrants" ze względu na jej zdaniem niewłaściwe zachowania i nadmierne wymagania reżysera i jego ekipy, Krystian Lupa ostatecznie przestał być niepodważalnym autorytetem polskiego teatru. Jednak już wcześniej jego przedstawienia utraciły status kultowych i obowiązkowych. Jeszcze kilka lat temu nieuznawanie jego nowej premiery za Wydarzenie było rodzajem prowokacji i skandalu, dziś jest czymś całkiem zwyczajnym.

Tak zwane „środowisko" nie czeka już na „nowego Lupę". Reżyser znalazł się poza głównym nurtem polskiego teatru – jest osobną wyspą, na którą wcale nie trzeba dziś zawijać, by wiedzieć, co w tym teatrze się dzieje. Krótko mówiąc, znalazł się na offie. Nie wydaje się więc tylko przypadkiem, że jego najnowsze polskie przedstawienie jest współprodukowane przez Instytut im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu. Reżyser, który u początku kariery dzięki Alinie Obidniak, serdecznej przyjaciółce Grotowskiego, znalazł swój azyl w kierowanym przez nią teatrze w Jeleniej Górze, po wielu latach znów znalazł się w podobnym miejscu – w instytucji o alternatywnym statusie, działającej na pograniczu teatru instytucjonalnego i niezależnego. Czy to znak, że po latach słabości mainstream przeszedł do kontrataku i wypycha autorski teatr o mocnej sygnaturze i skłonnościach eksperymentatorskich na pobocze? A może wręcz sygnał zmierzchu autorskiego teatru o mocnej sygnaturze? Nie sposób rozstrzygnąć.

Sytuacja, gdy przedstawienia Krystiana Lupy nie funkcjonują jako kulturalna „jazda obowiązkowa", jest jednak uczciwsza (choć zapewne dla twórców trudniejsza). Skoro to teatr o mocno określonych cechach i wymaganiach, niech będzie odnajdywany przez tych, którzy go potrzebują, a nie narzucany jako środowiskowy przymus. W latach 90. to właśnie ci, którzy takiego teatru szukali, uczynili z Lupy guru nowej polskiej sceny. Po obejrzeniu „Balkonów" wydaje mi się, że i dziś takich widzów jest sporo. Może nie zapewnią reżyserowi dawnej pozycji, ale mogą być naprawdę wartościowymi partnerami kolejnych teatralnych doświadczeń.

Ceremonie

Scenariusz „Balkonów" stanowi połączenie dwóch tekstów i dwóch światów: niemal klasycznego w swoim tragicznym ascetyzmie „Domu Bernardy Alba" Federica Garcíi Lorki oraz „Lata" Johna Maxwella Coetzeego. Łączą je tytułowe balkony, a właściwie – tak to przynamniej rozumiem – koncepcja teatralności związanej z tymi pogranicznymi miejscami, które jednocześnie są publiczne, wystawione na widok osób postronnych, i prywatne, może nawet intymne. I w takim właśnie pomiędzy, w takiej niejednoznaczności teatr Krystiana Lupy czuje się najlepiej.

W przestrzeni przedstawienia balkony są cztery: dwa po prawej, dwa po lewej. Jak się okaże, te na prawo od widzów przynależą do Federica G. Lorki ↦

↦ (Piotr Skiba) i bohaterek jego dramatu, zaś strona lewa to strona Johna Maxwella Coetzeego (Andrzej Kłak) i postaci z jego autobiograficznej powieści. W kluczowych momentach postacie z obu tekstów anektować będą centrum, którego tło stanowi wielka ceglana ściana – projekcja i powtórzenie ścian dawnej garnizonowej piekarni, dziś modnie postindustrialnej sali widowiskowej noszącej dwuznacznie pyszną nazwę Centrum Sztuk Performatywnych „Piekarnia". W trakcie przedstawienia ściana ta będzie niekiedy „znikać" i odsłaniać znajdujące się za nią pomieszczenia albo służyć jako ekran dla filmów stworzonych na potrzeby spektaklu.

Większą część przedstawienia wypełniają sceny z „Domu Bernardy Alba". Zachowany jest zasadniczo szkielet dramatu: historia despotycznej matki, która po śmierci męża zamyka swoje córki w domu żałoby i nie zauważa narastających namiętności. Te prowadzą w końcu do tragedii – śmierci zbuntowanej córki Bernardy i zakochanego w niej mężczyzny. Tego finału jednak nie będzie, bo Lupę interesuje raczej sama sytuacja zamknięcia i całkowitego uzależnienia od woli jednostki zmuszającej inne osoby do posłuszeństwa poprzez aranżowanie sytuacji ujmujących ich działania, zachowania i emocje w żelazne ramy ceremonii odprawianych według nienaruszalnych wzorów.

Taką ceremonią jest stypa po śmierci męża Bernardy (Halina Rasiakówna). Po długiej scenie opowiadającej o niej nadchodzi orszak pogrzebowy. Jest groteskowy i wywołuje na widowni śmiech, podkręcany jeszcze komentarzami reżysera. Ale mimo to ceremonia trwa – długie męczące czekanie aż coś się wydarzy, przy absolutnej pewności, że nie wydarzy się nic.

Ceremonialna władza jest formalnie sprawowana przez Bernardę, ale ona sama też jej podlega. Rasiakówna nie gra domowej tyranki zamkniętej całkowicie w sobie i ślepej na namiętności. W wydekoltowanej sukni przypomina raczej burdelmamę, która aranżuje ceremonie, kontrolując córki, bo sama jest kontrolowana przez społeczne konwencje i normy. Ale podobnie jak jej podopieczne, marzy o miłości i wolności. W finale pierwszej części te pragnienia ją porywają i zaczyna tańczyć flamenco. Najpierw powoli, potem coraz śmielej, aż wreszcie całą centralną ścianę wypełnia ogromna wizualizacja pokazująca jej taniec. Widząc ją, Lorcą niemal ekstatycznie intonuje „Lloronę", pieśń o Płaczce, meksykańskim kobiecym demonie, którego nie można przestać kochać. Gdy jego głos sięga apogeum, monstrualne ciało Bernardy na ekranie eksploduje. Świat zapada się w ciemność, jakby ostateczne uwolnienie od ceremonialnej władzy międzyludzkiego organizującego teatr życia oznaczało życia tego kres.

Ceremonie muszą trwać. Tuż przed finałem, w tym samym miejscu i rytmie co stypa, odbywa się ostatnia wieczerza w domu Bernardy Alba. Zamieszkujące go kobiety zasiadają za długim stołem nakrytym białym koronkowym obrusem i choć mówią słowami z dramatu o buzujących namiętnościach, to wszystko już się dokonało. Po kolacji długo i skrupulatnie sprzątają ze stołu. Na koniec Federico pomaga im złożyć jasny obrus. To niemal cytat z „Wielopola, Wielopola", w którego finale Tadeusz Kantor składał pieczołowicie biały obrus po swojej rodzinnej ostatniej wieczerzy. Cytat niedosłowny, ale czytelny. Każda ceremonia jest teatrem śmierci.

Katastrofa i powrót

Coetzee też usiłuje reżyserować życie. Jest artystą, więc powołuje nie ceremonie, tylko intymny, erotyczny rytuał. Większość drugiej części przedstawienia wypełnia wzięta z „Lata", opowiadana przez Julię (Marta Zięba) historia jej romansu z Johnem. Ich związek zaczyna się niezgrabnie, tonie w dwuznacznościach i nieporozumieniach, plącze we wzajemnie nieprzystających wyobrażeniach o sobie. Ikoną tej miłości jest pokazywana na wideo magnetyczna scena, w której John gładzi czule i powoli hipnotyzującą go linię nagiego ciała Julii. Ale gdy ta fantazja zostaje powtórzona na żywo, pojawia się zakłócenie. Doskonałą linię bioder i płynny ruch dłoni niszczy nadajnik mikroportu przyczepiony do uda aktorki. Nawet jeśli jest ono nieświadomym błędem, to zapowiada katastrofę reżyserskich uroszczeń: Julia zdecydowanie odmawia udziału w wymarzonej inscenizacji Johna, który chce się z nią kochać przy akompaniamencie kwintetu Schuberta. Rytuał nie zostanie spełniony, ikona blaknie, miłość opowiadana na balkonie Julii gaśnie.

Trudno wątpić – Lupa drwi tu boleśnie z samego siebie, siebie dawnego, który taką scenę mógłby wyśnić i zrealizować w swoim medytacyjno-zmysłowym teatrze. Teraz jego alter ego – inscenizujący swoje pragnienia cudzymi ciałami artysta – ukazany jest jako żałosny (nawet jeśli jakoś boleśnie tragiczny) kabotyn. Podjęta przez niego próba inscenizacji swojej fantazji kończy się katastrofą, tak jak ceremonie Bernardy. Przedstawienia albo zamykają się w jałowych powtórzeniach, albo niszczą to, co je wytwarzało.

Wydaje się, że jedyne, co można zrobić to spróbować wyrwać się poza scenę. Taką próbę podejmuje w finale przedstawienia Adela. Anna Ilczuk schodzi na widownię i błądząc wśród publiczności wygłasza stworzony przez siebie monolog, skierowany do siedzącego na górze, za widzami reżysera. Odmawia mu posłuszeństwa i zgody na wciskanie w jej ciało jego pragnień. Domaga się wolności. Tylko że ta wolność przynosi ból. Aktorka jest wśród widzów samotna i zagubiona. Nie należy do ich świata, nawet jeśli ku niemu uciekła, bo wie, że nie da się „być sobą" – zbyt dużo już nieswojego się w niej oswoiło i osadziło, by mogła pozostać w tej wyciemnionej przestrzeni, gdzie zdaje się nam, żeśmy ukryci i bezpieczni. Mimo wszystko wraca na scenę, a wracając, przyznaje, że w procesie prowadzonym pod okiem i władzą innego jest i jakaś jej prawda, jakaś jej szansa na przedziwną wolność. Między śmiertelnym teatrem ceremonii a fantazjami wyciskanymi na ciałach innych otwiera się szczelina: dwuznaczny świat balkonów, świat teatru.

Zaraz po powrocie Adeli na scenę przedstawienie się kończy. Jego ostatni akord to mówiony w ciemności przez Lorkę jego własny wiersz: „A gdy będę umierał / Zostawcie balkon otwarty". Pamiętam go sprzed lat, gdy mój nieżyjący już mentor uczył tych słów koleżanki z grupy teatralnej przed poświęconym Lorce wieczorem. „Chłopiec je pomarańczę / (Z balkonu go zobaczę)". Tłumaczenie inne niż znam, ale słowa te same. I oczywistość wtedy i teraz. Szkolny teatr i spektakl Lupy spotykające się w tym samym wzruszająco pozbawionym jakichkolwiek ozdobników wierszu zamordowanego poety, który prosi tylko o jedno: by mógł być świadkiem świata.

Teatralność najniższej rangi

W „Balkonach" Krystian Lupa od początku jest bardzo aktywny. To on pro-

NATALIA KABANOW / MATERIAŁY PRASOWE / TEATR POLSKI W PODZIEMIU

Przedstawienie „Balkony" w reżyserii Krystiana Lupy w Teatrze Polskim w Podziemiu.

wadzi całe przedstawienie. To on rozmawia z nami poprzez nie. On to ustawił. On wzniósł te balkony i sam razem z nami usadowił się na największym, by opowiedzieć o sobie. Nie ukrywa tego, tak jak nie ukrywa, że wie, jak dwuznaczna jest sytuacja artysty, który innym każe grać, co wytworzyła jego wyobraźnia.

A jednak opowiadanie o tym przedstawieniu jako o rozliczeniu się z sobą byłoby grubym uproszczeniem, sprowadzającym to szczególne doświadczenie do jakichś prostoduszności, a może wręcz do banałów. Cóż dziś banalniejszego niż bezradne pytanie, po co teatr wśród ludzi, których zachowania i praktyki jasno potwierdzają, że żaden teatr nie jest im do niczego potrzebny, bo w odruchu wytrenowanej „asertywności" nie chcą naruszać swoich społecznych person? Cóż bardziej prostodusznego niż reżyser, który wydaje się przyznawać, że to wie dobrze, ale teatr nadal tworzy, bo robi to od lat i co innego miałby robić? A przecież nie może nawet liczyć na to, na co liczy taki John, wyznający ze sceny wiarę, że po jego śmierci ktoś będzie czytał jego książki. Czy ktoś ogląda przedstawienia zmarłych? Czy po latach ktoś jeszcze cokolwiek będzie umiał w nich dostrzec? Jakiż banał – ulotność teatru! I jego nędza. Jego realne ubóstwo.

Lupa przez wiele lat próbował rozbić to, co w naszej kulturze uważane jest za istotę teatru: rolę, iluzję, fikcję. Dziś sprawia wrażenie, że jest świadom daremności tych usiłowań, ale – jak Adela – wraca na scenę, bo już nie potrafi być poza nią, a i wie, że tylko tu możliwe jest chwilowe uchylenie drzwi, by pojawiła się jakaś inna wolność i jakaś prawda – dziwaczna, ale jednak niepodważalna.

Mistrz Krystiana Lupy, Tadeusz Kantor szukał w teatrze sposobu na przerwanie teatralności życia przez zainfekowanie spektaklu „realnością najniższej rangi". W ceremoniach jawnie inscenizowanych umieszczał ciała, obiekty i zdarzenia, które wydawały mu się zbyt biedne, niskie i niedojrzałe, by ulec procesowi dramatyzacji i symbolizacji, tworzącemu naszą ludzką iluzję – kulturę. Lupa już tego nie próbuje. Ale jego teatralność jest właśnie najniższej rangi (choć wysokiej jakości): pozbawiona atrakcyjnej spektakularności i demonstracyjnie nieefektywna. Tak długo mówić o czymś, co komunikacyjnie da się streścić w dwóch zdaniach! Tak celebrować tragedię do banału znaną! Cóż za marnotrawstwo zasobów!

To jednak właśnie cisza i powolność sprawiają, że teatralność najniższej rangi może działać i otworzyć balkonowe drzwi przed tym, co nadchodzi i co ma się w nich szansę ukazać. Tym spodziewanym gościem jest śmierć. Ale – znów jak u Kantora – ten teatr nie należy wyłącznie do śmierci. Teatr Miłości i Śmierci – ta nazwa wydaje mi się w pełni odpowiadać temu, co pojawia się na scenie „Balkonów" i co jest na niej dane do doświadczania w powolnym a niemal niedbałym rozwijaniu w czasie. Oparte na mocnych regułach i przemocy ceremonie prowadzą do eksplozji, rytuały, nawet najbardziej intymne i miłosne są aktami przemocy, ale ten niemal niesłyszalny teatr staje się przygotowanym doświadczeniem miłości, które odebrałem jako realne. Może było to możliwe właśnie dlatego, że przez miniony rok tyle się zmieniło i przedstawienia Krystiana Lupy nie są już „kultowe", a on sam ma odwagę spojrzeć na śmieszność własnej persony? Nie wiem. Ale wiem, że ja przynajmniej na kolejne spotkania z jego teatrem będę czekać. Choć żniwiarz już kosi pszenicę i słychać zawodzenie płaczek, balkon pozostaje otwarty. © DARIUSZ KOSIŃSKI

Różowa dekada Swifties

MONIKA OCHĘDOWSKA

Do niedawna atakowana głównie z lewej strony, że zbyt biała i zbyt heteronormatywna, dziś przez wyborców Trumpa uważana jest za satanistkę lub agentkę CIA. Taylor Swift nie pasuje do schematów.

GRAHAM DENHOLM / TAS24 / GETTY IMAGES

Taylor Swift na koncercie w Melbourne. Australia, 16 lutego 2024 r.

Śpiewa, gra i występuje od dziecka. Pierwszy kontrakt z wytwórnią muzyczną – jako czternastolatka – podpisała dwadzieścia lat temu, zostając prawdopodobnie najmłodszą autorką piosenek na etacie. Jej korzenie sięgają muzyki country, dlatego żelazne standardy tego gatunku tak silnie obecne są w jej pierwszych teledyskach, w których jeździ się po pustkowiach stanu Georgia chevroletem Chevy. Taylor Swift, siedząca z gitarą u wrót stodoły, wygląda w nich jak córka starszej o pokolenie innej gwiazdy tego gatunku – Sheryl Crow.

Zarówno dwie dekady temu, jak i dziś, nie da się znaleźć w jej wizerunku niczego osobliwego. Swift nigdy nie eksperymentowała na scenie, jak popularna w pierwszej dekadzie wieku Lady Gaga. Nie próbowała również prowokować, na co śmiało pozwalała sobie np. śpiewająca o całowaniu dziewcząt córka kalifornijskiego pastora Katy Perry. Przez piętnaście lat kariery nie ujawniała swoich poglądów i nie angażowała się politycznie – zapewne nie tylko ze względów wizerunkowych czy marketingowych, ale z uwagi na bezpieczeństwo.

Aż do czasu, gdy w 2018 r. poparła w wyborach do Senatu byłego gubernatora Tennessee, Phila Bredesena. Bez sukcesu: Demokrata przegrał wówczas z Marshą Blackburn, a kandydatka Republikanów została pierwszą kobietą, której udało się zaskarbić sympatię wyborców zamieszkujących ziemie będące kolebką country (w 1998 r. władze USA oficjalnie uznały Bristol w stanie Tennessee za miejsce narodzin gatunku).

Prezydent Donald Trump powiedział wtedy, że już tak bardzo za twórczością piosenkarki nie przepada, choć – jako grzeczna blondynka – Swift od zawsze była ulubienicą raczej białych, amerykańskich przedmieść, maskotką konserwatywnej części społeczeństwa. Aż do momentu, w którym zdecydowała się poprzeć Bredesena, atakowano ją głównie z lewej strony: była zbyt biała i zbyt heteronormatywna, a jej piosenki miały wzmacniać patriarchat.

Operacja psychologiczna Pentagonu

Nieco później, gdy Swift zdecydowała się skłaniać słuchaczy i słuchaczki do głosowania na obecnego prezydenta Joego Bidena, Trump musiał lubić ją jeszcze mniej, choć – w swoim stylu – twierdził, że ma to wszystko gdzieś, bo jest zdecydowanie popularniejszy od zdobywczyni kilkunastu nagród Grammy. Dziś artystka ma ich na koncie dokładnie czternaście, właśnie po raz czwarty odebrała prestiżowe wyróżnienie amerykańskiej branży muzycznej za najlepszy album, pokonując tym samym, jak chętnie powtarzają w notach prasowych media, rekord samego Franka Sinatry. Jej ostatnią płytę „Midnights" uznano też za najlepszą w kategorii pop.

Odbieranie nagród zbiegło się w czasie z oskarżeniami wysuwanymi pod jej adresem przez sprzyjające Trumpowi media. Jeden z prezenterów stacji Fox News nazwał piosenkarkę „zasobem" prowadzonej rzekomo przez Pentagon „operacji psychologicznej". W ten sposób starano się uzasadnić także jej niezwykłą popularność, bo jak inaczej niż za sprawą rządowego wsparcia dorastająca w Hendersonville zwykła dziewczyna mogłaby stać się aż tak sławna? Telewizyjnej teorii spiskowej przysłużył się fakt, że chłopak Swift, gwiazdor amerykańskiego futbolu i zawodnik najlepszej w tym sezonie drużyny Kansas City Chiefs, wystąpił swego czasu w reklamie szczepionki na covid. Oczywiście, wedle Fox News, związek Taylor Swift z Travisem Kelcem to również element psychologicznej gry Pentagonu.

Zaraz po finałowym meczu Kelce'a, gdy przez Kansas przechodził tłum kibiców wiwatujących na cześć jego zwycięskiej drużyny (plotkowano, że na paradzie może się pojawić nawet sama Swift), doszło do strzelaniny, w której rannych zostało ponad dwadzieścia osób, jedna śmiertelnie.

– Ataki na Swift oraz Kelce'a, a także promowanie teorii spiskowych na ich temat zwiększają ryzyko użycia tego typu przemocy – przyznaje w rozmowie

z „Tygodnikiem” profesor socjologii z Uniwersytetu w Kansas, badacz fenomenu Taylor Swift, Brian L. Donovan. – Swift ma już liczne grono psychofanów, a teraz, w obliczu szerzenia przez media szalonych plotek o tym, że jest satanistką lub agentką CIA, prawdopodobnie pojawią się również prześladowcy motywowani politycznie.

Donovan liczy jednak, że zaczepki ze strony mediów takich jak Fox News niebawem się skończą, nawet nie ze względu na bezpieczeństwo samej piosenkarki, ale nieprzewidywalne zachowanie jej wiernych słuchaczy – potencjalnych wyborców w zbliżających się wyborach prezydenckich. W dłuższej perspektywie rozgniewanie tzw. Swifties może się okazać politycznym samobójstwem zarówno dla Demokratów, jak i Republikanów, ponieważ zniechęci do głosowania kobiety – bez względu na ich poglądy. Inna sprawa, że zeszłoroczne badania przeprowadzone przez agencję Morning Consult pokazują, że wśród tych, którzy słuchają Swift, większość tak czy inaczej będzie głosować na Bidena. Bez względu na opinię artystki.

Zabawka dla dorosłych

Dużo ciekawsze od tego, kogo Swift poprze w nadchodzących wyborach, jest właśnie to, jak przez ostatnie lata wpłynęła na zmianę swoich słuchaczek. Z badań Morning Consult dowiadujemy się, że wśród Swifties są głównie trzydziesto- i czterdziestolatki z pokolenia milenialsów – to zarówno te, które dostrzegają w piosenkarce siebie, jak i te, dla których symbolizuje nostalgię za utraconą młodością.

Bliska takiego spojrzenia na Swift jest również krytyczka literacka Stephanie Burt z Uniwersytetu Harvarda, która tej wiosny rozpocznie zajęcia ze studentami dotyczące twórczości artystki. Wśród omawianych tematów, obecnych również w tekstach piosenek Taylor, jest smutek z powodu wkroczenia w dorosłość, charakterystyczny dla klasyka literatury angielskiej, romantycznego poety jezior Williama Wordswortha.

Starzenie się społeczeństw wywołuje immunologiczny odruch obronny w postaci wytwarzania produktów i promowania twórczości odwołującej się do naszego „wewnętrznego dziecka”. Aby się o tym przekonać, wystarczy odwiedzić najbliższy sklep z klockami LEGO: połowa asortymentu to drogie zestawy dla dorosłych. Wynika to również z faktu, że – jak widać w tegorocznym raporcie grupy NPD, analizującej globalny rynek m.in. dla Adidasa czy McDonald’s – w ciągu ostatnich lat wykres sprzedaży zabawek przeznaczonych dla dzieci znacznie się wypłaszczył. Zamiast dzieci przede wszystkim bawią się dziś ich rodzice. Europejski rynek zabawek dla tzw. kidultów wycenia się dziś 4,6 miliardów euro.

MICHAEL OWENS / GETTY IMAGES

Taylor Swift i Travis Kelce podczas Super Bowl. Las Vegas, 11 lutego 2024 r.

Na tym tle dziewczęcość nie jest niczym, czego należy się wstydzić. Ale nie jest też – zupełnie jak sama postać Taylor Swift – niczym radykalnym. Ciekawe jest to, że od czasów, gdy swoje przeboje nagrywała brytyjska grupa Spice Girls, popkultura nie widziała takiego nacisku na znaczenie dziewczęcej przyjaźni – może to tęsknota za tamtym czasem odradza się właśnie dzięki Swift? Jak w wykreowanym przez Gerwig filmowym Barbie Land – relacje między kobietami okazują się ważniejsze od romantycznej miłości czy związków.

Donovan: – Taylor Swift, jak Barbie, reprezentuje odrodzenie i przyjęcie na nowo przez świat dziewczęcego modelu kobiecości. W tym modelu praktyki, które tradycyjnie i historycznie były kodowane jako stereotypowo kobiece – różowe ubrania, powieści romantyczne czy wyszukany makijaż – nie są już wyśmiewane, a wręcz przeciwnie, celebrowane.

Portal do podróży w czasie

W Polsce ten trend przejawia się popularnością dziewczyńskich romansów i innych młodzieżowych powieści, niekoniecznie czytanych tylko przez podlotki. Doskonale uosabia go także cukierkowy, pełen kwiatów i koronek image piosenkarki Sanah, która w 2021 oraz 2022 r. sprzedała w Polsce najwięcej płyt, a lista jej nagród i wyróżnień ma osobną stronę w Wikipedii. Do Sanah zaskakująco pasuje to, co Donovan mówi o Swift: jej piosenki stanowią rodzaj portalu umożliwiającego podróże w czasie, dzięki któremu można na nowo przeżyć zarówno radosne, jak i trudne momenty dzieciństwa. Wszystko wskazuje na to, że kiedyś badacze kultury nazwą naszą dekadę różową.

– Interpretuję to jako zdrową reakcję na neoliberalną kobiecość w stylu „szefowej”, promowaną dziesięć lat temu, w ramach której kobiety zachęcano do przyjmowania stereotypowo męskich ról, mających im zapewnić sukces w biznesie i życiu prywatnym – wyjaśnia prof. Donovan. – Młodsze pokolenie jest przekonane, że jedno i drugie się nie wyklucza. Kobiety mogą nosić róż, słuchać Taylor Swift, a jednocześnie robić karierę w dziedzinach tradycyjnie zdominowanych przez mężczyzn.

W najnowszych teledyskach Swift nadal nie szokuje, nie stara się również skupiać na sobie męskiego spojrzenia, jak to robiła w pierwszych latach kariery. Nie zaprzecza swojej seksualności, ale też jej nie podkreśla. Raczej – jak w teledysku do piosenki pod wymownym tytułem „Anti-hero” (Antybohaterka) – wchodzi w dyskusję z własnym wizerunkiem, próbując zdecydować, do którego świata najlepiej pasuje. Jest już tylko naszą projekcją czy jeszcze prawdziwą kobietą? Tak, taka niejednoznaczność rzeczywiście może być irytująca. ©℗

RADIO 357
Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika” w prasówce Radia 357 – środy o 8:30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

Upadek domu Voyterów

ANITA PIOTROWSKA

„Anatomia upadku” to fascynujące kino, które stopniowo rozjaśnia mroki niewiedzy, by na koniec pozostawić nas we mgle domysłów, olśnień i sprzecznych interpretacji.

Właściwie o co aż tyle hałasu? Mężczyzna wypadł z okna i śledztwo, a następnie sąd próbują dociec, czy był to wypadek, samobójstwo czy być może jednak zabójstwo. Podobnych filmów z serii „co się tak naprawdę wydarzyło?” widzieliśmy już mnóstwo, po czym nagle pojawia się kameralny francuski tytuł i zaczyna rozbijać największe banki z nagrodami.

Bynajmniej nie jako dramat sądowy, choć rzecz dotyczy również Temidy, której często zsuwa się z oczu przepaska bezstronności. Ale w scenariuszu Justine Triet i Arthura Harariego chodzi o sprawy kalibru dużo większego niż rozwiązanie zagadki i wydanie wyroku. Zwłaszcza, gdy jedynym świadkiem zdarzenia okazuje się – jakże symbolicznie – chłopiec z poważnie uszkodzonym wzrokiem, syn oskarżonej i jej domniemanej ofiary. „Anatomia upadku” to fascynujące kino, które stopniowo rozjaśnia mroki naszej niewiedzy, by na koniec pozostawić we mgle domysłów, olśnień i sprzecznych interpretacji.

Tytuł jest oczywiście dwuznaczny, bo nie chodzi tylko o rekonstrukcję tragicznych zdarzeń w alpejskim domu, zwiastowanych na samym początku przez spadającą ze schodów psią piłeczkę (Snoop, czarno-biały przewodnik rasy border collie, odegra tu zresztą niebagatelną rolę). W tym przypadku drobiazgowej wiwisekcji podlega całe życie małżeńskie i rodzinne z udziałem wziętej pisarki Sandry oraz jej męża Samuela.

Nie przypadkiem Sandra Hüller i Samuel Theis noszą imiona swoich bohaterów. Historia powstała z myślą o niemieckiej aktorce, kojarzonej z rolami raczej niewzbudzającymi naszej sympatii („Toni Erdmann”, „Strefa interesów”), co zwodniczo sugeruje kolejne piętro prawdy. Albowiem ta jedyna, pisana wielką literą, nieustannie się wymyka i rozszczepia. Nawet sama Hüller nie otrzymała od twórców filmu jednoznacznej informacji, czy jej postać rzeczywiście przyłożyła rękę do śmierci męża.

Wszystko zaczyna się od trupa na śniegu, a potem napięcie stopniowo rośnie. Wróć: przecież już wcześniejsze, pozornie mało istotne sceny wprowadzają do fabuły niepokojący dysonans. Na przykład w trakcie wywiadu, jakiego Sandra udziela pewnej studentce, a mąż uporczywie zakłóca ich spotkanie, puszczając tuż za ścianą zapętlony kawałek „Pimp” w wykonaniu Bacao Rhythm & Steel Band. Oto nieomylny znak, iż w tym związku i w tym sielsko położonym domostwie coś nie gra. Nie dość, że ciągły remont nie pozwala rozkoszować się górską ciszą ani oddawać pracy twórczej, to z czasem, kiedy ujawnia się coraz więcej szczegółów z życia tej pary, właśnie ścieżka dźwiękowa staje się głównym źródłem informacji. Nie dostarczają ich, jak bywa zwykle, odkrywcze retrospekcje, lecz dokonane przez jedno z małżonków nagranie audio, będące przełomowym dowodem w sprawie. Czy nie widząc „na własne oczy”, a jedynie słysząc, co działo się przez lata w domu Voyterów, możemy zbliżyć się do obiektywnej prawdy? Jedno zdaje się pewne: pokątne rejestrowanie małżeńskich kłótni wiele mówi o prawdomówności i zaufaniu.

Celowo określam tę rodzinę nazwiskiem kobiety (mąż Sandry nazywał się swojsko Maleski), bowiem Triet dokonuje w „Anatomii upadku” ciekawego odwrócenia ról i stereotypów dotyczących płci. Chociażby tych związanych z karierą, dominacją, wiernością, podziałem domowych i rodzicielskich obowiązków. Mają one wpływ zarówno na postawę sądu wobec oskarżonej, jak i nasz osobisty stosunek do niej. Dołóżmy do tego problemy komunikacyjne – będąc związkiem mieszanym, Voyterowie posługują się na co dzień francuskim, niemieckim i angielskim.

Owa różnica językowa okazuje się jeszcze ważniejsza w trakcie procesu, gdy małemu Danielowi (gra go przejmująco Milo Machado-Graner) sąd przydziela domową kuratorkę – ma pilnować, ażeby matka nie manipulowała chłopcem, używając obcego języka. Wieloznaczność wprowadza także postać Vincenta (gra go Swann Arlaud), czyli adwokata Sandry, który

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE M2 FILMS

ANATOMIA UPADKU
(Anatomie d'une chute) – reż. Justine Triet. Prod. Francja 2023. Dystryb. M2 Films. W kinach od 23 lutego.

Justine Triet to francuska reżyserka, scenarzystka i montażystka, twórczyni filmów „Victoria" i „Sybilla". Za „Anatomię upadku" otrzymała Złotą Palmę w Cannes jako trzecia kobieta w historii festiwalu. Film zdobył także najważniejsze Europejskie Nagrody Filmowe oraz 5 nominacji do Oscara: za reżyserię, scenariusz, montaż, rolę kobiecą i dla najlepszego tytułu.

Na zdjęciu: Sandra Hüller i Swann Arlaud w filmie „Anatomia upadku", 2023 r.

w dowiedzeniu jej niewinności znajduje osobisty interes. Zaś fakt, iż oboje małżonkowie zajmowali się pisarstwem, wytwarza skomplikowany splot psychologicznych i profesjonalnych zależności, rozpiętych pomiędzy miłością i zazdrością, życiem i fikcją literacką, uczciwością i zawłaszczeniem. Film Triet mistrzowsko oddaje tę dynamikę tudzież jej gęstniejącą nieprzejrzystość.

Tymczasem ów obyczajowo-sądowy magiel poznajemy w sposób wyjątkowo brutalny, za pośrednictwem jedenastoletniego chłopca, który bezpardonowo weń wciągnięty dźwiga na sobie odpowiedzialność za ostateczny werdykt. W dużej mierze od jego zeznań zależy, czy matka będzie skazana za morderstwo. Stąd „Anatomia upadku" wykracza daleko poza sceny z życia małżeńskiego, czyniąc dziecko nie tylko świadkiem upadku rodziców. Prawie niewidomy Daniel, ofiara wypadku sprzed kilku lat, staje się w „Anatomii" wyrazicielem swojej prawdy oraz główną instancją swoiście pojętej sprawiedliwości. Zdany w swych decyzjach wyłącznie na siebie, gotów jest przeprowadzić najbardziej ryzykowny eksperyment, tracąc po drodze dziecięcą niewinność.

Przez dwie i pół godziny zanurzamy się coraz głębiej w tych rodzinnych odmętach, szukając po omacku koła ratunkowego, z którym bezpiecznie dobilibyśmy do jakiegoś brzegu. Okazało się to na tyle intrygujące i zarazem uniwersalne, że francuski film znalazł się wśród najważniejszych nominacji Oscarowych. Ale Francja, obrażona za krytyczne wypowiedzi reżyserki na temat polityki Macrona, nie wytypowała filmu w kategorii najlepszego tytułu zagranicznego, stawiając na dużo lżejszy „Bulion i inne namiętności" Tran Anh Hunga. I chociaż dramat Triet miałby tutaj większe szanse niż w głównej, zamerykanizowanej stawce, jego entuzjastyczny odbiór na świecie wiele mówi. Złośliwi twierdzą, że głównie o snobistycznych tęsknotach za wystudiowanym artyzmem opatrzonym metką *made in France*.

Albo po prostu za kinem dostarczającym, zamiast fabularnych gotowców, opowieści do końca nieprzeniknionych, które pozwalają się montować w naszych głowach. Zwłaszcza, że wejście w tak misternie skonstruowany świat emocji przynosi czasem bolesną konfrontację z własnymi oczekiwaniami i uprzedzeniami. W tym sensie „Anatomia upadku" wcale nie proponuje aż tak otwartego, relatywizującego wszystko zakończenia, jakby się mogło wydawać. Uzmysławia raczej, jak wiele sami nieświadomie wnosimy do tej historii i na czym opierają się nasze domyślne oceny. ©

Lektor:
Z bliska

▪ *Antoni Pawlak*
PUSTY GABINET. PAWEŁ ADAMOWICZ: PREZYDENT, SZEF, PRZYJACIEL
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku, Gdańsk 2023, ss. 184.

Przełom roku 1989 przyzwyczaił nas do niespodziewanych zmian ról. Aktorzy zostawali posłami, działacze pacyfistyczni – pracownikami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych... Wiadomość, która przyszła z Gdańska w roku 2007, dosyć mnie jednak zaskoczyła: oto Antoni Pawlak został rzecznikiem prasowym prezydenta miasta Pawła Adamowicza. Anarchizujący poeta-prowokator, autor drugoobiegowego bestsellera schyłku lat 70., czyli „Książeczki wojskowej", kroniki codzienności poborowych w Ludowym Wojsku Polskim – i urzędnicze biurko? Może jeszcze krawat? A co z wymogami powściągliwości, jakie ta funkcja nakłada? W dodatku rzecznik (rocznik 1952) był sporo starszy od swojego zwierzchnika (rocznik 1965).

Ryzykowny eksperyment jednak się powiódł i przetrwał dekadę. „Pusty gabinet" pewnie by nie powstał, gdyby Paweł Adamowicz nie zginął w styczniu 2019 z rąk mordercy. Z tym, że nie jest to sztampowa biografia na zamówienie. To rzecz pisana z potrzeby serca, podszyta właściwym Antoniemu poczuciem humoru. Zbudowana z obrazów, wspomnień, anegdot, a także wypowiedzi samego Adamowicza. Żywa opowieść o spotkaniu dwóch bardzo różnych od siebie ludzi – a te różnice dotyczą nie tylko charakterów – oraz o wzajemnym zrozumieniu, jakie się w nich stopniowo rodzi. Tyle się dziś mówi o potrzebie dialogu – historię współpracy obu panów można by potraktować jako scenariusz praktycznych ćwiczeń w dialogu właśnie, którego warunkiem są szczerość, przyzwoitość i szacunek. Przyjaźń też nie zaszkodzi.

A w tle pionki na politycznej szachownicy zamieniają się miejscami. Adamowicz – solidny i uparty urzędnik, którego największą pasją jest jego miasto – staje się ofiarą nagonki (o pretekstach do tej nagonki też przeczytacie). Trzeba rozbrajać rozmaite miny – na przykład wtedy, gdy przypomniany zostaje nazistowski epizod z młodości Güntera Grassa, honorowego obywatela Gdańska. Kruszą się legendy – ksiądz Jankowski, któremu najpierw zbudowano pomnik, okazuje się pedofilem. Jest też powtórzona za Adamowiczem krzepiąca anegdota o pojednaniu prezydentów Wałęsy i Kwaśniewskiego – w Rzymie, dokąd obaj pojechali na beatyfikację Jana Pawła II... Najważniejszy jednak pozostaje ciepły portret bohatera książki – i żal, że go już nie ma. ©℗

OLGA

Drenda:
Brzydkie satysfakcje

Wystarczy pobieżnie spojrzeć na sekcję wiadomości międzynarodowych, żeby przekonać się, że dzieją się rzeczy straszne, a zapewne możemy spodziewać się dalszych, jeszcze gorszych wiadomości o ludzkich tragediach. W takim kontekście pisanie o batalii o kreskówkę może wyglądać na skupianie się na błahostkach. To niewykluczone, choć możliwe również, że nie doceniamy znaczenia kreskówek – wszak np. Xi Jinping zabrania rozpowszechniania w chińskim internecie wizerunków animowanego Kubusia Puchatka, dopatrując się w nich zakamuflowanych wyrazów sprzeciwu wobec jego władzy. Ale to nie o nim będzie mowa, lecz o ostatniej produkcji studia Warner Bros., „Coyote versus Acme". Jest ona ważna, bo pokazuje, odsłania – jak w laboratorium albo jak w przypowieści – brzydki, niegodziwy, ale niestety jak najbardziej obecny w ludzkiej psychologii mechanizm skrzyżowania poczucia wszechwładzy i radosnego niszczycielstwa.

Jak do tej pory, nikt poza wąskim gronem zaproszonych nie widział jeszcze „Coyote versus Acme", filmu, w którym żywi aktorzy występują obok uwielbianych postaci rysunkowych ze świata Zwariowanych Melodii (Kojota Wilusia, Strusia Pędziwiatra i reszty). Co zupełnie absurdalne, nie widzieli go nawet szefowie Warnera. A możemy też nigdy nie zobaczyć go i my, bo rozmiłowany w ostrych cięciach prezes wytwórni, David Zaslav, ma plan, żeby film najdosłowniej skasować, tylko po to, żeby umożliwić na tej podstawie odpisanie znaczącej kwoty od podatku. Jak na ironię. Acme z tytułu to, jak wiedzą doskonale fani „Zwariowanych Melodii", tyleż zagadkowa, co wszechwładna korporacja.

OLGA DRENDA

Kotek jest słodki, lecz słodsza jest wizja pognębienia.

Od kiedy w Hollywood zauważono, że czasem strata przynosi paradoksalny zysk i prawo przy odrobinie ekwilibrystyki pozwala zarobić na niedopuszczeniu filmu do dystrybucji już po jego ukończeniu, liczba „półkowników" rośnie. Branża filmowa ma kłopoty finansowe, co oznacza dobre czasy dla menedżerów kierujących się zimną logiką zysków i cięć. Ale szef Warner Bros-Discovery David Zaslav to człowiek, który podobno zawsze kochał kino. Z jakichś przyczyn postanowił najwidoczniej przeobrazić się we wcielenie komiksowego „złola", wysyłając w niebyt coraz więcej produkcji i podejmując inne budzące sprzeciw decyzje. Powiedzieć, że branża filmowa i kinomani za nim nie przepadają, to spory eufemizm. Wcześniejsze „półkowniki", takie jak „Batgirl", zostały jednak tylko „zawieszone", a decyzję motywowano podobno niesatysfakcjonującym poziomem produktu końcowego, co oznaczało ryzyko sporej straty. Do tych sytuacji pasowały proste kryteria: opłaca się – nie opłaca.

Tymczasem przekleństwem „Coyote versus Acme" ma być, jak głoszą wiewiórki, przebojowy potencjał filmu. To właśnie dlatego planowane jest jego skasowanie, a nie tylko odesłanie do zamrażarki. Nieliczni szczęśliwcy, którzy go widzieli, twierdzą, że to naprawdę udana produkcja z widokami na dobry wynik w *box office*. Konkurencyjni dystrybutorzy, zainteresowani odkupieniem praw do filmu, oferowali podobno kwoty o wiele wyższe niż potencjalne zyski z odpisu od podatku. To każe wątpić w logikę czystej kalkulacji, którą dotychczas kierował się Warner.

Możliwe, że w grę może wchodzić już coś zupełnie innego niż pieniądze. Być może chodzi o to, żeby ktoś inny nie miał satysfakcji z postawienia na właściwego konia, czy może raczej kojota. Odebranie komuś takiej możliwości – być może, bo to oczywiście spekulacje, zgadywanki – jest w stanie zmotywować kogoś bardziej niż miliardy dolarów. Zaangażować do pracy dziesiątki ludzi, doprowadzić projekt do końca tylko po to, żeby na końcu wyrzucić wszystko do kosza – to musi być przyjemność perwersyjna, imperatorska. To przyjemność płynąca z poczucia, że wszystko wolno. „Sam stracę, ale nie dam szansy innemu" – być może każdy z nas zdziwił się w zetknięciu z takim zachowaniem. A może, po uczciwym rachunku sumienia, niektórzy sami mogą się przyznać do takich myśli.

Być może zbyt łatwo przypisujemy ludziom kierowanie się wyłącznie zimną kalkulacją. To wydaje się logiczne i przewidywalne; to paskudne, ale jesteśmy skłonni pogodzić się z tym, że tak wygląda świat, którym rządzi pieniądz. Znacznie trudniej przyjąć do wiadomości potęgę niższych pobudek. Ich nie da się wziąć na logikę, bo pochodzą prosto z naszego kolektywnego najciemniejszego brzucha, z zakątka wstydliwych tajemnic. Takich jak fakt, że zarabianie milionów daje dreszcz emocji, chomikowanie pieniędzy może uzależniać, ale najwidoczniej nie ma satysfakcji porównywalnej z tym, gdy można spalić fortunę na złość konkurentom. ©

PAWEŁ

Bravo: *Targi nad carbonarą*

Nie jestem „Chińczykiem”, możesz do mnie mówić: Bao Yang. Takiej treści nalepki pojawiły się w sklepikach i barach w Barcelonie, z pustym miejscem na wpisanie potocznego określenia narodowości (może być np. *Paki*, *Bangla*, u nas to byłby Wiet albo Arab) oraz na imię lub przydomek człowieka za ladą. Inicjatorzy projektu pod hasztagiem #mamimię chcą osłabić rasowe czy etniczne uprzedzenia, nadal żywe, mimo że w ciągu jednego pokolenia ilość kontaktów, i to takich naprawdę bliskich, osadzonych w kontekście codziennych zakupów i posiłków, pomnożyła się niesłychanie. Przynajmniej w kroczącej zawsze na czele pochodu Katalonii.

Myślę o tej akcji z sympatią, miło byłoby ją powtórzyć u nas, na końcu pochodu, nie tylko z uwagi na rasizm. Na pewno dodałaby dobrej energii nawet na czysto polskim targu czy ulicy handlowej (o ile są jeszcze takie, w co wątpię). Znać kogoś z imienia, brać kapustę u Zośki, a sery od Krzysztofa – to tworzy płytkie, ale ważne więzi, kokon z nitek cienkich, lecz dających w sumie jakieś poczucie bezpieczeństwa.

Ulotnego, przyznajmy. Właśnie myślę o tym, jak dramatyczna historia ze śmiertelnym zatruciem galaretą sprzedawaną z paki samochodu na targu w Nowej Dębie wdepcze jeszcze mocniej w błoto i tak już kiepską reputację placów, bazarów i tego rodzaju nieformalnych zakupów.

Wertuję rzeszowskie „Nowiny”, ale nie znajduję nic o tym, jakie toksyny i w jakim nagromadzeniu znaleziono w skonfiskowanych przetworach tej, jak to się mówiło w doniesieniach milicyjnych, pokątnej masarni. Być może jeszcze na to za wcześnie, rzetelna prasa powinna się zatem powstrzymać od ferowania wyroków. Łatwo przy produkcji w przysłowiowym garażu, bez certyfikowanego sprzętu i zdanego egzaminu z procedur zwalczania zagrożeń w punktach krytycznych, o groźną wpadkę. Tym bardziej, gdy chodzi o wędliny, a nie dżem z mirabelek (jeśli jest zepsuty, nawet dziecko zauważy).

Ale w takich warunkach powstają też rzeczy znakomite. Ulubiona moja kaszanka, prawie nigdy nie jadam innej, to taka „domowa”, którą raz na tydzień sprzedaje mój pan rzeźnik z budki. Całkowicie legalnej i czystej, choć wątpię, by akurat na tę produkcję miał stosowne papiery. Nie pytajcie o imię i adres, ale skoro czytacie mnie już dziesięć lat, to znaczy, że nie najgorzej u niego z punktami krytycznymi, a ja rozsądnie dawkuję ryzyko.

Na razie więc możemy sobie poszydzić – bezpiecznie, bo z zatrutym mózgiem nie ląduje się w szpitalu – z tego, jak to jest z myciem rąk na Podkarpaciu i o kiełbasie z emaliowanej miednicy czarnej od much. Gruczoł z jadem stereotypu nosi w głowie każdy i każda, nawet jeśli zamiast „Nowin” przewija na telefonie „New York Timesa”. Ile było śmiechu, gdym wyczytał niedawno w tamtejszej rubryce kulinarnej, że carbonara bez a) śmietany, b) czosnku, c) cebuli jest, trzymajcie się mocno krzesła, „minimalistyczna”.

ROBERT6666 / ADOBE STOCK

Zostawmy na boku śmietanę, kiedy z rok temu dotknąłem tego tematu, słusznie zostałem napomniany, że żołądkowanie się o jej obecność w tym daniu to próba udawania świętszego od papieża. Daremna tym bardziej, że carbonarowy kościół jest wciąż przed soborem nicejskim i nie będziemy się przecież wyrzynać za przecinki i zaimki w wyznaniu wiary.

Niech już będzie śmietana (byle dobra, taka od baby z ław na Kleparzu – wiecie, jak ma na imię?), ale cebula i czosnek?! Z drugiej strony, skala udziału Amerykanów w stworzeniu i rozpropagowaniu carbonary powoli dociera nawet do świadomości Włochów, choć nadal są miejsca, gdzie za mówienie głośno, że to świeży import, można oberwać mocniej niż za rzymski salut (z Rzymem, tym starożytnym, ma on zresztą tyle wspólnego, co carbonara). Niech zatem sobie w Nowym Jorku dodają, co chcą, ale mnie zafrapował rzekomy minimalizm naszej wersji.

Ano tak, każdy wie, że w Ameryce wszystko musi być na maksa: kilo cukru na pączka, litr ostrej srirachy na porcję skrzydełek. Kiedy robimy amerykańskie przepisy, zawsze redukujemy proporcje. Śmiejemy się, że mają manię wielkości. Albo się jej boimy. Słowo *great* skleja się naturalnie w głowach z *America*, dając Trumpowi skuteczny wytrych propagandowy. Złości nas to, że tak się dają na to nabrać. Chciałbym przez te miesiące do listopada znaleźć poznawcze tropy, by zrozumieć coś poza stereotypem. Zobaczyć nawet z dużej odległości człowieka z imieniem nad miską cebulowej carbonary. ©℗

Oto bliski naszym słowiańskim gustom przepis na „syty” makaron ziemniaczano-kiełbasiany. Gotujemy w mundurach 400 g ziemniaków. Studzimy, obieramy, rozgniatamy dokładnie, solimy, dodajemy dwie łyżki parmezanu i pieprz. Białą surową kiełbasę wyjmujemy z flaka, drobno kruszymy w palcach i podsmażamy na dużej patelni bez tłuszczu, aż się dobrze zezłoci. Gotujemy 400 g krótkiego makaronu, w połowie czasu gotowania podbieramy kubek wody, dodajemy ją do ziemniaków i miksujemy je na gładki krem. Po pełnym czasie gotowania przerzucamy makaron na patelnię, łączymy z kiełbasą, a następnie dodajemy ziemniaczany krem, ewentualnie dolewając jeszcze trochę wody. Dla urody dania możemy ziemniaki zabarwić odrobiną kurkumy albo szafranu.

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

ZMYSŁY

CO ŚWIAT JE

Zielony Tydzień to największe międzynarodowe targi rolnicze w Europie. Wystawcy przez kilka dni częstują setki tysięcy gości przekąskami, owocami, wędlinami, winem i tym, co mają najlepszego w swoim regionie. Jest bardzo, bardzo lokalnie.

ANNA PAJĘCKA Z BERLINA

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Stoisko wytwórców żywności z Bawarii na targach rolniczych Zielony Tydzień. Berlin, 19 stycznia 2024 r.

Na TikToku jedzenie to jeden z najpopularniejszych tematów. Im dziwniej, tym większa szansa, że algorytm podłapie i za chwilę będziemy łapać za patelnie. Nie wszystkie trendy są tak ekstremalne jak ten ostatni – kiszony ogórek smażony w serowym naleśniku. Niektóre propozycje mają milionowe zasięgi, choć nie są aż tak ekscentryczne. Według użytkowników TikToka najpopularniejszym trendem żywieniowym w 2023 r. był twaróg – we wszystkich formach. Smażony, jedzony na kanapkach, na słodko lub słono. Swój czas miał też omlet z chipsów i pizza z frytkami. W polskim internecie nic dotychczas nie przebiło sera feta zapiekanego z pomidorkami koktajlowymi. Jak widać, jesteśmy dość zachowawczy.

Publikujące raporty z trendów w hotelarstwie i gastronomii firmy AF&Co i Mintel (eksperci od tego, czego chcą klienci i dlaczego) prognozują, co wydarzy się w świecie jedzenia i napojów, oraz ogłaszają, że zmianę dyktuje dziś Pokolenie Z. Przedstawiciele tej generacji chcą jeść żywność wysokiej jakości, z dobrych składników, znać proces jej powstawania i pochodzenie. Choć podnosi to ekonomiczne wymagania (zdrowa, ekologicznie wyprodukowana żywność jest droższa), są gotowi na „głosowanie portfelem". Żywność i tak przecież podrożała. W Polsce w ciągu ostatniego roku prawie o 40 proc.

Duże dania zastąpią przekąski, w menu pojawi się więcej jedzenia typu *mood food*, czyli czegoś, co przez lata nazywaliśmy „komfortowym jedzeniem", po które sięgało się dla poprawy nastroju, bez oglądania się na kalorie. Daniem roku będzie zupa, ziarnem roku – gryka. Ponadto trenduje i będzie trendował nadal #WaterTok. Liczba filmów publikowanych w mediach społecznościowych, na których do wody dodaje się rozmaite proszki i syropy i rozrabia w wielkich kubkach, przypominając o konieczności nawadniania się, dochodzi do setek tysięcy.

Herbata w tabletkach

Poza internetem dyskusja o żywieniu jest jednak znacznie stabilniejsza. Grüne Woche, czyli Zielony Tydzień, to największe międzynarodowe targi rolnicze w Europie. Na ostatni tydzień stycznia do Berlina zjechali przedstawiciele rolniczych gospodarstw, wystawcy, wytwórcy żywności, start-upy i kooperatywy, aby brać udział w wystawie, którą szybko określiłam na swoje potrzeby jako „biennale jedzenia". Wystawcy przez kilka dni częstują setki tysięcy gości przekąskami, owocami, winem i tym, co mają najlepszego w swoim regionie. Jest bardzo, bardzo lokalnie.

Prym w tym roku wiedli Bawarczycy, nastawieni towarzysko i rozmowni. Wyróżnia ich to, że rzadko przemieszczają się poza salę reprezentującą ich region, noszą regionalne stroje, piją ogromne ilości piwa i najgłośniej kibicują licznej orkiestrze przygrywającej im z końca sali. Chętnie spędzają czas na stoisku Bundeswehry, wypróbowując kamizelkę z obciążeniem, siłując się na ręce z przedstawicielami armii, wspinając się na opancerzone samochody. Mój towarzysz mówi mi, że tak jest co roku. Konserwatywna Bawaria jest mocno zaangażowana w dyplomatyczno-kulinarny wyścig z innymi landami.

Na targach rolniczych w Berlinie nade wszystko pielęgnuje się tradycję. Można poczuć się tak, jakby w kuchniach świata niewiele się zmieniało. Narodowe stoiska próbują za wszelką cenę wykazać swoją odrębność, na te kilka dni ignorując fakt, że dzisiaj jedzenie jest przede wszystkim globalne. Co piąta osoba, wybierając danie w restauracji, kieruje się tym, co podpowiadają jej media społecznościowe (wynika to z raportu międzynarodowego dostawcy jedzenia, w Polsce znanego jako Pyszne.pl), czyli „co się je w ogóle", a nie „co się je w tym konkretnym miejscu". Na targach ostrożnie testuje się nowinki, koniecznie jednak trzeba wpisać je w region: a to herbata w tabletkach, oferowana przez firmę z Brandenburgii, a to musztarda w proszku. Sporo przetworzonej żywności, nad którą odwiedzający kręcą nosem, bo to mają na co dzień. Tu przyszli po festiwal. Trudno dziwić się zresztą wyborom, których dokonują wystawcy – goście chcą odbyć kulinarną podróż międzykontynentalną w kilka godzin. Chcą zjeść bardzo słodkie, tureckie ↦

↦ kandyzowane owoce, węgierskie kiszonki i polski bigos. Wypić irlandzkie piwo, niekoniecznie zaś koktajl o smaku carbonary, bo w taką stronę także idzie globalna moda.

Czy Zielone Targi są konsekwentnym bastionem tradycji, czy obronią się przed nowoczesnością? W połowie stycznia berlińskie ulice zablokowały traktory i ciężarówki. Tysiące pojazdów zjechało do stolicy, aby protestować przeciw likwidacji dopłat do oleju napędowego. Cięcia wprowadzono zupełnym przypadkiem, wrzucono je jakby na ostatnią chwilę. Niemiecki rząd szukał oszczędności, znalazł je akurat w oleju, nie kalkulując pierwotnie, że konsekwencje będą dotkliwe dla kluczowego i wrażliwego elektoratu. Później poszło już falą. Zorganizowano kolejne protesty, w tym odbywający się co roku przy okazji Zielonego Tygodnia protest pod hasłem „Mamy dość", prężnie działającej w Berlinie organizacji ekologicznej „Wir haben es satt!". Na ten przychodzi po kilkadziesiąt tysięcy osób. Uniesione w górę pięści i klaksony krzyżowały się z hasłami wykrzykiwanymi przez Greenpeace i organizacje zajmujące się dobrostanem zwierząt. Nieoczekiwane sojusze zawiązały się wbrew woli ich inicjatorów.

Na targach rolniczych w Berlinie nade wszystko pielęgnuje się tradycję. Można poczuć się tak, **jakby w kuchniach świata niewiele się zmieniało.**

Sto lat

Pierwsze Zielone Targi odbyły się w 1926 r. pod hasłem przewodnim „polowanie", jako połączenie konferencji i targów ulicznych. Nazwa wcale nie pochodzi od koloru kojarzonego z ekologią, ale płaszczy, jakie nosili wówczas członkowie Niemieckiego Towarzystwa Rolniczego. Dzisiaj ta grupa społeczna nie ma z ideą targów wiele wspólnego, choć nadal w hali targowej wystawia się zwierzęta hodowlane, poupychane w kilkumetrowych boksach.

Na początku lat 30., kiedy władzę w Niemczech przejęła NSDAP, idea targów gładko wpisała się w narodowosocjalistyczną ideologię. Odbywały się ekspozycje „Oszczędna gospodyni domowa", „Dobro niemieckich kobiet". Zachowały się fotografie z 1937 r., na których Hermann Göring otwiera wydarzenie, a później próbuje wystawionych na długim stole przekąsek. Po wojnie idea wraca, targi rehabilitują się i odcinają od przeszłości, w latach 60. wydarzenie jest już otwarte dla krajów z Europy Zachodniej – na tyle, na ile pozwala sytuacja polityczna.

Po zjednoczeniu Niemiec Zielone Targi stają się wydarzeniem międzynarodowym. I także politycznym. Od 2005 r. każda edycja ma swojego strategicznego partnera. W 2012 r. – Polskę. Ówczesny minister rolnictwa, a dziś marszałek senior, Marek Sawicki z PSL, zorganizował wówczas legendarnie długą, ponad godzinną konferencję prasową, na której opowiadał o sukcesach polskiego rolnictwa, podczas gdy cała sala w napięciu oczekiwała na koniec degustacji. Nic dziwnego, że w kontekście obecności Polski na Targach do dziś przetrwała akurat ta anegdota.

Przechodzimy przez wielką salę Targów Berlińskich (Berlin Messe), molocha zbudowanego w latach 20. na potrzeby Niemieckiej Wystawy Radiowej. Budynek został zniszczony w nalotach i wiernie odbudowany po wojnie. Architektura zapamiętała swoje czasy, a proporce, na których w trakcie targów umieszczono flagi państw świata, przypominają, że osiemdziesiąt lat temu powiewały na nich zgoła inne barwy polityczne. Teraz flagi reprezentują cały świat. Francja częstuje winem, Azerbejdżan także, ale z owoców granatu. Połowa sal jest dla gospodarzy. Każdy land ma swoją przestrzeń, w końcu kluczowa jest tu promocja niemieckiego produktu, ale w gruncie rzeczy chodzi o jedno: współpracę i wymianę.

Cem Özdemir, minister rolnictwa i polityki żywnościowej Niemiec należy do partii Zielonych. Jest synem tureckich emigrantów, znienawidzonym przez Recepa Erdoğana. Prywatnie wegetarianin – od wielu lat. Na zaprzysiężenie rządu przyjechał rowerem, na spotkanie z niemieckimi rolnikami w ministerstwie zamówił bezmięsny catering. W dniu, w którym kończę pisać tekst, ogłosił, że rozpoczyna procedurę prac nad wprowadzeniem podatku od mięsa, a konkretnie: podatku akcyzowego od produktów mięsnych, zapowiadaną od kilku miesięcy. To tak zwany „cent dla dobrostanu zwierząt". Podczas Zielonego Tygodnia nie tylko się pokazał, ale bywał tam prawie co dnia, w otoczeniu kamer i doradców. Zagadywał, próbował potraw. Jedzenie miało łagodzić obyczaje, ale i gniew rolników.

Gniew wybuchł jednak nie tylko w Berlinie. Równolegle trwały strajki w całej Europie. W Niemczech nie tylko ceny oleju (z podniesienia których ostatecznie rząd się wycofał, a przynajmniej opóźnił ich wprowadzenie), ale i wysokie koszty paliwa, zielona transformacja, ograniczenia środowiskowe uderzają w rolników. Imponująca, wykonana z czekolady Brama Brandenburska, umieszczona na Targach w honorowym miejscu, to dla Niemiec w tym roku symbol podobny do czekoladowego orła z pamiętnej kadencji Bronisława Komorowskiego. W kraju dawno nie było tak źle. Czy czekolada przynosi pecha?

Polska smakuje

10 lat temu Janusz Piechociński podczas Zielonego Tygodnia zapraszał do Polski, do „kraju miłych ludzi, Solidarności i Chopina". Ciekawe, czy dzisiaj określiłby nas tak samo. Miła pani sprzedająca wina z Wielkopolski oddycha z ulgą, kiedy odzywamy się do niej po polsku. Mówi, że już jest zmęczona wysi-

Na berlińskich targach można nabyć żywność z niemal całego świata. 19 stycznia 2024 r.

Po prawej: sery na stoisku Włoch, po lewej: różnorodne odmiany bakalii i orzechów.

ANNEGRET HILSE / REUTERS / FORUM X2

laniem się na niemiecki przez cały dzień. W tym roku nasz region reprezentują Podhale, Kujawy i Pomorze, Wielkopolska i Dolny Śląsk. Są pierogi po 2,5 euro, kiełbasa za 7 euro i bigos za tyle samo. Pomorska wódka dzieli się na wódkę za 2,5 za kieliszek i diablo wódkę za 4. Butelka okowity za 35 euro. Oprawę muzyczną na polskim stanowisku zapewnia dolnośląskie jazzowe trio Dixie Team.

Przy stanowisku Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi panie z Koła Gospodyń Wiejskich Szaflary w ludowych strojach serwują uśmiechy, przyśpiewki i wesołe okrzyki. Ludzie je kochają. Obok stoi puszka informująca w języku niemieckim, że zbierają na wycieczkę do Paryża. Serwują podhalańskie specjalności – moskole z bryndzą i masłem czosnkowym, kwaśnicę i jabłecznik. Zanim dotarliśmy do polskiego stoiska (Polska dzieli halę z Bułgarią, Gruzją, Mołdawią, Chorwacją i Czechami), odbyliśmy regionalną dyskusję, co będzie nas reprezentować. Ja – wychowana w dawnej Kongresówce – mówię o zalewajce, rosole, śledziu. Mój polsko-niemiecki partner z Lubuskiego twierdzi, że kiełbasa. W ogóle nie wie, co to jest „zalewajka", którą w moim domu rodzinnym jadało się bardzo często.

Bigos i pierogi były tak oczywiste jak pizza u Włochów albo ser u Szwajcarów. Z ziemniakami trudno przyjechać na niemieckie targi, to jednak spora konkurencja i potencjał dyplomatycznego konfliktu. Ale oboje zauważamy, że nasza wizja tradycji się zmienia. Dużo ekologicznych gospodarstw, które przedstawiają nie tylko produkt, ale także i proces, w jaki ten produkt powstał. Jest stosunkowo mało mięsa, choć inne stanowiska, jak te reprezentowane przez kraje Skandynawii, wręcz nimi stoją. Polskie wina lokalne (te, których próbujemy, są z Lipki Wielkiej – regionu Wielkopolski) wchodzą na rynek międzynarodowy bez kompleksów.

Kiedy trwają panele edukacyjne o zmianach klimatu, na stoiskach dyskutują rolnicy, dla których normy związane z tymi przemianami są wyzwaniem, często ponad siły. Narracje, które nam są dobrze znane z przekazów Agrounii, wybrzmiewają także w niemieckich salach. Christoph Minhoff, główny lobbysta niemieckiego przemysłu, mówi, że o rolnictwie „decyduje się w zarządach supermarketów i na amerykańskiej giełdzie papierów wartościowych". To wszystko znane frazy. Wiceminister rolnictwa, a jeszcze kilka miesięcy temu działacz ruchów rolniczych, Wiceminister rolnictwa Michał Kołodziejczak ujawniał, jak supermarkety zagranicznych sieci serwują naszym klientom hiszpańskie i portugalskie produkty, mimo że polskie sezonowe warzywa i owoce są już dostępne.

W tym roku nasz region reprezentują Podhale, Kujawy i Pomorze, Wielkopolska i Dolny Śląsk. **Są pierogi po 2,5 euro, kiełbasa za 7 euro i bigos za tyle samo.**

Robot zbiera i nalewa

Bywalcy Dworca Centralnego w Warszawie kojarzą zręcznego robota w bieli, nalewającego kawę na peronach. Na jednym z niemieckich stoisk zaprezentowano zautomatyzowanego barmana. Takiemu pewnie można powiedzieć wszystko, wysłucha z uwagą i nie będzie oceniał. Pracowników sezonowych być może wkrótce zastąpi maszyna, która zbiera truskawki lub ziemniaki do kilkunastu razy wydajniej. Zaprezentowało ją Niemieckie Centrum Badań nad Sztuczną Inteligencją (DFKI). Niewielki zielony pojazd z chwytakiem jest w stanie precyzyjnie przemieszczać się na otwartym polu nawet w nocy. Robot ma być niedrogi w eksploatacji, przede wszystkim z uwagi na rosnące koszty pracy i konieczność znalezienia rozwiązań, które sprawią, że plony nie będą gniły na polach, jeśli właścicieli gospodarstwa nie stać na zatrudnienie pracowników w czasie zbiorów, a sami nie zdołają obsłużyć pola.

To prototyp, podobnie jak inne, zaprezentowane na wystawie „Roboty w rolnictwie", w której wzięły udział start-upy, co roku nagradzane przez organizatorów Targów. W tym roku zwyciężył kolektyw Hivesound, który wykorzystał sztuczną inteligencję do monitorowania pszczelich uli. Korporacyjna sieć branży mięsnej Vion Food Group zaprezentowała rozwiązanie z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, które przyczyni się do wzrastania dobrostanu zwierząt. Opracowali system wideo, oparty na monitorowaniu ich ruchów i odniesienia ich do normy. Jeśli zachowanie będzie odbiegało od normy, algorytm automatycznie je wykryje. Umożliwi to funkcjonariuszom ds. dobrostanu zwierząt Vion podjęcie szybkich działań w razie potrzeby. Chodzi też o rzeźnie.

Jedocześnie wezwanie do zastanowienia się nad żywieniowymi nawykami, zwłaszcza kwestią jedzenia mięsa, jest tu priorytetem. Zielone ministerstwo RFN nie ukrywa nawet, że to jeden z jego strategicznych celów. Infografiki informujące o wpływie branży przetwórstwa mięsnego na klimat znajdują się w centralnym miejscu ministerialnej sali.

Ideą Targów jest pokazanie świata w miniaturze, co oznacza zachowanie kawałków tradycji i lokalności w konfrontacji ze światem, na który, zapewne, jesteśmy skazani w przyszłości. 15 lat temu podczas Zielonego Tygodnia Niemcy usłyszeli, że powinni powrócić w swoich nawykach żywieniowych do czasów przedwojennych. Czy my mamy do czego wracać?

© ANNA PAJĘCKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Janko Muzykant

Dochodzą nas głosy krytyczne, że mianowicie zbyt wiele uwagi i zasobów naszego niezrównanego talentu poświęcamy b. Gospodarzowi i jego torturowanym kolegom. Zaiste rzec trzeba, że b. Gospodarz i jego torturowani koledzy to tematyka powabna. Też dlatego, że nie trudna.

Mamy jednak do czynienia z nieczęstą jak kwiat paproci okolicznością, będącą dla nas, jak tu ponuro siedzimy, bezspornym usprawiedliwieniem uprawiania tej tematyki. Jest to okoliczność klasy premium. Oto nie przypominamy sobie, by kiedykolwiek, od początków istnienia rodzimego piśmiennictwa (*Daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj*) można było z gracją, lekkością, w oparze absurdu, w kaskadach perlistego śmiechu, pisać o torturach i torturowanych. Każdy przyzna, że jest to tematyka z gruntu niewesoła i nigdzie na świecie nie nadaje się do żartowania, a jednak w Polszcze, krainie bezbrzeżnego uśmiechu, aktywność zarówno umysłowa, jak i fizyczna torturowanych stała się zdarzeniem z pogranicza burleski i kankana na świeżym powietrzu. Chciałoby się rzec, że nie tylko ręce składają się tu do oklasków. Każdy – czy to starzec, czy młodzieniaszek, czy to filut, czy ponurak, i piśmienny, i analfabeta – każdy chętnie chwyta za pióro, by sobie te czasy utrwalić, bądź potrenować gibkość stylistyczną i satyryczną. Tak jest po prostu, więc oddalamy niniejszym zarzuty, że sfiksowaliśmy i poza b. Gospodarzem świata nie widzimy.

Otóż widzimy. Choć rzecz jasna czujnie słuchamy, co tam w PiS-ie słychać, a zwłaszcza w pisowskiej polityce zagranicznej. Uwielbiamy politykę zagraniczną PiS. Uwielbiamy pisowskich myślicieli i ekspertów oraz ich fantastyczne miny. Tak, to akt strzelisty, zgadza się. No więc, możemy bez ustanku słuchać ich imperialnych projekcji oraz wykutych na pamięć diagnoz dla świata i wszechświata, wykoncypowanych w omszałej żoliborskiej willi. Można rzec szczerze, że jesteśmy uzależnieni. Dlatego nie mogła nam umknąć zmiana na intelektualnych szczytach owego koncypowania.

Z szefowania zagranicznej reprezentacji PiS-u do Europy został właśnie – z niejasnych przyczyn – usunięty gigant pisowskiego pomyślunku i widzenia rzeczywistości p. Legutko z Krakowa, a jego miejsce zajął człowiek o podobnych manierach i intelekcie, ale bardziej umięśniony, czyli p. Tarczyński z Lublina. Jest to, rzec trzeba twardo, zmiana, która nam się bardzo podoba. Słowem: każdy widzi, że mimo próśb i gróźb, nie jesteśmy w stanie przestać, bo i b. Gospodarz, i byli tajniacy, obecnie torturowani, oraz zdezaktualizowani intelektualiści i myśliciele przykuwają narkotycznie naszą uwagę i potrzebę czynienia notatek.

No dobrze. Spróbujmy teraz – dla świętego spokoju – zająć się aktywnością władzy obecnej. To, co nas zawsze w ramach zmian powyborczych w Polsce frapuje, a jest to reguła, to zażarte dyskusje dotyczące listy lektur szkolnych. Tak jest i teraz. Nadaje to krajowi naszemu pewnego i metafizycznego, i intelektualnego konturu, a słowo kontur wydaje nam się szczególnie tu pasujące. W kraju, w którym poziom czytelnictwa winduje lektura instrukcji obsługi sprzętu AGD, dywagacje na temat obecności Szekspira czy Mickiewicza w szkole muszą robić wrażenie sztuczności. Z jakichś powodów zainteresowanie dorosłych tym, co czyta młodzież, jest tak ważne, że dochodzi na tym tle do rytualnych naparzanek. Lubimy ten moment cyklu, bo jakoś pół roku po objęciu władzy temat znika.

No więc jest jak zwykle: jedni powiadają, że stara literatura jest dla naszej znakomitej młodzieży niezrozumiała z wielu powodów, głównie słownikowych, że jest szkodliwa, bowiem nie pasuje do obowiązującej obyczajowości, a drudzy wołają, że literatura nowa jest zwyrodniała w każdym sensie. Dużo można usłyszeć o kodzie kulturowym, który się ponoć nie starzeje. Bardzo to są fajne dyskusje, zaznaczyć trzeba, że równie interesująco mówią zarówno ci, którzy czytają, jak i owi, którzy tego za skarby świata nie robią.

Ktoś może nas teraz zapytać o nasze tu zdanie w tej kwestii. Dla przykładu: co sądzimy o planach usunięcia z listy lektur szkolnych „Janka Muzykanta". Trudno nam zebrać myśli, ale spróbujemy i odpowiemy pytaniem na pytanie: jeżeli miałoby to uruchomić protesty środowisk antyszczepionkowych, to może lepiej zostawić? W imię spokoju społecznego oczywiście. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

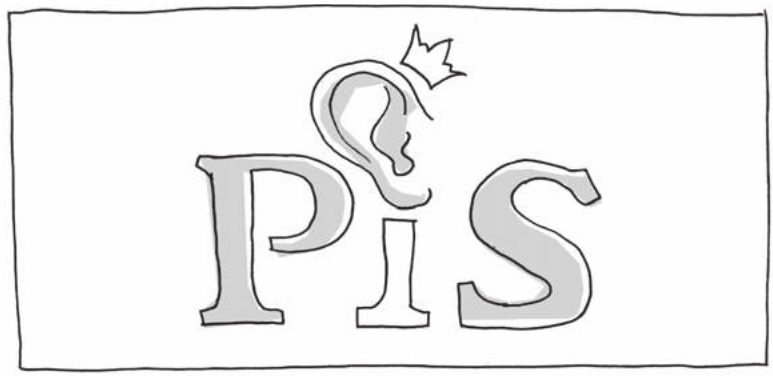

To więcej niż *książki* – to totalne *zauroczenie!*

Opowieść o przeszłości utkanej z blednących wspomnień i o teraźniejszości, za którą trudno nadążyć.
O zawiłościach ludzkich losów i kaprysach miłości – która rozdziera serca i dodaje skrzydeł.

Dwudziestoletnia Justine pracuje jako opiekunka w domu spokojnej starości. Uwielbia to zajęcie i spędza całe dnie na słuchaniu opowieści pensjonariuszy. Czy będzie w stanie zmierzyć się z tajemnicami swojej przeszłości i własną bolesną stratą? Piękna książka o meandrach pamięci, napisana z ogromną wrażliwością i imponującą erudycją.

NOWOŚĆ

Valérie Perrin

Fotografka, scenarzystka, miłośniczka zwierząt. Życiowa partnerka kultowego francuskiego reżysera Claude'a Leloucha.

Wzruszająca opowieść o wyjątkowości ukrytej w codziennym życiu, o zakończeniach, które rozdzierają serce, i o nowych początkach, które kiełkują na gruzach przeszłości.

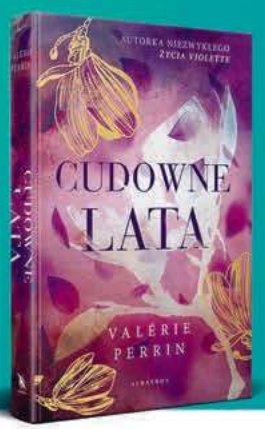

Oda do przyjaźni i szczęśliwych lat dzieciństwa. Opowieść o więzach, które łączą nas na całe życie. I o wyborach, które decydują o tym, kim jesteśmy.

REKLAMA

LIST MIŁOSNY DO KSIĄŻEK, KSIĘGARŃ I WSZYSTKICH, KTÓRZY JE KOCHAJĄ – MAGICZNY HOŁD ZŁOŻONY LITERATURZE.

Ujmująca i pełna wdzięku opowieść o poszukiwaniu szczęścia i równowagi w życiu.

O odwadze niezbędnej do spełnienia marzeń.

Oraz o uzdrawiającej mocy książek.

KOREAŃSKI BESTSELLER JUŻ W KSIĘGARNIACH!

WYDAWNICTWO ALBATROS

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00